

temat numeru

Współczesna polska tożsamość

Redagują: Huelle • Kamiński • Millati • Boros



DODATKI:



plyta DVD



kolekcyjnerska
pocztówka



audiobiblioteka Blizy nr 2

ISSN 2080-6213 nakład 1000 egz.

0 1



cena: 12 zł (0% VAT) www.bliza.net

BLIZA

GDYŃSKI KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

BLIZA

GDYŃSKI KWARTALNIK ARTYSTYCZNY NR 1 (2) 2010



NR 1 (2) 2010



Kwartalnik wydano dzięki
mecenatowi miasta Gdyni

Redagują:

Paweł Huelle (redaktor naczelny)
Adam Kamiński (sekretarz redakcji)
Piotr Millati (esej)
Wojciech Boros (poezja)

Projekty graficzne: Jarek Świerczek
Skład komputerowy: Adam Kamiński
Korekta: Katarzyna Szalewska, zespół redakcji

Nakład 1000 egz.

ISSN 2080-6213

Wydawca:
Leszek Kopeć
Centrum Kultury w Gdyni
ul. Łowicka 51, 81-504 Gdynia
tel./fax (+48) 58 664 73 77

kwartalnik.bliza@gmail.com
www.bliza.net

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku
zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów.

ZAMIAST WSTĘPU 5

WSPÓŁCZESNA POLSKA TOŻSAMOŚĆ

Dominic Sheridan, SZUKAJĄC POLSKOŚCI W POLSCE. The good, the bad and the ugly (okiem cudzoziemca)	7
Natalka Śniadanko, MAŁO ISTOTNE NIUANSE ATRAKCYJNOŚCI SĄSIEDZKIEJ	33
Z WŁASNĄ BABCIĄ NA „TY”. O doświadczeniu polskości z Małą Guştin rozmawia Piotr Millati	61
Tomasz Matłęgiewicz, POLSKA Z PERSPEKTYWY KOŁA POLARNEGO	71
Arkadiusz Jadczak, POLSKA – MODEL DO SKŁADANIA	86
Dariusz Dobrzański, „...COŚ NA KSZTAŁT ŚWIDRA”, CZYLI O NASZEJ POLITYCZNEJ TOŻSAMOŚCI	101
Wojciech Owczarski, SEN I TOŻSAMOŚĆ	132

DYSKUSJE I ROZMOWY

ŻYCIE Z ZADĘCIEM (2) NO END STORY. Z „krakowskim gdynianinem” Przemysławem Dyakowskim, od blisko pół wieku wirtuozem gry na saksofonach sopranowym i tenorowym, rozmawia Zbigniew Gach	175
LICZY SIĘ NIE TYLKO SHOW. Z Wojciechem Kościelniakiem o jego najnowszym gdyńskim spektaklu – <i>Lalce</i> Bolesława Prusa – i przygodzie z musicalem rozmawia Piotr Sobierski	187

PROZA

Włodzimierz Kowalewski, CZY SIĘ ŚMIAĆ, CZY SIĘ BAĆ? (fragmenty powieści <i>Człowiek moralny</i>)	43
Krzysztof Lipowski, WSZYSTKO GAŚNIE, MATOWIEJE...	123

ESEJ

Paweł Próchniak, TRYLOGIA INFERNALNA (notatki o prozie Świetlickiego)	82
Miklavž Komelj, [JURE DETELA]*	90
Paweł Zbierski, LECH BĄDKOWSKI: TWARZĄ KU EUROPIE	111

POEZJA

Janusz Szuber, PATRZEĆ I NIC i inny wiersz	22
Paweł Baranowski, EMIGRACJA i inne wiersze	67
Grzegorz Kwiatkowski, WIELKA KOCHANKO i inne wiersze	118
Ludwik Filip Czech, TABU i inne wiersze	168

PRZEKŁADY

Renate Schmidgall, HOTEL MASSANDRA i inne wiersze. Z niemieckiego przełożył Tomasz Ososiński	78
Jure Detela, ŚMIERĆ i inne wiersze. Ze słoweńskiego przełożył Adam Wiedemann	95

MIEJSCA I HISTORIE

Joanna Cieplińska, FILMOWA GDYNIA	23
-----------------------------------	----

RECENZJA

Krzysztof Kornacki, AWERS I REWERS. DWIE WIZJE SPOŁECZNEJ HISTORII PRL	154
---	-----

ZAPISKI

Kazimierz Nowosielski, DOSTATEK ŚWIATŁA, INTENSYWNOŚĆ ŻYCIA	106
Marek Gajdziński, ZAPISKI LONDYŃSKIE (2)	144
Adam Wiedemann, UCHO W ROSOLE (2) SACRUM / PROFANUM 2009: PALIMPSEST	171

TU I TERAZ

Wojciech Boros, VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS „POŁOWY POETYCKIE – GDYNIA 2009”	201
Przemysław Gulda, GRA SIĘ W GDYNI	211

MOJA GDYNIA

Anna Janko, MOJA PECHOWA GDYNIA	222
---------------------------------	-----

Witold Gombrowicz wyruszył w podróż swojego życia tuż przed wybuchem II wojny z Gdyni na transatlantyku „Chrobry”. Nigdy z niej do Polski nie powrócił. Nie z własnej woli. A jednak jako pisarz polskiej diaspory doświadczający przez wiele lat emigracyjnej nędzy i zapomnienia sformułował w swoich dziełach najbardziej zaskakujący, kontrowersyjny, błyskotliwy Polaków portret własny. Z czasem stał się ten wizerunek – przemycany do kraju – kanonem polskiej inteligencji. Jej gorzką samowiedzą o nas – wystawionych na huragany historii, rozpiętych pomiędzy marzeniem o nowoczesności, a dyktatem sarmackiej tradycji. Także – dzięki tłumaczeniom na obce języki – swoistym kompendium wiedzy o istocie polskości dla wielu nacji.

W kolejnym, czyli trzecim, numerze „Blizy” znajdziecie Państwo dyskusję redakcyjną właśnie o roli Witolda Gombrowicza w kształtowaniu polskiej tożsamości. Wpływie jego sławnych powiedzonek, sformułowań, a przede wszystkim – wizji – na polską samoświadomość. Na to, jak widzimy samych siebie i jak chcielibyśmy być postrzegani przez innych. Na nasze ambicje i kompleksy.

Rodzajem zwiastuna tej debaty są teksty pomieszczone w obecnym numerze. Tworzą one nić przewodnią. Zapytaliśmy kilka osób – co sądzą o Polsce i Polakach. O polskości – jako takiej. Odpowiedzi bywają zaskakujące, choć żadna z nich właściwie nie tworzy aury skandalu, czy przełamывania tabu – jak w niektórych tekstach Gombrowicza.

Dominic Sheridan, Australijczyk, wspomina, że jego ojciec – „zawsze dobrze mówił o Polakach. Urodził się i zdążył poznać wielu Polaków przed i po II wojnie światowej”. Konfrontacja tej wiedzy domowej z doświadczeniem wielu lat spędzonych w Polsce tworzy silne napięcie, zwłaszcza gdy autor z Antypodów mówi o naszych grzechach wstydlivych: alkoholizmie, czy subkulturze dresiarzy. Dariusz Dobrzański z kolei, obficie cytując Immanuela Kanta, przekonuje nas, że jednak – coś się nam udało. Polacy – którzy wedle królewieckiego filozofa – „sami sobie byli winni, że stracili własne państwo”, odzyskali je wreszcie – w całkiem niezłym stylu. Maša Guštin, Słowenka, budująca z powodzeniem pomosty pomiędzy naszymi słowiańskimi krajami, wytyka nam w rozmowie z Piotrem Millatim, że „niesprawiedliwe stereotypy krążące o was na Zachodzie traktujecie niczym prawdę objawioną”. Suche nitki na polskich politykach nie pozostawia Tomasz Matłęgiewicz, nauczyciel języka polskiego w Archangielsku. To, co Rosjanie – właśnie z głębokiej Rosji – sądzą o Polakach i Polsce, jest w dużej mierze wynikiem nieudanej polityki za-

granicznej naszego państwa – twierdzi autor. Natałka Śniadanko stara się – bardzo wnikliwie – pokazać, jak wygląda polskość ze strony młodej generacji Ukraińców. Nie unika węzła gordyjskiego, który w stosunkach polsko-ukraińskich wciąż zaplata Rosja. Arkadiusz Jadczyk proponuje zaś rzecz medialną, zaskakującą: grę komputerową, symulację, w której wszystko może się zdarzyć – na przykład desant Krzyżaków na Hel. Jest w tym szaleństwie metoda, zwłaszcza na rozdęte ego prymitywa, blockersa, rodem z powieści Masłowskiej, którego portret zawarty w tym tekście – śmieszy i przeraża. Wojciech Owczarski twierdzi natomiast, że wiele kłopotów z naszą tożsamością wynika z... niewyspania. Dlatego odwołując się do Mickiewicza, Miłosza i Różewicza, postuluje, by odtworzyć sennik polski. A raczej – napisać go na nowo, co wobec znakomitej powieści Tadeusza Konwickiego o tym właśnie tytule – dodaję – stanowi chyba trudne wyzwanie. Niech tę zachętę do lektury zamknij cytatem z Kanta, przywołany przez Dariusza Dobrzańskiego o Polkach. Są otóż one – zdaniem filozofa – „najbardziej wyróżniające się wśród wszystkich narodów: zdrowym rozsądkiem, największym obyciem, największą mądrością państwową, oraz światowością”. Czy można lepiej i piękniej? Chyba tylko Heine – w liście z ówczesnego Księstwa Poznańskiego – mógłby konkurować z Kantem w komplementowaniu Polek.

I jeszcze jedna, z innej nieco sfery, acz ważna, informacja. Do obecnego numeru pisma, oprócz płyty z wierszami Anny Wieser czytany przez autorkę, dodajemy wizualną atrakcję: są to etiudy filmowe zrealizowane przez uczestników Pomorskich Warsztatów Filmowych organizowanych przez Pomorską Fundację Filmową, działającą w Gdyni – o której piszemy w tym numerze Bliży. Najmłodsi adepci sztuki filmowej zabierają równie ważny głos na temat naszej rzeczywistości, co ludzie pióra. Może warto zestawić te wizje.

Paweł Huelle

Dominic Sheridan

SZUKAJĄC POLSKOŚCI W POLSCE

The good, the bad and the ugly
(okiem cudzoziemca)

Zważywszy na różnorodność polskiej kultury, napisać taki artykuł – o tym, co przybysz z obcego kraju myśli o Polaku, i tym dobrym, i tym złym, i o tym, co obaj oni myślą o sobie – napisać to wszystko, nie obrażając nikogo, to rzeczywiście trudne zadanie – a ja nie mam zamiaru nikogo tu obrazić. Na początek więc kilka słów wyjaśnienia: większość spotkanych przez mnie Polaków to ludzie wybitnie mili, inteligentni, przyjaźni – i tu mógłbym długo jeszcze wyliczać, to naprawdę jedni z najwspanialszych ludzi, jakich w swoim życiu poznałem. Dwa razy mieszkałem już w Polsce i moje stanowisko w tej sprawie miało okazję dojrzeć – bo przecież Polaka nie da się poznać po jednym spotkaniu. Powiem więcej – nie poznasz Polaka, jeśli ten nie pozwoli ci na to. Kwestia nie tyle czasu, co zaufania – dopiero kiedy nabierze do ciebie przekonania, Polak się zmienia – i uśmiech na jego twarzy zastępuje normalny brak wyrazu, i niczym śnieg topniejący na wiosnę odsłania ciepłą ziemię, tak i on tym uśmiechem odsłania swoją duszę. Pewnego razu jakiś Polak powiedział mi o drugim, że tamten jest zimny jak syberyjska zima, a ja przekonałem się, że to człowiek ciepły, o złotym sercu, tylko wymagało to czasu i bliższego poznania. Mój ojciec mawiał: „na dobre rzeczy warto czekać” – warto czekać na ten uśmiech na polskiej twarzy.

Ojciec też zawsze dobrze mówił o Polakach. Urodził się w 1920 roku i zdążył poznać wielu Polaków przed i po II wojnie światowej – miał czas wyrobić sobie na ich temat wyważoną opinię. Nigdy nie był w Polsce, wiedział jednak, że Polacy to wspaniali ludzie. Dwa narody tylko, twierdził, mogą się chlubić tym, że nie ugięły grzbietu w obliczu przerastającej ich miarę napaści – Polacy i Irlandczycy. Mój ojciec nie rzucał słów na wiatr – dlatego zawsze wiedziałem, że z Polakami mogę choćby i kangury kraść.

Po raz pierwszy zetknąłem się z Polakami w Australii, w czasach mojej młodości, przez ojca – choć mogłem o tym nawet nie wiedzieć. Z czasem spotykałem coraz więcej Polaków mieszkających w Sydney i mogłem sobie wyrobić własną na ich temat opinię. Rzecz chyba najbardziej uderzająca – zawsze mówili z szacunkiem o swojej ojczyźnie i starali się żyć jak najbardziej po polsku. Pytałem kilku, dlaczego

nie wracają do kraju, i odkryłem, że bywają wśród Polaków tacy, którzy kochają swoją ojczyznę, ale nie chcą w niej mieszkać. Uznałem, że darzą uczuciem nie Polskę realną, lecz idealną.

Trudno zrozumieć Polaka, samemu nim nie będąc. Nie mówię, że to jest niemożliwe, ale – wymaga czasu. Mi pomogła w tym żona – dzięki niej spotkałem wiele osób z Polski, które stały się moimi przyjaciółmi. Wcześniej jeszcze zawdzięczam jej też, że stałem się nauczycielem angielskiego, a to właśnie pozwoliło mi zamieszkać w Polsce, pracować tu i poznać wspaniałych ludzi. Myślę, że to również dzięki mojej żonie mam więcej zainteresowania dla polskiej historii i zagadnień kultury.

Nie da się powiedzieć, że wszyscy Polacy są tacy czy inni – byłoby to tak samo fałszywe jak twierdzenie, że wszyscy Afrykańczycy są czarni, wszyscy Chińczycy nazywają się Chan, a wszyscy Anglicy są uprzejmi albo – jak inny jeszcze komunał – że wszyscy Australijczycy spędzają weekendy na plaży. Polacy, jak każda inna nacja, są różni. Niedawno widziałem dziewczynę w pociągu, płaczącą na ramieniu swojego chłopaka – tak się domyślałem. Współczułem jej. Co to było – złe wiadomości? Jakieś kłopoty? Nie mam pojęcia, ale czułem dla niej tyle samo sympatii, ile czułbym dla kogoś w moim własnym kraju. Wcześniej tego samego dnia widziałem grupę studentów śmiejących się i żartujących z nie wiem czego – najwyraźniej było to coś, co ich łączyło w zabawie. Jednakże większość ludzi, których widziałem tego dnia – podobnie jak w inne dni – siedziała cicho, czytając lub wyglądając przez okno pociągu – wpatrywali się niemo w rozmazaną dal i sprawiali wrażenie czekających na to, żeby w ich życiu coś się wydarzyło. Pomyślałem wtedy o wszystkich tych latach, kiedy Polska była pod rosyjską okupacją. Polskie twarze sprawiają wrażenie, jakby patrzyły poprzez pola w głąb czasu i zastanawiały się, co też się stało z ich życiem, straconym czy to na jakiejś wojnie, czy pod komunistycznym reżimem. To musiało być straszne doświadczenie, uzyskać niepodległość w 1918 po to, żeby już w 1939 roku ją utracić. Może Polacy tak nie myślą, ale ja uważam, że ten tragiczny dzień, kiedy niemieckie działa ostrzelały Westerplatte, był zapowiedzią czegoś znacznie gorszego niż zbrojny najazd Niemców – rosyjskiej okupacji.

Wielu Polaków zdaje się być pogrążonych w czymś w rodzaju gigantycznego, odbierającego ochotę do życia społecznego kaca, który jest pozostałością po komunizmie. Jakiś czas temu, pod wpływem komuny właśnie, picie alkoholu dla towarzystwa przeszło w alkoholizm i patologia życia w ustawicznym braku jakichkolwiek perspektyw stała się narodowym przyzwyczajeniem, czymś, co bardzo utrud-

nia wszelkie próby pełnego wejścia w XXI wiek. Często słyszałem od Polaków, że „w tamtych czasach” jedynym sposobem, by do czegoś dojść, było zapisać się do partii – i w rezultacie nikt do niczego nie dochodził, bo nikt nie chciał być w partii – poza, oczywiście, drobną grupą zdrajców i oportunistów, którzy godzili się na lepsze warunki życiowe za cenę własnego honoru. Nic nie zmienia się na lepsze, bo nie ma motywacji – brak powodu, brak nagrody, brak ambicji – i zamiast tego sen o niepodległości. Kiedy jadę rankiem do pracy, często widuję młodych ludzi pijących piwo tak, jakby ciągnęli mleko z piersi matki. Tak samo piją w pociągu, którym wracają potem z pracy, albo w grupce w parku pod drzewem, upijają się na wzór i podobieństwo swoich ojców-alkoholików, którzy też stoją pod drzewem, tyle że w sąsiednim parku. Szczerze mówiąc, Polska musi się otrząsnąć z tego alkoholowego stuporu, dołączyć do reszty goniącego przyszłość peletonu. To straszne przeżycie dla cudzoziemca, że gdzie tylko nie pójdzie, wszędzie to samo – grupki Polaków zgromadzonych wokół jakiegoś niewidzialnego kręgu, dyskutujących o złożonych problemach polskiej codzienności prostym raczej słownictwem – kurwa to, kurwa tamto. Lecz ten obrazek nie dotyczy mężczyzn wyłącznie, widywałem również kobiety – młode, stare, atrakcyjne lub nie – wlewające sobie piwo w gardła wczesnym rankiem. Język, jakim się przy tym posługiwały, mógłby skutecznie zamknąć usta stałym bywalcom najgorszych pubów w Glasgow, a wilka morskiego przyprowadzić o rumieniec wstydu. Gdyby tylko mój ojciec mógł zobaczyć również i tę stronę polskiego obrazka – ciekaw jestem, co by sobie pomyślał.

W opinii cudzoziemca Polacy zdają się narodem wielce patriotycznym, dobrze wykształconym i znającym się na sprawach zarówno własnej, jak i innych nacji. Ten sam cudzoziemiec mógłby jednak orzec, że Polacy ani nie są bardziej patriotyczni niż inne narody (bo to, co początkowo braliśmy za patriotyzm, może okazać się nacjonalizmem), ani lepiej wykształceni. Tak, Polska to kraj sprzeczności umiejętnie przez samych Polaków podsycanych – bo przecież oni sami nie sprawiają wrażenia ludzi, którzy dobrze się tu czują. Kiedy po raz pierwszy zabrałem się za załatwianie pozwolenia na pracę w Polsce, zdumiało mnie, że tyle razy słyszałem w odpowiedzi to, co już wcześniej słyszałem w Australii: „A po jakie licha chciałbyś zamieszkać w Polsce?”. Wygląda na to, że tak naprawdę Polacy mają kiepskie mniemanie o sobie samych. Paradoksalnie jednak bardzo łatwo obrazić ich poczucie narodowej dumy. Cóż, skomplikowana ta polska dusza. Oczywiście, spotkałem wielu Polaków, którzy są prawdziwymi patriotami – przedkładają swój naród nad inne – tak jak

i ja myślę o własnym narodzie – ale w przypadku Polaków ten patriotyzm, bliski nacjonalizmowi, jakoś bardziej rzuca się w oczy: być może jest tak częściowo z powodu polskich dziejów i historii najnowszej, którą jakoś udało im się szczęśliwie przetrwać. Może też ich nacjonalizm wynika z tego, że byli przez tak długi okres poddawani tej bzdurnej komunistycznej indoktrynacji – na szczęście udało im się zachować swoją tożsamość.

Sprawa religii w Polsce to też rzecz wielce ciekawa. W oczach cudzoziemca Polak może łatwo uchodzić za kogoś poszukującego świętości – lecz jego świętość może też być prostą funkcją faktu, że mieliśmy papieża, który dzięki jakiemuś zbiegowi przypadków urodził się w Polsce. Polskie „prawo własności” do Jana Pawła II wywołuje u niepolskich katolików niechęć i poczucie dystansu. Z jednej strony rozumiem polską dumę z papieża, z drugiej jednak – jako katolik – w Polsce albo w Australii, kiedy rozmawiam z Polakami, czuję się samotny, odsunięty od mojego własnego Kościoła – i to mnie też, myślę, odsuwa od Polaków. Bo on był też moim papieżem. Dziwi mnie i niepokoi system podwójnych wartości w polskim Kościele, prezentowany np. przez Polskie Radio Katolickie (Radio Maryja) – wielki skandal, na którym niektórzy księża zbijają fortunę. W czasach mojej młodości księża nigdy by się tak nie zachowali i jestem pewny, że mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby zobaczył, jak zachowuje się część polskiego kleru. Widuję zakonnice chodzące tu i tam, kupujące ciasteczka i czekoladki w galeriach handlowych. Ale kiedy powiem „cześć” (po polsku) do zakonnicy, którą mijam na ulicy, ta ignoruje mnie z twarzą tak twardą i zaciętą, że mogłaby nią mieć ziarno we młynie. W moim kraju, ilekroć spotykam na ulicy zakonnicę i ją pozdrawiam, zawsze mi odpowiada. Rozpoznaję dwa typy twarzy u zakonnic, które mnie lekceważą: ta zimna i zacięta, o której już mówiłem, i twarz bujającej w obłokach „świętej”, która ignoruje mnie z uśmiechem. Może to rzecz związana ze specyfiką kultury, lecz jest to coś, czego naprawdę bardzo nie lubię.

Podróżowanie jest rzeczą ciekawą, a to przede wszystkim z uwagi na różnice kulturowe – śmieszne albo zawstydzające – na jakie człowiek się przy tym natyka. Takie kulturowe nieporozumienia mogą prowadzić do zachowań potencjalnie niegrzecznych. Kiedy byłem mały, ojciec powtarzał mi, że powinienem zawsze ustąpić miejsca ludziom starszym albo ułomnym, kobietom w ciąży lub obciążonym sprawunkami, no i w ogóle kobietom, w moim wieku lub starszym. No i wstałem raz w pociągu – miała jakieś 40, najwyżej 50 lat – i kiedy zobaczyła, że ustępuję jej miejsca, zrobiła strasznie obrażo-



Polska religijność ma różne oblicza, fot. Maria Jaskólska

ną minę. Żona wytłumaczyła mi później, że ta kobieta najprawdopodobniej uznała, że nabijam się z jej wieku – ale oczywiście nie to było moim zamiarem. W Australii każdy mężczyzna czuje się zobowiązany do ustępowania miejsca kobiecie. Po tym incydencie pomyślałem sobie z nutą filozoficznej zadumy – w Polsce potępią cię, jeśli wstaniesz, w Australii potępią cię, jeśli tego nie zrobisz. I uznałem, że najlepiej czynić tak, jak ojciec uczył: „Kiedy nie wiesz, co zrobić, zamknij oczy i siedź cicho”. Z drugiej strony to też jest problem – zbyt wielu ludzi zamyka oczy i siedzi cicho, ale to problem nie tyle polski, co ogólnoludzki.

Inny problem dla towarzyskiego Australijczyka to klepanie po plecach. Mówiono mi, że zwyczaj ten jest tu uznawany za niegrzeczny – a w najlepszym razie ten, który poklepuje drugiego po plecach, traktuje go tym samym z góry. W Australii jednak jest to rzecz tak naturalna jak oddychanie, część normalnej społecznej interakcji. Pewnego razu odwiedziłem polskiego dentystę i uznałem, że nie tylko zna się na tym, co robi, ale jest też miłym facetem. Normalnie taki zabieg nie obyłby się bez bólu – on jednak zrobił to bezboleśnie. Podczas wizyty rozmawialiśmy o Australii i Polsce, i tak mnie ta rozmowa pochłonęła, że niemal zupełnie zapomniałem, że jestem u dentysty. Kie-

dy skończył zabieg i przyszło do płacenia rachunku, uściśnąłem mu dłoń i poklepałem po plecach – w podziękowaniu za wspaniałą robotę. No i wtedy się dowiedziałem – w Australii klepanie może być OK, ale nie w Polsce. Co więcej – ponoć również wskazywanie palcem i gwizdanie na kogoś jest uznawane za obraźliwe. W Australii, z powodu sporych odległości, jest rzeczą naturalną gwizdnąć na kogoś po to, by zwrócić jego uwagę. W Polsce – i w kilku innych miejscach – byłoby to chamstwo. Żeby tylko mój ojciec mógł widzieć, jak chamsko sobie poczynam w tej Polsce...

Jedną z najciekawszych różnic kulturowych, na jakie natknąłem się w Polsce, jest kwestia światła w toalecie. Moje pytanie do Polaków brzmi następująco: Dlaczego włącznik światła znajduje się na zewnątrz toalety? Miałem wiele śmiesznych i trudnych doświadczeń w polskich toaletach. Jednym z najczęstszych tego typu zdarzeń było gaszenie światła, podczas gdy jestem w środku. Pamiętam takie zdarzenie z października 2009 roku – miałem ważne spotkanie, ale musiałem udać się wcześniej za potrzebą. Było zimno, więc miałem na sobie szalik, rękawiczki, kapelusz i palto, a ze sobą torbę z dokumentami. Siedziałem na sedesie, marząc o zapiekance na lunch, kiedy naraź zgasło światło i zapadła ciemność tak kompletna, że nie widziałem swojej ręki, o szaliku, rękawiczkach, kapeluszu i palcie nawet nie wspominając. Zawolałem w nadziei, że ktoś mnie usłyszy i włączy światło, ale, po pierwsze, nikogo nie było, po drugie, potrafiłem wołać tylko po angielsku. Po wielu bolesnych zabiegach, do których zaliczam choćby uderzenie głową o umywalkę, udało mi się odnaleźć wszystkie rzeczy i jakoś je na siebie nałożyć. Kiedy wyszedłem z toalety i szukałem po omacku włącznika, światło naraź rozbłysło samo i ktoś z zewnątrz otworzył drzwi do toalety. Ku memu zdumieniu i konsternacji, była to kobieta. Zrozumiałem, że przez pomyłkę trafiłem do damskiej toalety. Wyglądała na nieco zszokowaną i wściekłą z powodu mojej obecności, więc powiedziałem: „przepraszam, jestem emigrantem”. Tak, szczególnie cudzoziemcy powinni zwracać uwagę na znaczenie ukryte za kształtem różnych figur geometrycznych. W polskich toaletach np. trzeba wiedzieć, że kółko znaczy dziewczynki, a odwrócony trójkącik – chłopcy; ja niby już wiem, ale i tak kilka razy się pomyliłem. Jeden z moich studentów dał mi dobrą radę, opowiadając, jak będąc jeszcze małym chłopcem, wyobrażał sobie, że obie figury mają też rączki i nóżki, i wtedy odwrócony trójkącik wygląda jak kulturysta – wyobraziłem sobie to samo i rzeczywiście – otrzymujemy pakera.

Zauważyłem, że jedną z ulubionych rozrywek Polaków podczas rozmów z cudzoziemcami jest sprzedawanie im trudnych słów – łamańców językowych albo skomplikowanych nazw miejscowości, których nie da się wymówić – przynajmniej ja nie potrafię – a oni się śmieją. Zastanawiam się, czy chcą mi pokazać zawilosci polskiego języka, czy tylko się ze mnie ponabijać? Ale ja też popełniam ten grzech, kiedy podaję przykłady trudnych australijskich nazw albo angielskich „tongue-twisterów”. Myślę, że to dobry sposób na przełamanie barier dzielących języki, bo nawet kiedy śmiejemy się z tego, że drugi nie potrafi wymówić jakiegoś trudnego słowa – jakoś komunikujemy się ze sobą. Kiedy Polacy przytaczają różne swoje łamańce, zawsze przypominają mi się niezwykle trudne do nauczenia słówka walijskie. Jest np. takie miasteczko w Walii o niezwykle długiej i niemal niemożliwej do wymówienia nazwie: Llanfairpwllgwyngyllgogerychwyrndrobwlllantysiliogogogoch. To nie żart! To miasteczko naprawdę ma taką nazwę, a znaczy ona: „Kościół Świętej Martyji w kotlinie białych leszczyn w pobliżu przełomów rzeki, gdzie Święty Tisilio mieszkał kiedyś w czerwonej jaskini” albo „Kościół Świętej Martyji w dziupli białej leszczyny nad wirem rzeki, w pobliżu Kościoła Świętego Tisilio z czerwoną grotą”, albo coś w tym rodzaju. Mówi się nawet o tym, że te długie walijskie nazwy powodują zagrożenie dla ruchu drogowego. Ale to wszystko oczywiście niczym jest w porównaniu z nazwą pewnego tajlandzkiego miasteczka: Krunghthepmahanakornamornratanakosinmahintarayutthayamahadilokphopnopparatrajathaniburiromudomrajaniwesmahasatharnamornphimarnavataarnsathitsakkattiyavisanukamprasit. W sumie 163 literki, to się nawet w jednej linii nie zmieści! Cóż, wydaje mi się, że najważniejszą rzeczą przy nauce języków jest zrozumieć, że żadnego z nich nie da się nauczyć bez wysiłku – wysiłek językowy bowiem jest podstawą wszelkiej komunikacji.

Zawsze ciekawiło mnie, dlaczego Polacy nienawidzą rosyjskiego i niechętnie go używają – mimo iż tak wielu go dobrze zna. Ale rozumiem to i popieram – no bo dlaczego ktoś miałby chcieć używać języka swoich oprawców? Japończycy robili to samo podczas ostatniej wojny na okupowanych przez siebie terenach. Chodzi o to, by pozbawić językowej tożsamości podbite narody. I tak jak Irlandczycy, którzy zostali zmuszeni do zarzucenia swojego narodowego języka za czasów Oliwiera Cromwella, tak i Polaków próbowano zmusić do posługiwania się rosyjskim – bez większego powodzenia. Grzechy komunizmu są wielkie i liczne na całym świecie, ale te popełnione w Polsce mogą nas wiele nauczyć. Może nie wszyscy się z tym

zgodzą, ale ja jako przybysz widzę, że patologia polskiego życia – dewastacja infrastruktury, aspołeczne wzorce zachowania, powszechny alkoholizm, i wynikająca z tego deprawacja młodzieży, która jest przecież przyszłością narodu – wszystko to Polska otrzymała w spadku po komunie.

Tak, w młodych Polakach nadzieja, mimo wszystko. Są, w przeważającej mierze, pogodni, uprzejmi, gotowi nieść pomoc zagubionym obcokrajowcom – czego sam wielokrotnie doświadczyłem. Pewnego razu w Gdyni zdumiało mnie, jak mały jest ten nasz świat – zgubiłem się i, napotkawszy grupkę młodych ludzi, chciałem zapytać o jakąś tam ulicę. Spytałem, czy mówią po angielsku, na co odparli chórem i z wielkim entuzjazmem, że tak – po czym przedstawili mi jednego z nich, który pochodził z Nowej Zelandii i mieszka w Polsce. Bardzo mili ludzie. Z drugiej strony jednak, jako że jest to artykuł o moim całościowym spojrzeniu na Polaków, trzeba zwrócić uwagę również na słabe punkty polskiej młodzieży. Dziewczyny np. często fatalnie się ubierają, zupełnie jakby nie czuły swojej wartości albo jakby z góry uznały, że nie ma ucieczki od przerażającej beznadziei, że są na nią skazane – naśladowując w tym, być może, swoje nieszczęsne matki, a więc brnąc w życie patologiczne, służące wobec mężów-alkoholików. Często zdarzało mi się widzieć kobiety upodlające się dla widocznej przyjemności jakiegoś kaleczącego język prymitywa z żalobą za paznokciami, dla którego pogoń za przyjemnościami i alkoholizm zdają się jedynymi w życiu celami. Jaki wybór ma taka dziewczyna? Zostać starą panną, oddać się Bogu, wyemigrować albo żyć w nadziei, że pewnego dnia przybędzie książę i potraktuje ją z szacunkiem? Widzę, jak się poddają i godzą na tych nieogolonych typów jako na potencjalnych ojców ich dzieci, wzmacniając tym samym patologiczny aspekt tej kultury i brnąc dalej w społeczne manowce. Powiedziawszy to wszystko, trzeba jednak podkreślić, że większość polskich dziewcząt jest inna – są pewne siebie, inteligentne, przebojowe. Cóż, w moim kraju jest podobnie – młode dziewczyny muszą zdecydować, czy wybrać śmiecia, który jest pod ręką, czy też postawić na coś więcej.

Jeśli zaś chodzi o chłopaków, to miałoby się ochotę napisać dłuższy artykuł na temat psychologicznego aspektu męskiego braku poczucia własnej wartości, ale zadowolmy się tu krótkim komentarzem. Widziałem tylu polskich chłopaków z przyciętymi na jeża włosami, które zastępują im mundur (w moim kraju mundurkiem niepewnego swej męskiej roli mężczyzny jest kozia bródka). Pozują na kryminalistów, jakby chcieli powiedzieć: „Jestem twardzielem, lepiej ze

mną nie zadzieraj” – i przyznać trzeba, że człowiek nie czuje się zbyt bezpiecznie w ich towarzystwie. Nigdy nie mam pewności, czy – kiedy odkryją, że jestem obcy i nie mówię w ich języku – nie spróbują mnie jakoś zaatakować, przy czym zastrzegam, że mówię tu wyłącznie o swoich odczuciach. No i ci wszyscy mięśniacy – chłopcy i mężczyźni zafascynowani swoją budową, jakby chcieli powiedzieć, że im większe masz mięśnie, tym jesteś ważniejszy. Ale mięśnie mają sens tylko wtedy, kiedy pomagają ci w jakiejś konkretnej pracy. Na kim oni chcą zrobić wrażenie – może na swoim własnym odbiciu w lustrze? Przyznać trzeba, że to problem nie tylko polski, pomyślimy o przedmieściach amerykańskich, w których często jedyną drogą ucieczki jest zapisać się na boks i za pomocą własnych pięści wywindować się w górę, jak w bajeczce o Rocky’m Balboa. Przypomnijmy sobie te wszystkie plakaty, których twórcy próbowali przyoblec potężnego mięśniaka w równie okazałą osobowość. Problem polega na tym, że kiedy jakiś mało doświadczony życiowo chłopak patrzy na taki plakat, robi to na nim tak wielkie wrażenie, że idzie na siłownię i pompuje tak długo, aż mięśnie wyprą mu resztki rozumu z ogolonej głowy – wtedy do kompletu brakuje już tylko zwyczajowej odrobiny alkoholu.

Alkoholizm jest rzeczą bardzo poważną, ale czasem prowadzi też do śmiesznych sytuacji. Kiedy pracuję na Politechnice, muszę jechać do pracy bardzo wcześnie. Pewnego razu, po podróży pociągiem, chciałem kupić sobie coś do picia, bo nie miałem czasu zjeść śniadania w domu. Stałem w kolejce mężczyzn kupujących poranne piwko – każdy kupował dwie lub trzy butelki. Kiedy przyszła kolej na mnie, zdumiona ekspedientka zastygła na moment w bezruchu z wyciągniętą już ku mnie ręką z jakimiś Lechami czy Warkami, kiedy usłyszała: „Poproszę sok pomarańczowy”. Wyszedłem ze sklepu i znalazłem się w grupce mężczyzn stojących kołem wokół kosza na śmieci i pijących piwo. Jako jedyny piłem sok pomarańczowy i wszyscy patrzyli na mnie, jakby coś było ze mną nie tak. Sytuacja była nieznośnie absurdalna, więc powiedziałem: „Jestem emigrantem”, i wypiliśmy zgodnie za zdrowie.

Jednym ze zjawisk, które szczególnie wymownie unaoczniają ruinę polskiej rzeczywistości, jest system sprawdzania biletów w pociągach, tramwajach czy autobusach – typy z Renomy to chyba najdziwniejsi ludzie, jakich w Polsce widziałem. Przyjęty w Polsce system kontroli biletów opiera się na bandytyzmie i zastraszaniu, a jego przedstawiciele to ludzie o aparycji i manierach ulicznych bandytów. Ubrani w skórzane kurtki, rozkoszują się swoim widocznym

poczuciem władzy, której potrzeba bierze się u nich – każde dziecko to widzi – z niskiej samooceny, emocjonalnej niepewności, braku wykształcenia i nadziei na lepsze życie. Każde dziecko, ale nie oni sami – zbyt są zajęci pozowaniem na twardzieli. Przypominam sobie, jak opowiadano mi o żołnierzach, którzy za komuny patrolowali stacje kolejowe, by zastraszyć ludzi. Jedyna różnica, jaką widzę między tamtymi sługusami reżimu a tymi tu opryszkami, którym dano prawo kontrolowania naszych biletów, jest kolor uniformu – ci ostatni noszą się na czarno, a czarny to kolor rozpoznawczy ludzi pozbawionych stabilnego poczucia własnej wartości.

Najbardziej martwi mnie fakt, że w Polsce jest tylu kryminalistów, co pewnie wynika z połączenia tego kultu mięśni, alkoholu, łatwego życia i przekonania, że wszystko wolno. Tyle razy mnie tu ostrzegano, bym był ostrożny, kiedy podróżuję czy robię jakieś interesy – i rzeczywiście, próbowano mnie raz okraść w pociągu do Wrocławia. Warszawska mafia taksówkowa znana jest nawet poza granicami Polski – podobnie jak inne mafie: sprzedawcy samochodów, tłumacze, sprzedawcy w sklepach, mechanicy samochodowi, policjanci. Fakt, że do niedawna jeszcze od policjantów nie wymagano wyższego wykształcenia, jest dla przybysza z zagranicy zdumiewający – jak mają postępować zgodnie z duchem prawa, jeśli nie są w stanie pojąć jego litery? Generalnie można powiedzieć, że przeciętny młody polski mężczyzna działa odstraszańco na przeciętnego cudzoziemca. Rozumiem, że brakowało im pozytywnego wzoru ze strony ojca, ale to nie może być całe wytłumaczenie – widywałem nieraz patologiczne dzieci pochodzące z dobrych rodzin – więc musi tu być coś więcej na rzeczy. Może winę należałoby przypisać społeczeństwu? Albo ściślej, jego komunistycznemu wydaniu? Cokolwiek to jest, nie napawa optymizmem przybysza, który chciałby zwiedzić Polskę lub wręcz tu zamieszkać. Trudne do zrozumienia są polskie koneksje mafijne i społeczne przyzwolenie na to. Rozmawiałem raz z koleżanką o tym, jak robić interesy w Polsce, i powiedziała mi, że muszę się liczyć z mafią. Odpowiedziałem – z australijskiej perspektywy – że opryszkowie są tacy sami na całym świecie i że jedyna metoda postępowania z nimi jest taka sama, jak sposób radzenia sobie z osiłkiem na szkolnym boisku – działać szybko i zdecydowanie. Ale rozumiem, że jeśli ludzie stąd dają się jednak zastraszyć, to obcokrajowiec może mieć poważny problem. No i jest to problem na skalę ogólnonarodową – bo jeśli Polska chce być częścią zachodniej społeczności, musi jakoś poradzić sobie z tą wysoką kryminalizacją życia, potwierdzaną codziennie prasowymi doniesieniami o kolejnych przykładach korupcji i zorga-

nizowanej przestępczości. Ktoś, kto zakłada alarmy, powiedział mi niedawno, że od czasu masowego wprowadzenia systemów alarmowych liczba włamań do domów spadła o 30%, ale nawet on przyznał, że przestępczość wymknęła się Polakom spod kontroli.

Obcokrajowcowi łatwo jest dostrzec problemy oczywiste – po wyjściu z komunizmu Polska ma szansę na wspaniałą przyszłość, ale musi się zmierzyć z problemem bezrobocia, braku infrastruktury i zbyt obszernej grupy biednych mieszkańców wsi. Wszystko to, zaprawione lejącym się przy każdej okazji alkoholem, prowokuje pytanie – czy Polakom uda się podźwignąć z tego rynsztoka demoralizacji i stanąć twardo na drodze do konsumpcyjnej wolności? Irlandia tkwiła całymi laty w ekonomicznej zapaści, ale kiedy tylko przystąpiła do Wspólnoty, gospodarka poszła mocno do przodu. Przed Polską widzę tę samą przyszłość i wydaje mi się, że właśnie teraz jest najlepszy czas, by tu inwestować – no chyba że wygra alkoholizm, społeczna patologia i przestępczość, i Polska straci swoją szansę, upadając do rangi slumsów Trzeciego Świata. Ale chyba każdy znający Polskę obcokrajowiec uzna, że Polakom powinno się powieść – że Polska stanie się Irlandią kontynentalnej części Europy. Trzeba tylko zdobyć się na porzucenie tego, co rani polskość Polski. Zapyta ktoś, co to takiego, ta polskość Polski? Chodzi o to, w czym kryje się prawdziwy polski charakter, esencja polskiej tożsamości, obecna niezmiennie od X wieku, rozwinięta w złotym stuleciu XVI i później, podczas walk o niepodległość, aż do roku 1918, aż do tragicznych czasów II wojny światowej i komunizmu – aż do dziś. To dla tej polskości warto do Polski przyjeżdżać – dla ducha, który podtrzymywał naród przy życiu przez dzieśnięć wieków trudnego – z uwagi na wrednych sąsiadów – bytowania. Wyobraźcie sobie moją minę, kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, w 2006 roku, spodziewając się ujrzeć coś w rodzaju muzeum starej Europy, i zamiast tego widzę te wszystkie McDonald's-y i KFC. Zawiodłem się, przyznaję, ale zacząłem szukać głębiej i znalazłem tę właśnie polskość, o której słyszałem tyle od ojca i przyjaciół jeszcze w Australii – i dzięki temu poczułem się tu dobrze.

Mówiłem dużo o młodych Polakach, kolej teraz na starszych. Problemy związane z ludźmi młodymi i starymi mają naturę ponadnarodową, ale Polska ma swoją specyficzną ich wersję. Starość nie da się uniknąć i jest rzeczą powszechnie znaną, a jednak starsi ludzie nie przestają nas zadziwiać swoim zachowaniem. Przed wielu laty byłem na mszy w Australii, i kiedy przyszło do przekazania sobie znaku pokoju, mężczyzna przede mną zwrócił się do mnie i zrobił to z pełnym zaangażowaniem, po czym odwrócił się, by kontynuować modlitwę.

Po mszy ten sam człowiek, tym razem za mną w samochodzie, zaczął trąbić i krzyczeć, używając obraźliwych słów, bym mu się usunął z drogi – na co ja odwróciłem się do niego i przekazałem mu znak pokoju. Nie spodobało mu się to. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że to, co ludzie robią, kiedy myślą, że patrzy na nich Bóg, diametralnie różni się od tego, co robią, kiedy myślą, że Bóg ich nie widzi. I tak jak Australijczycy potrafią zachować się dziwnie, tak i Polacy. Jednym z najwymowniejszych przykładów takiego zachowania starszych Polaków może być to, co dzieje się w niedzielę, kiedy wszyscy spieszą na mszę. Wchodzę do kościoła, idę ku ławce, a tu naraz nie tyle jedna, co dwie aż staruszki wpychają się przede mną. Stoję i drapię się po głowie, bo co mam robić – wychowano mnie w szacunku dla starszych – i myślę: i tak bym im ustąpił miejsca, ale one wołały na to nie czekać, wołały niemal się pozabijać, by tylko wygrać ten wyścig. Zdawszy sobie sprawę z daremności moich wysiłków, by wcisnąć się w tę ławkę – co, rzecz ciekawa, udało się jeszcze jakiejś trzeciej staruszce – usiadłem w ławce za nimi. Staruszki wstawały, przyklekiwały, modliły się i siadały, a kiedy przyszedł czas na znak pokoju, jedna z nich odwróciła się i ceremonialnie wyciągnęła ku mnie dłoń.

Wydaje się, że wyścig po miejsce do siedzenia wyzwala w tych wiekowych ludziach odruch walki o przetrwanie, w której zwycięża najlepiej przystosowany osobnik. Ta chęć do walki bierze się chyba z czasów komuny, kiedy walka i wyścig były powszechnie przyjętym sposobem na życie. Z mojego punktu widzenia może to sprawiać wrażenie chamstwa, lecz w rzeczywistości jest to, myślę, konsekwencja życia w niekończących się kolejkach po jakiś marny ochłap. W tym przekonaniu utwierdza mnie fakt, że nie widzę tego typu zachowań u ludzi młodych – a jeśli nawet trafi się czasem jakiś młody człowiek, który rozpycha się łokciami na boki, wynika to raczej z jego chamskiej natury niż z doświadczenia komunistycznej rzeczywistości. Czasem, przyznaję, czuję pokusę, by kazać jakiejś staruszce odsunąć się, kiedy np. kupuję w kasie bilet na pociąg i stojąca za mną kobieta naciera na mnie ramionami na wypadek, gdyby ktoś chciał się wepchnąć między nią a mną. Bywa, że tak im się spieszy do tego biletu, że się na mnie wręcz całym ciałem pokładają. Gdyby ktoś zachował się podobnie wobec mnie w Australii, byłaby to raczej poważna sprawa. Kiedyś w parku widziałem ludzi karmiących kaczki kawałkami chleba. Uderzające wydaje mi się podobieństwo między tymi kaczkami – które dosłownie wchodziły jedna drugiej na plecy, by wygrać kolejny kęs chleba, a Polakami na stacji kolejowej, tłoczącymi się w kolejce po bilet – czy w sklepie, po cokolwiek innego.

Opowiadano mi straszne historie o starszych ludziach w Polsce – np. o tym, jak jedna kobieta w sile wieku mówi głośno o stojącej nad nią młodej kobiecie w ciąży: najpierw taka rozkłada nogi przed byle kim, a potem siadać by jeszcze chciała. Trudno to sobie wyobrazić, ale starzy potrafią być jeszcze bardziej ordynarni niż młodzi – i to z powodu głupiego siedzenia w tramwaju! Tak, to musi brać się z trudnej polskiej historii.

Czasem odnoszę wrażenie, że Polakom wydaje się, iż byli jedynym narodem, który walczył podczas II wojny światowej. Często zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy nie mają pojęcia o udziale w obu wojnach nacji takich jak moja, Australijczyków. Myślę, że można śmiało powiedzieć, iż Polacy byli jedynymi prawdziwymi i godnymi współczucia przegranymi tej wojny – tyle stracili i tyle wycierpieli podczas działań zbrojnych i podczas będącego ich następstwem okresu komunistycznej okupacji, że to aż niewiarygodne, że wciąż trwają.

Różne rzeczy można o Polsce mówić, ale nie da się zaprzeczyć, że oferuje ona odwiedzającym ją turystom rzeczy wspaniałe i niezapomniane – być może przez to, że tak mocno osadzone w historii. Ja np. bardzo lubię polskie cmentarze. Mieszkam w Oliwie, gdzie jest cmentarz, obok którego przechodzę przynajmniej dwa razy dziennie. Zgodnie z tym, czego nauczył mnie ojciec, żegnam się wtedy i przesyłam błogosławieństwo zmarłym, i zauważam rzecz piękną i chwytającą za serce, aczkolwiek wielce osobliwą dla Australijczyka – palące się na grobach świeczki. Jaki to piękny widok nocą, zwłaszcza przed dniem Wszystkich Świętych. Dla Polaka to rzecz naturalna, lecz w kraju mojego dzieciństwa nikt nie stawia świeczek na grobach. My tam zostawiamy jedynie kwiaty i modlitwę, ale tu żywy ogień na cmentarzu zdaje się przywoływać dusze zmarłych na powrót do świata żywych – to cenne. Może się to komu wyda dziwnym, ale podczas moich licznych spacerów po oliwskim cmentarzu zaprzyjaźniłem się z jednym z jego lokatorów – z Markiem. Miał 13 lat, kiedy umarł trzy lata temu – nie wiem, na co. Zawsze kiedy czuję potrzebę, by z kimś pogadać, odwiedzam Marka – bo nie mam w Polsce nikogo innego. A mówię o nim teraz dlatego, że płyta na jego grobie jest zawsze pusta, podczas gdy inne zadbane, z kwiatami i zniczami – ale gdy wybrałem się na cmentarz w dniu Wszystkich Świętych, ku memu zdumieniu zauważyłem, że również grób Marka był przybrany kwiatem i płomieniem. I wtedy pomyślałem sobie, że Polska nie zapomina; że Polacy zawsze będą pamiętali o swojej tożsamości – o polskiej polskości, o prawdzie, o polskich Markach. Poczułem się bardzo szczęśliwy. Patrzyłem na grób mojego nieznanego przyjaciela i zrozumiałem.

łem, że nawet jeśli upłynęły całe wieki, zmarli Polacy wracają do nas, żywych, by nam przypomnieć, że żyli i że nie wolno o nich zapominać. I naraz zdarzyło się coś jeszcze bardziej wzruszającego – oto wszyscy ci, których wymordowano w lasach Katynia, powstają z grobów i mówią: „My też tu jesteśmy. Pamiętajcie o nas”. „Jest taki jeden Australijczyk – odpowiadam – który o was nigdy nie zapomni!”

Spróbujmy więc podsumować – co Polska ma światu do zaoferowania? Niektórzy powiedzą, że patriotyzm – ale to przecież nic nowego, wszystkie narody mają swoich patriotów i swoją listę mniej lub bardziej prawdziwych powodów, dla których należy być patriotą; i polski patriotyzm można uznać za konsekwencję jedynie historycznych uwarunkowań. Tak więc Polska musi mieć dla innych coś więcej – coś cenniejszego i zarazem bardziej wyrafinowanego. Ojciec Flanagan, amerykański ksiądz katolicki, założyciel organizacji dla dzieci z sierocińców, Boys Town, powiedział: „Daj chłopcu poczucie humoru, a poradzi sobie ze wszystkim”. Miał rację. Dostrzegał prawdziwą wartość humoru pojmowanego nie jako zwykłe bycie żartownisiem, lecz jako dobroć serca, która pozwala wszystko przezwyciężyć. I to właśnie jest wartość, którą Polak ma do zaoferowania światu – ta zdolność do przetrwania i jednoczesnego zachowania swojej tożsamości – bo mimo tych wszystkich przykrych zwrotów historii Polacy zachowali coś, co można nazwać uśmiechem – pogodą ducha, która pomogła im przetrwać najcięższe chwile. Jak powiedział Terence MacSwiney, irlandzki patriota, „zwyciężają nie ci, którzy potrafią najlepiej zadawać ból, lecz ci, którzy potrafią znieść cierpienie”. I mimo że przed Polską jeszcze długa droga, już widać, że Polakom udało się wyjść ze wszystkich tragedii obronną ręką i świetlana przyszłość stoi przed nimi otworem. Sedno polskości to nie patriotyzm, lecz umiejętność znoszenia tragedii z pogodą ducha – często nawet z dowcipem na ustach! To, że się potrafi śpiewać, kiedy inni płaczą. Albo powstawać, gdy inni upadają. Sedno polskości to budować i odbudowywać – albo robić takie filmy jak *Miś* Stanisława Barei, film, który doskonale ilustruje polski charakter – Polak wyśmiewa system i samego siebie. Podobnie polska telewizja – z jednej strony depresyjne seriale, z drugiej zaś pogodne filmy. Polska telewizja to w ogóle interesujące zjawisko dla obcokrajowca, bo nasuwa pytanie następujące – jaką ona pokazuje rzeczywistość? Z jednej strony seriale takie jak *M jak miłość* czy *Rodzina zastępcza*, które ukazują obraz rzeczywistości, z którą ja nigdy się w Polsce nie spotkałem – nie twierdzę,

że jej nie ma, lecz że jest bardzo rzadko spotykana i dla większości Polaków stanowi domenę fantazji raczej niż realnego życia. Z drugiej strony takie seriale jak *Daleko od noszy* czy *Świat według Kiepskich* są blisko rzeczywistości – i mimo iż ukazują ją w komicznym świetle, robią to dosyć wiernie. Te dwa ostatnie to też świetny przykład polskiej umiejętności śmiania się z samych siebie i z warunków, w których przyszło Polakom żyć.

Jakie więc Polska robi wrażenie na przybyszu? Dobre czy złe? Czy ma on szansę dostrzec polskość w Polsce? A jeśli tak – to gdzie? W czym? Jak cudzoziemiec może tego zaznać? Myślę, że istnieje ogromna różnica między wizytą w Polsce w roli turysty a mieszkaniem tu na stałe. Kiedy przyjeżdżałem, widziałem to, co każdy turysta. Teraz, kiedy tu mieszkam, udało mi się zajrzeć trochę głębiej – i dostrzec to, co dobre, co złe, a czasem wręcz odrażające. *The good, the bad and the ugly*. Można powiedzieć, że wszystko to tak samo jak gdziekolwiek indziej – prócz jednego, prócz tej determinacji i umiejętności życia, trwania, nawet w obliczu klęski. Oto, z czego Polacy mogą być naprawdę dumni.

przel. Marek Gajdziński

Janusz Szuber

PATRZEĆ I NIC i inny wiersz

Patrzeć i nic

Tak, potwierdzam, zerwałem się z taboretu
i uderzyłem go dwa razy w twarz, no dobrze, trzy,
ale jak on zachował się wobec tej kobiety:
nachylony ku niej mówił coś,
czemu ona starała się zaprzeczyć,
taki charakterystyczny ruch głową i ręką,
i on tę jej rękę wykręcił raz i drugi
(jednocześnie warknął do barmana,
aby przyciszył „cholerną muzykę”);
musiało ją ostro zboleć, bo tracąc równowagę
raptem całą sobą odwróciła się
w moją stronę tak, jakbym był temu
wszystkiemu winien i to tylko dlatego, że
siedziałem obok i piłem to samo co oni,
no więc w podobnej sytuacji mógłby pan patrzeć i nic?

Rzeczywiście, te trzy

Rzeczywiście, te trzy wiersze,
które po złamaniu przysłali mi do korekty,
bo mają się ukazać w najbliższym numerze,
trzymają się razem mocno,
są *bardziej* niż kiedy je myślałem,
a potem w kółko od nowa pisałem,
w przeciwieństwie do mnie, ich autora,
który jestem *mniej* i *mniej*,
jak chociażby teraz,
po telefonie z umierającym H.,
i nawet przez chwilę żałowałem,
że H. ma tam ze sobą komórkę,
podczas kiedy ja tu
nic, już nic dla niego.

Joanna Ciepłińska

FILMOWA GDYNIA

W STARYM KINIE

Polską stolicą sztuki filmowej Gdynia stała się już na początku swojego istnienia, kiedy – zachwycona początkującym kinematografem – kibicowała jego dalszemu rozwojowi. Tłumy mieszkańców spragnionego nowości, portowego miasta wolny czas spędzały w pierwszych kinoteatrach, prezentujących produkcje filmowe Metro-Goldwyn-Mayer czy Warner Bros. Seanse kinowe były jedną z bardziej popularnych form rekreacji ówczesnych gdynian, dlatego też szybko krajobraz młodego miasta urozmaiciły liczne iluzjony. Nieopodal Wolnego Miasta Gdańska, preferującego produkcje niemieckie, między innymi jednej z największych w Europie wytwórni filmowej Universum Film AG, popularnie zwanej UFA, w gdyńskich kinach poza kinematografią amerykańską zobaczyć można było filmy polskie (w czasie, kiedy krajowa produkcja stanowiła niewiele ponad 2% propozycji repertuaru kinowego). Publiczność zelektryzowały pierwsze ekranizacje znanych powieści w rodzaju *Trędowatej* czy *Przedwiośnia*. Łzy gdyńskiej widowni wyciskały produkcje utrzymane w duchu romanсів Mniszkówny i Rodziewiczówny. Polskie filmy stawały się kinowymi przebojami, spośród których przywołać można choćby *Zapomnianą melodię*, *Piętro wyżej*, *Każdemu wolno kochać*, a rodzimi aktorzy, tacy



Fotos z filmu *Pod banderą miłości*, 1929, fot. Filмотeka Narodowa

jak Jadwiga Smosarska, Mieczysława Ćwiklińska, Hanka Ordonówna, Mira Zimińska, Adolf Dymśa czy Eugeniusz Bodo – pierwszymi gwiazdami na firmamencie polskiej kinematografii.

Ówczesna Gdynia, podobnie jak kinematograf, była kontrowersyjna, młoda i chłonna wszystko, co nowe. Może dlatego stanowiła idealną scenografię dla rozwoju iluzjonów, co nie było w II Rzeczypospolitej sprawą tak oczywistą, biorąc pod uwagę ubogą dość reprezentację kinematografu w Polsce, w której jeszcze w 1938 roku było 807 kin (z czego 789 dźwiękowych), podczas gdy w dużo mniejszych Czechach funkcjonowało ich 1608, a w Niemczech – 64 505¹.

GDYŃSKIE PLENERY

Najstarszą produkcją kinową, która za miejsce swoich wydarzeń wybrała Gdynię, był film *Pod banderą miłości* z 1929 roku, w reżyserii Michała Waszyńskiego. Obraz ten wprowadził gdyńskie plenery do polskiej kinematografii, nadając im jednocześnie specyficzny, przygodowo-awanturniczy charakter, później tak często wykorzystywany przez reżyserów filmów sensacyjnych. Wszystko to akcentowało atmosferę otwarcia portowego miasta i portu zapowiadającego zamorską podróż, przygodę, jednym słowem – uchylało wrota gdyńskiej bramy na świat. We wspomnianym filmie pojawił się bowiem i nielegalny pasażer na gapę, wyjeżdżający z Gdyni do Sztokholmu, i motyw szpiegowski, i przestępstwo; nie zabrakło też – rzecz jasna – wątku miłosnego. Kolejna realizowana w Gdyni produkcja to ekranizacja *Wiatru od morza* Żeromskiego z 1930 roku (reżyseria Kazimierz Czyński), w której „motyw gdyński”, motyw Pomorza został wykorzystany w roli symbolicznego miejsca na nowej mapie państwa polskiego. W Gdyni po części rozgrywa się także *Czarna perła* (również w reżyserii Michała Waszyńskiego) z roku 1934, obfitująca w wątki intrygi, zdrady i kradzieży, zaludniona postaciami lokalnych aferystów i „szemranych przedsiębiorców”. W gdyńskich plenerach ważną rolę odgrywało, co naturalne, morze oraz umieszczenie akcji filmu na okrętach, statkach i łodziach. Tak było romantycznej *Rapsodii Bałtyku*, zrealizowanej w 1936 roku przez Leonarda Buczkowskiego, w której udział wziął Morski Dywizjon Lotniczy i Marynarka Wojenna (akcja rozgrywa się na kontrtorpedowcu ORP Wicher oraz SS Kościuszek). Przebojami stały się piosenki z tego filmu – słynna piosenka marynarzy oraz *Śpiewają fale*. Niemiecki okręt „Holstein” i polski

transatlantyk „Kościuszek” (na nim porucznik Kotowicz wraca z amerykańskiego rejsu) zagrały w produkcji z 1936 roku *Mały Marynarz*.

W wodach gdyńskiego nabrzeża, w porcie Marynarki Wojennej na Oksywiu zatopiony został „Titanic”, z niemieckiej wersji tej historii z roku 1943. Film w reżyserii Wernera Klinglera i Herberta Selpina wyprodukowano na zlecenie Goebbelsa jako obraz propagandowy, antybrytyjski głów-



Kadr z niemieckiego *Titanica*, kręconego w Gdyni w 1943 roku

nie. Filmowcom z wytwórni Tobis, którzy zamieszkali na czas zdjęć w kurorcie Zoppot, w kręceniu scen morskich pomagać miało stacjonujące w Gotenhafen wojsko, zwłaszcza Kriegsmarine. Nieopodal bazy niemieckich U-botów powstały ogromne dekoracje filmowe służące kręceniu zdjęć plenerowych, w tym pełnych dramatyzmu scen tonącego statku oraz paniki na pokładzie².

W POZOSTAŁYCH ROLACH

Duma II Rzeczypospolitej – polskie transatlantyki oraz żaglowce stanowiły wdzięczną scenerię dla powojennych produkcji filmowych. I tak, na „Darze Pomorza” kręcono *Załogę* z 1957 roku w reżyserii Jana Fethke, a okręt podwodny „Sęp” odgrywał rolę „Orla” w filmie Leonarda Buczkowskiego *Orzeł* (1958 rok) będącym opowieścią o dziejach jednego z polskich okrętów podwodnych, które brały udział w walkach września 1939 roku. Nadmorskie plenery Gdyni wykorzystywały dramaty sensacyjne: *Wraki* (rozgrywające się w środowisku nurków) Ewy i Czesława Petelskich oraz *Skarb kapitana Martensa* Jerzego Passendorfera. Na „Batory” realizowano zdjęcia do *Pasażerki* Andrzeja Munka, na tymże transatlantyku przypląwa z Ameryki do Gdyni trójka bohaterów komedii obyczajowej *Jadą goście jadą* z 1962 roku. „Batory” pojawił się także w *Żonie dla Australijczyka* Stanisława Barei oraz w *Kochaj albo rzuć* Sylwestra Chęcińskiego.

Plakat *Ostatniego kursu*

Powojenna Gdynia, ze swoim nadmorskim klimatem i portowym zapleczem, powiedzmy, gastronomiczno-rozrywkowym, była świetną lokalizacją dla kina sensacyjnego. Wystarczy tu wymienić komedię kryminalną *Walet pikowy* Tadeusza Chmielewskiego, rasowy kryminał z biglem *Ostatni kurs* Jana Batorego (1963 rok), ze scenariuszem autorstwa Joe Alexa (Macieja Słomczyńskiego), popularnego autora sensacyjnych widowisk telewizyjnych *Kobra* i powieści detektywistycznych. W jednym z odcinków serialu *Stawka większa niż życie* Gdynia „zagrała” Paryż. Była również scenerią filmu *Ostatni po Bogu* Pawła Komorowskiego oraz znanej serii sensacyj-

no-kryminalnej *SOS* Janusza Morgensterna. Przestępczy margines polskiego Wybrzeża penetrowały *Mewy* Jerzego Passendorfera z 1986 roku, rozgrywane się w wielojęzycznych barach Nowego Portu i portowej Gdyni, z „Amerykańcami” i „Szwedziakami”, gdzie portowe dziewczęta, potocznie zwane mewami właśnie, „zawodowo tuliły się do marynarzy”³. To tylko nieliczne pozycje z bogatej produkcji filmowej realizowanej w Gdyni, do których dodać wypadałoby chociażby *Jutro Meksyk* ze Zbigniewem Cybulskim, *07 zgłoś się*, *Smugę cienia* i *Człowieka z żelaza* Andrzeja Wajdy czy *Sztos* Olafa Lubaszenki⁴.

W ROLI GŁÓWNEJ

W ubiegłym roku Gdynia stała się nie tylko scenografią, ale pierwszoplanową bohaterką, głównym tematem filmu. *Miasto z morza* Andrzeja Kotkowskiego, bo o tym mowa, pokusiło się o stworzenie

epickiej opowieści o narodzinach Gdyni. Film został zrealizowany na podstawie pierwszego tomu powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat *Tak trzy-mać*, a opowiadana historia dotyczy okresu od wiosny 1923 do lutego 1926 roku. Mimo że produkcja nie zebrала pozytywnych opinii, była pierwszą próbą zmierzenia się z gdyńskim fenomenem. Szkoda, że nieudaną. Z drugiej strony rozpoczęła być może swoisty proces zarysowywania się dziejów Gdyni jako potencjalnego materiału filmowego, ożywiła zainteresowanie miastem i dyskusję nad jego historią.

Nie tylko nadmorskie plenery i różnorodność architektoniczna Trójmiasta przyciągała i dalej przyciąga filmowców na Pomorze. Jednym z istotnych motywów jest bogate zaplecze historyczne. Także Gdynia kusi twórców swoją historią – począwszy od fenomenu młodego, portowego miasta, jednego z bardziej udanych projektów II Rzeczypospolitej, przez niezwykle ciekawą epokę dwudziestolecia międzywojennego, okres II wojny światowej, a skończywszy na wydarzeniach politycznych lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Krystyna Janda, Wojciech Pszoniak i Piotr Fronczewski mają wystąpić w produkcji opowiadającej o Grudniu '70 w Gdyni (reżyseria Antoni Krauze). Początek zdjęć do *Czarnego czwartku*, pierwszego filmu fabularnego o tragicznych wydarzeniach gdyńskich 1970 roku, planowany jest na luty 2010. To kolejny obraz, w którym miasto będzie odgrywać znaczną rolę, a filmowe sytuacje rozgrywać w miejscach reprezentujących historyczną scenerię wydarzeń – w halach gdyńskiego portu i na gdyńskich ulicach. Przysiąc trzeba, że choć Trójmiasto nie miało zaplecza producencko-kadrowego, często stanowiło scenerię dla polskich filmów. Z jednej strony zawdzięczało to swojemu naturalnemu urokowi, nadmorskiemu położeniu oraz bogactwu motywów historycznych, z drugiej – z wiadomych (politycznych) powodów filmowcy chcieli tu bywać.

Praca przy filmie *Miasto z morza*, fot. Wojciech Korsak/Profilm

NOWE GŁOSY

Gdynia robi wiele, aby być nie tylko ciekawą scenografią czy tematem filmowym, ale żeby w mieście realizowano także produkcje filmowe. Rozwija się młode kino – poza produkcjami współfinansowanymi przez Gdyniński Fundusz Filmowy (*Nauczanie początkowe* w reżyserii Marcina Bortkiewicza oraz *Pułkownik Dąbek. Obrona Gdyni 1939* w reżyserii Bartosza Paducha) – w Gdyni, dzięki Pomorskim Warsztatom Filmowym (dotąd odbyło się siedem edycji), powstają



Uczestnicy 7 Pomorskich Warsztatów Filmowych w czasie pracy z ekipą filmową, jesień 2009, fot. Jan Wilkiewicz

etiudy filmowe młodych adeptów tej sztuki. Pomysłodawcą i realizatorem warsztatów jest Jerzy Rados, organizatorem – Pomorska Fundacja Filmowa i Centrum Kultury w Gdyni, a finansowego wsparcia udziela miasto Gdynia i Polski Instytut Sztuki Filmowej. Podczas pierwszej i drugiej edycji warsztatów zrealizowano filmy *Sgrafitti* i *Partner*, poczynając od trzeciej ich edycji – etiudy fabularne powstawały w dwóch wersjach montażowych: *Game over/Fun*, *Jak brat*, *Tequilla sunrise/Zawrócony*, *Kochasz mnie?/Zaręczyny*, *Parking godzina 16/Nic się nie stało*. Ideą warsztatów jest założenie, że ich uczestnicy, pracujący pod opieką zawodowych filmowców, nie tylko wspólnie zrealizują własny obraz, ale także będą brali udział we wszystkich

etapach powstawania produkcji filmowej (scenariusz, realizacja zdjęć z udziałem aktorów, montaż i udźwiękowienie). Dzieło finalne warsztatów – etiudy są pokazywane podczas festiwalu w ramach serii „Filmy z Gdyni”⁶.

ZAPLECZE FILMOWE

Najbardziej wyrazistą wizytówką filmowej Gdyni jest organizowany tu od roku 1986 (wcześniej w Gdańsku) Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. W 2005 roku powstała w Gdyni Pomorska Fundacja Filmowa, która prężnie działa nie tylko w zakresie organizacji festiwalu, ale także warsztatów filmowych oraz promocji polskiej kinematografii w Polsce i za granicą. Pomorska Fundacja Filmowa, angażując się w międzynarodowe projekty, popularyzuje rodzime kino za granicą (Festiwal Filmu Polskiego w Irlandii w 2006 i 2007 roku oraz jego kontynuacja w 2008 roku – Kinopolis, zorganizowany wspólnie z The Irish Film Institute w Dublinie; Przeglądy Filmów Irlandzkich w Polsce oraz Festiwal Filmów Ukraińskich w Polsce i Festiwal Filmów Polskich na Ukrainie). W planach Fundacja ma organizację Festiwalu Filmów Polskich w Japonii oraz Przeglądu Filmów Norweskich i Islandzkich w Polsce (impreza przewidziana jest na maj 2010 roku). Fundacja chce także promować polskie kino w kraju, czemu służyć ma „objazdowy” Przegląd Kina Polskiego „Konfrontacje”, podczas którego filmy nagrodzone w ramach FPFF będą prezentowane szerokim kręgom odbiorców (w tym roku będą to projekcje w 12 polskich miastach, między innymi w Bydgoszczy, Toruniu, Wrocławiu, Rzeszowie i Lublinie).



Plakat 34. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni

GDYŃSKA SZKOŁA FILMOWA

Gdynia z festiwałem filmowym i działalnością Pomorskiej Fundacji Filmowej wydaje się idealnym miejscem na funkcjonowanie szkoły filmowej. Miasto pokazuje, że jest zainteresowane realizacją projektów kinematograficznych, wspierając produkcje, współfinansując warsztaty, a w końcu i samą nowo powstającą szkołę filmową, powołaną do życia przez Pomorską Fundację Filmową. Pierwsze kadry studenckie wyłonią się zapewne po części z uczestników warsztatów – naukę w szkołę kontynuować będą ludzie mający za sobą pierwsze próby filmowe. Oferta nowo powstającej placówki skierowana jest także do tych, którzy chcą zdobyć doświadczenie obejmujące wszystkie etapy powstawania filmu pod okiem zespołu zawodowców odpowiedzialnych za poszczególne elementy produkcji kinematograficznej. Szkoła, mimo że o profilu reżysersko-operatorskim, przekaże wiedzę w szerokim zakresie: poczynając od reżyserii, przez pracę z kamerą, oświetleniem, udźwiękowieniem, aż po montaż, postprodukcję, a także marketing produkcji filmowych czy opracowanie budżetu filmowego.

Tempo rozwoju pomysłu zdaje się być kontrolowane, po kilkumiesięcznych warsztatach powstaje dwuletnia Gdyńska Szkoła Filmowa, której pomysłodawcami byli: Leszek Kopeć (jednocześnie dyrektor szkoły), Jerzy Rados oraz prezydent miasta Wojciech Szczurek, a autorem programu – Robert Gliński. Wzorem dla organizatorów stał się amerykański model *workshop'u*, dzięki czemu nowa placówka będzie mogła wnieść w świat szkolnictwa filmowego coś nowego – przyspieszony kurs sztuki kinematograficznej, ofertę dla zniecierpliwionych klasyczną edukacją akademicką. Trudno porównywać ten projekt do istniejących szkół filmowych, gdyż jego założenia i oferta idą w innym kierunku. Przez dwa lata studentami opiekować się będzie grupa stałych wykładowców, pod kuratelą których wykonywać oni będą określone programem nauczania zadania. To propozycja dla tych, którzy nie chcą poświęcić na edukację filmową wielu lat, dla tych, którzy chcą wypróbować swoich sił w filmie pod okiem profesjonalistów oraz zdobyć znajomość podstawowych narzędzi. To oferta skierowana również do tych, którzy niekoniecznie chcą zostać filmowcami, ale mają na celu zdobycie wiedzy i doświadczenia, pozwalającego na profesjonalne prowadzenie zajęć i warsztatów dla młodzieży tą dziedziną sztuki zainteresowanej.

Absolwenci Gdyńskiej Szkoły Filmowej mogą stanowić grupę, którą zainteresują się producenci filmów oraz seriali telewizyjnych

(tym bardziej że studenci mają odbyć u nich praktyki). Wśród przedmiotów wykładanych w placówce znajdują się tradycyjne zagadnienia: scenografia, kostiumologia, fotografia, montaż filmowy, muzyka filmowa, technika i technologia dźwięku, oraz produkcja filmowa, dramaturgia i scenariopisarstwo, praca z aktorem, historia filmu, analiza filmu fabularnego i dokumentalnego, historia sztuki, historia myśli filmowej, wybrane zagadnienia literackie, organizacja produkcji czy marketing filmowy, które mają wieloaspektowo przygotowywać do pracy w szeroko pojętej branży filmowej. Zdaje się, że warto byłoby poszerzyć listę przedmiotów o te, które pozwolą młodym, co bardziej przedsiębiorczym, adeptom na pozyskiwanie funduszy europejskich (i nie tylko) do realizowania własnych projektów.

Największym atutem Gdyńskiej Szkoły Filmowej będą na stałe współpracujące z nią kadry – uznani filmowcy i wykładowcy, między innymi: Grzegorz Łoszewski (scenariusz filmu fabularnego), Paweł Huelle (adaptacja literacka na potrzeby scenariusza filmowego), Andrzej Titkow (reżyseria filmu dokumentalnego), Andrzej Jaroszewicz (sztuka operatorska), Mirosław Przyłipiak (historia filmu), Sławomir Pultyn (fotografika), Milenia Fiedler i Rafał Listopad (montaż). Gdyńska Szkoła Filmowa będzie się utrzymywała z dotacji Miasta Gdyni i środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Przymierzając się do poważnej współpracy z zagranicznymi szkołami filmowymi (między innymi z norweskimi), zapewne sięgnie po fundusze unijne oraz zmobilizuje do finansowego wsparcia ambitnych przedsiębiorców gdyńskich. W nowym budynku na ulicy Chrzanowskiego, koło Urzędu Morskiego, który ma zostać użyczony szkole, powstanie swiste gdyńskie centrum filmowe, z małym profesjonalnym studiem, pracownią oraz salą projekcyjną. Jeśli pomysł na placówkę sprawdzi się w praktyce, Gdynia będzie pierwszym miastem północnej Polski kształcącym kadry filmowe. Dziś głównymi ośrodkami szkolnictwa w tej branży są Łódź, Katowice oraz Warszawa. Miasto stanie się atrakcyjniejszym miejscem na realizację projektów kinematograficznych, jeśli będzie dysponowało zapleczem kadrowym. Jednocześnie szkoła taka ma szansę zintegrować trójmiejskie środowisko filmowe.

PRZYPISY

¹ Dane za: Z. Wyszyński, *Polska kultura filmowa (1918–1939)*, [w:] *Polskie kino lat 1918–1939 (zagadnienia wybrane)*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 1980, z. 40, s. 11.

² Szerzej historię realizacji niemieckiego *Titanica* opisuje między innymi Leszek Adamczewski w artykule *Ostatnia ofiara „Titanica”*, „Twój Tydzień Wielkopolski” 24.10.2007.

3 Film powstał na podstawie powieści Stanisława Goszczurnego *Mewy*, Gdańsk 1987. *Ibidem*, s. 75.

4 Gdyńskie miejsca związane z kinematografią prezentuje w swoim filmowym przewodniku po Trójmieście Katarzyna Fryc-Hyży. Zob. *eadem*, *Filmowy spacerownik po Trójmieście*, Warszawa 2009.

5 Gdyńskie plenery zostały wykorzystane również w filmie *o_1_o* Piotra Łazarkiewicza. Jednak w tym przypadku fabuła nie jest zanurzona w gdyńskich realiach, przez co miasto pozostaje tu tylko anonimowym tłem. W 2009 roku powstał także fabularyzowany film dokumentalny Barosza Paducha *Pułkownik Dąbek. Obrona Gdyni 1939* o historii bohaterskiej obrony Gdyni i Kępy Oksywskiej. Obraz, bogaty w sceny fabularyzowane i rekonstrukcje, odtwarza walki na Kępie Oksywskiej.

6 Jeśli już mówimy o edukacji filmowej, warto zauważyć, że Pomorska Fundacja Filmowa i gdyńskie III Liceum Ogólnokształcące im. Marynarki Wojennej organizują Przegląd Amatorskich Filmów Uczniowskich – Albatrosy.

Natalia Śniadanko

MAŁO ISTOTNE NIUANSE ATRAKCYJNOŚCI SĄSIEDZKIEJ

Kryje się w tym jakaś podwójna księgowość. Wystarczy tylko zbliżyć się do granicy – tej niby umownej linii – i już działa niewidzialny przełącznik i wszystko zaczyna się gruntownie zmieniać. Autobus z pracownikami sezonowymi żałośnie skrzypi i na każdym następnym zakręcie wydaje się, że już nareszcie się rozwali. Dookoła są prowadzone tradycyjne rozmowy o tym, gdzie i ile płacą, o specyfice pracy sezonowej, o tym, jak się tam dostać, i o nowych rodzajach sadomasochistycznych zabaw dla pragnących otrzymać wizę w polskim konsulacie we Lwowie. Słysząc wiecznie aktualne historie o naiwnych Niemcach, Włochach, Portugalczykach, którzy przyjeżdżają na Ukrainę i patrzą na wszystko szeroko otwartymi oczami, niezdolni pojąć nawet najprostszego – jak można być bezrobotnym i jednocześnie jeździć nowiusieńkim Audi, a przecież dla sprytnego Ukraińca znaczy to tyle, co splunąć. O nieporadnych Amerykanach, którzy trafiając na Ukrainę, nie są w stanie samodzielnie kupić nawet biletu kolejowego. O pozbawionych fantazji polskich celnikach, którzy nie potrafią znaleźć w majtkach papierosów, jeśli tylko dobrze się je schowa. Słuchając tych rozmów, nie masz wątpliwości, po czyjej stronie jest przewaga i kto jest pozbawiony przeczulenia na punkcie swojego kompleksu niższości, najpierw narodowego, a później osobistego. Oni mają świadomość, że wśród nich są złodzieje, oszuści i handlarze narkotykami, nie dlatego, że są Ukraińcami, ale dlatego, że złodzieje, oszuści i handlarze narkotykami są w każdym narodzie. Mają świadomość, że zachowują się zgodnie z najgorszymi stereotypami, rozpowszechnionymi na ich temat w świecie, bo tak jest łatwiej, bo tak uda się więcej zarobić, bo Ukrainiec, który wygląda tak, jak ma wyglądać, wywołuje większe zaufanie niż ten zanedbany współczesny. Może wcale nie jest Ukraińcem, tylko jakimś oszustem, z takimi lepiej się nie zadawać.

Ale nagle ci pewni siebie i dobrze zorientowani w sytuacji ludzie, co sami palą „Marlboro”, a nie ten najtańszy szajs, który wiozą na sprzedaż, zaczynają przeobrażać się na naszych oczach, ciągle jeszcze pobrzękując butelkami wódki, niby na dowód, że to wszystko ci się

nie śni. Ich pewność i *coolness* zastępuje paniczny, niemal zwierzęcy strach, tak jakby dzisiejsze przekroczenie bądź nieprzekroczenie granicy decydowało o kwestii życia lub śmierci.

W tym momencie pojawia się cicha nadzieja, że to tylko gra, wyłącznie dobrze dopasowane dekoracje, a ci ludzie są najzwyczajniej aktorami, którzy naprawdę pozostają świadomi wszystkiego i żartują sobie w tak wyszukany sposób, po prostu imitując poniżenie i strach przed tymi, którzy mogą ich przeszukać i zabrać zbędne kartony i litry, którzy mogą nie przepuścić przez granicę pomimo białej wizy w paszporcie, mogą zażądać jakiegoś innego ubezpieczenia, zaproszenia, skierowania czy nawet po prostu bardziej przekonującego wytłumaczenia celu wizyty, większej albo przeciwnie – mniejszej ilości gotówki przy sobie.

Bardzo podobnie zachowują się Polacy, pewni swojej przewagi, kiedy razem z Ukraińcami przewożą kontrabandę przez Szegini, gdy sprzedają Ukraińcom używane samochody „z Europy”, gdy przyjmują Ukraińców do prac sezonowych. Jednak wszystko stanowczo się zmienia, kiedy sami przyjeżdżają na prace sezonowe do Europy, gdzie znowu znajdują się w lepszych warunkach niż Ukraińcy, ale tutaj już ich to wszystko nie cieszy, bo porównują swój status Polaków nie ze statusem Ukraińców, ale z tym, jak są traktowani Europejczycy. Wtedy ich indywidualne zalety przegrywają na tle samoidentyfikacji z negatywnym wizerunkiem kraju. Tu również działa niewidzialny przełącznik i przesadna wytworność, którą reprezentują podczas wizyt w domu, znika w oczach po przekroczeniu granicy, zastąpiona przez bezradność wobec własnych kompleksów. I każdy indywidualny sukces, każdy kolejny krok w kierunku pewniejszej sytuacji w wymarzonej europejskiej raju nie zmniejsza ani tej bezradności, ani tych kompleksów związanych ze statusem kraju swego pochodzenia.

Chociaż, abstrahując od kontekstu pracy sezonowej i ograniczając się do trochę bardziej kameralnego aspektu turystycznego, to wzajemne odwiedzanie się Polaków i Ukraińców charakteryzuje zdecydowanie bardziej przyjemny wachlarz uczuć. Ukraina dla większości Polaków staje się miejscem sprzyjającym poprawie samooceny i pozytywnej samoidentyfikacji jako Polaka. Przecież tutaj, za wschodnią granicą, bycie Polakiem jest o wiele bardziej prestiżowe niż za praktycznie nieistniejącą, choć wciąż zdecydowanie bardzo dotkliwą psychologicznie, granicą zachodnią. Dla Ukraińców podróż do Polski zaczyna być nie mniej pozytywnym doświadczeniem odwiedzin takiej sobie, zaadaptowanej do ukraińskich wyobrażeń o cywilizacji, Euro-

py. Europy, która często różni się od Ukrainy bardziej statusem niż rzeczywistością wyższym standardem życia i doskonalszymi realiami. Właśnie ta wirtualna europejskość jest doskonale zrozumiała i bliska dla ukraińskiej duszy, rozumiała jak większość polskich słów, które niekiedy brzmią tak podobnie. I chociaż często okazuje się to złudą, bo naprawdę oznaczają one coś zupełnie przeciwnego, to dla ukraińskiego ucha takie podobieństwo mimo wszystko pozostaje przyjemne. Przyuczeni do życia w rzeczywistości podwójnych standardów, zarówno Ukraińcy, jak i Polacy ze spokojem reagują na tę wirtualność, która często nie tylko ich nie denerwuje, lecz – wręcz przeciwnie – uspokaja według dziwnej logiki: nie ma rzeczywistości, niech przynajmniej będzie jej imitacja.

Wartości związane ze statusem są trwałe i niezmiennie. Bezradny Europejczyk, niemogący uporać się z polskim czy ukraińskim zagniatanym systemem obsługi kolejowej, staje się przedmiotem żartu. Jednak ten żart nie poniża Europejczyka – przecież jego bezradność ma w sobie coś arystokratycznego. Przyjechał on bowiem z lepszego, bardziej zorganizowanego świata – chociaż czasem rzeczywistość jest podobny do panienki, która dwadzieścia lat temu uciekła z rodzinnej wioski do miasta, żeby pracować jako sekretarka, a teraz przyjeżdża w gości i nie może sobie wyobrazić korzystania z wychodka na podwórzu i podcierania gazetą jak w dzieciństwie – co znów związane jest bardziej ze statusem, potrzebą jego potwierdzania niż z prawdziwymi odczuciami.

Moja babcia ma do tego wszystkiego znacznie prostsze podejście. W jej systemie wartości status ma raczej mniejsze znaczenie. Tym bardziej gdy chodzi o status powiązany z takimi efemerycznymi i przypadkowymi kategoriami jak kraj pochodzenia. Babcia współczuje wszystkim, którzy nie umieją orać pola i uprawiać cebuli, w jakimkolwiek by się nie narodzili państwie, bo taka umiejętność według niej czyni człowieka najbardziej niezależnym od świata zewnętrznego. Kto nie potrafi wyżyć z własnej pracy, na własnym kawałku ziemi, jest zmuszony dostosowywać się do wszystkich cywilizacyjnych uwarunkowań. A moja babcia dostosowywać się nie lubi. I w żaden sposób nie może zrozumieć, dlaczego trzeba szanować jakiegoś Europejczyka czy Amerykanina tylko dlatego, że ulice w jego kraju są czystsze. Przecież sam ich nie sprząta. W wyobrazeniach mojej babci państwa nie mają jakiegoś ogólnego wizerunku – negatywnego czy pozytywnego. Jeszcze pamięta czasy, kiedy mieszkała na terenie imperium austro-węgierskiego, ale i wtedy wychodek miała na podwórzu, tak jak stoi tam do dziś, chociaż w domu od dawna jest se-

des ze spluczką, elektryczny ogrzewacz wody, ogrzewanie i pralka automatyczna. Wychodek na podwórzu trzyma się na wszelki wypadek, przecież ciągle należy być gotowym na to, że wodę, prąd czy gaz mogą wyłączyć i wtedy trzeba będzie znowu palić drewnem i nosić wodę ze studni. I jeżeli potrafisz robić to wszystko i nie przejmować się dyskomfortem bytowym, to możesz czuć się naprawdę niezależnym, jakkolwiek by nie był wizerunek twojego kraju – atrakcyjny, czy wręcz przeciwnie – zdecydowanie negatywny. Największy komfort istnienia polega właśnie na takiej autonomiczności, na umiejętności radzenia sobie niezależnie od przychylności warunków zewnętrznych. W takim ujęciu zatem cechy indywidualne dominują nad zbiorowymi, narzuconymi z zewnątrz pojęciami.

Moje odczucie polskości, o ile w ogóle mam prawo o czymś takim mówić, jest odczuciem bardzo niepewnym i schematycznym, bo przecież mój najdłuższy pobyt w tym kraju nie przewyższał okresu kilkumiesięcznego. I jak wszystkie tego typu obserwacje – jest skazane na powierzchowność i niekończące się porównania. Wydaje nam się zwykle, że nowe jest łatwiej zasymilować i przyswoić, porównując do czegoś znanego. Być może jednak w ten sposób osiągamy wyłącznie przeniesienie swoich dawnych stereotypów na to, co dopiero zobaczone, i zamykamy sobie drogę do całkowicie nowych wyobrażeń, starając się dopasować wszystko do już istniejących ram i konwencji. Jednak, mimo wszystko, inaczej się nie da, dlatego kontynuuję porównywanie swojego odczucia polskości do odczucia ukraińskości, chociaż rozumiem, że nie warto tego robić.

Kiedyś podczas rozmowy przy stole mój współrozmówca, Polak, dumnie stwierdził, że wstąpienie Ukrainy do Unii jest nieuniknione, bo ta będzie „zmuszona” ją przyjąć, jak swego czasu była zmuszona zaakceptować Polskę. A kiedy zainteresowałam się, co właściwie stało się przyczyną przyjęcia Polski, usłyszałam zaskakującą odpowiedź: „Jak to co? To przecież czterdzieści milionów białych katolików w samym centrum Europy”. Wciąż jednak nie rozumiałam szczególnej wartości białych katolików w porównaniu ze wszystkimi pozostałymi narodami i wyznaniem, więc otrzymałam dalsze wytłumaczenie. Okazuje się więc, że biali katolicy z Polski są zdecydowanie lepiej przystosowani do życia w Europie i *a priori* bardziej ucywilizowani niż, powiedzmy, francuscy Arabowie, którzy tak utrudniają życie „normalnym” Francuzom. Nawet nie wspomnę, że sam przedstawiciel narodu wybranego Europę odwiedził kilka razy podczas wycieczek turystycznych, a we Francji nigdy nie był. Z tego być może trzeba było wyciągnąć wniosek, że europej-

skość i umiejętność adaptacji do życia w cywilizowanym świecie to rzecz wrodzona – ktoś ją ma, a ktoś nie i żadne życiowe doświadczenie tego nie zmienia.

W całej tej bezsensownej gmatwaninie rasizmu i kompleksów usłyszałam rodzime i znajome nuty. Drażniące rodzime i drażniące znajome oczywiście. W końcu dla Ukraińców, tak jak dla wielu niewykształconych ludzi, typowe jest ocenianie świata ze stanowiska bułhakowskiego bohatera książki *Psie serce* – Szarikowa. Od razu wyobraziłam sobie, jak mógłby wyglądać ten dialog dalej, gdybym użyła podobnego rodzaju argumentacji ze strony ukraińskiej i opowiedziała swojemu współrozmówcy, że Ukraińcy są naprawdę o wiele starszym i kulturowo bogatszym narodem niż wszystkie europejskie razem wzięte, bo przecież cała cywilizacja światowa pochodzi od kultury trypolskiej. Później zaczęlibyśmy się sprzeczać, kto naprawdę brał udział w wojnie trojańskiej – Prarusowie czy przodkowie polskiej szlachty. Potem przeszlibyśmy do kwestii europejskiej. A wszystko zakończyłoby się wiadomo czym. Ostatnim argumentem po stronie ukraińskiej byłoby to, że z takimi brudnymi dworcami Polska nie może uważać się za kraj europejski, a po stronie polskiej usłyszeliśmy coś bardzo podobnego o drogach, zaopatrzeniu w wodę, toaletach publicznych czy czymkolwiek innym i dyskusja ostatecznie przeszłaby na poziom niewyobrażalnie daleki od wysokich kryteriów europejskości.

Przyswojenie obcego to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie można sobie wyobrazić. W końcu wymaga uświadomienia sobie własnej porażki, pogodzenia się z tym, że twoje własne doświadczenie i wiedza są niedoskonałe i fragmentaryczne. Ta droga ujarzmięcia własnych ambicji przeważnie okazuje się zbyt trudna i ludzie podążają prostszą ścieżką, ignorując to, co oczywiste, i dostosowując zobaczone do przyswojonych wcześniej stereotypów.

Pewnego razu jechałam pociągiem ze wzruszająco młodą parą. Ona miała na imię Kwitka, on przyjechał na krótko z pracy w Portugalii tylko dlatego, żeby pobrać się z narzeczoną i z czasem przywieźć ją do siebie. „Wie Pani, co jest najdziwniejsze w ich kobietach?” – zapytał mnie nagle. „Zupełnie nie potrafią się ubierać. Nie to, co nasze, od których mogłyby się uczyć. Z naszymi kobietami wszystko jest jak trzeba – krótka spódniczka, buty na obcasach, fryzura, manicure, wszystko jak trza. A ich kobiety chodzą byle jak, spodnie, podkoszulki, gorzej od facetów. I nijak nie nauczą się, jak trzeba”. Później jego monolog przeciągnął się o kolejne uwagi o tym, że ich kobiety nie potrafią gotować i przez to muszą jeść w restauracjach, a tak być

nie powinno, o tym, jak mężczyźni nie potrafią wychowywać swoich kobiet, o tym, jakie nieznośne upały bywają w Portugalii nawet nocą i trzeba spać, przykrywając się wyciągniętymi z łódówki prześcieradłami, o warunkach pracy, charakterystyce kuchni i wszystkim innym, o czym zazwyczaj opowiada się w takich sytuacjach. Ale wszystkie te uwagi łączyło jedno – stanowcza odmowa przeniknięcia w nowe dla siebie doświadczenie i choćby chwilowego przypuszczenia, że to, co jest normalne od dzieciństwa, niekoniecznie jest jedynym słusznym, że ktoś może mieć inną opinię niż ta, którą masz sam, i przy tym może mieć chociaż częściowo rację. Ta stanowcza odmowa przyjęcia nieznanego i nie mniej stanowcze przekonanie, że „u nas wszystko jest, jak być powinno”, a im „trza się od nas uczyć”, ta wdzięczna i wygodna maniera rozkładania zobaczonego po stworzonych przez kogoś dla wygody i prostoty szufladach własnych wyobrażeń. Ta potrzeba uogólniania i porównywania, z której w końcu powstają stereotypy międzykulturowe, jest najbardziej uniwersalną i rozpowszechnioną formą podejścia do nieznanego. Formą niemal bezalternatywną.

Inna moja znajoma, opowiadając o wycieczce do Włoch w towarzystwie grupy Niemców, nie mogła nadziwić się, z jaką precyzją cały program podróży był oderwany od włoskich realiów. Nocleg w hotelu o niemieckim standardzie i z niemieckojęzyczną obsługą, żywienie w restauracji z kuchnią niemiecką i nawet niemieckimi winami, wycieczki do miejsc w taki czy inny sposób związanych z Niemcami. Tego rodzaju wyprawy niemieckich turystów możemy obserwować także w Polsce. Wydawać się może, że niemieccy turyści w ogóle nie powinni odczuwać potrzeby odwiedzenia Włoch czy Polski, gdyż wszystko, co niemieckie, mogą bez problemów dostać u siebie w domu, jednak taka myśl u nikogo z nich się nie pojawiła. Wręcz przeciwnie, wszyscy uczestnicy z grubsza byli bardzo zadowoleni, że zobaczyli inny kraj. I większość z nich miała o wiele lepsze wykształcenie niż narzeczony Kwitki z jego doświadczeniem pracy sezonowej w Portugalii. Tego rodzaju trend najlepiej jednak odwzorowują współczesne media w swoich informacjach o wydarzeniach za granicą. Najciekawszymi i najważniejszymi wiadomościami z Polski dla ukraińskich mediów będą te, które dotyczą Ukrainy. Wykorzystuje się tu ciągle tę samą zasadę uproszczenia świata, sprowadzenia do znanych i „jedynych słuszych” modeli i informacji, usypiania uwagi czytelnika, przekonywania go do tego, że poza granicami jego własnego podwórka nic szczególnie ważnego się nie dzieje i dzieć się nie może. A gdyby nawet coś takiego się zdarzyło, to jest to błąd, któ-

ry trzeba naprawić, demonstrując swoje własne, tak słuszne i uniwersalne doświadczenie. Wygodny i mobilny model świata, któremu trudno jest się przeciwstawić.

Przemyślenia w kwestii polsko-ukraińskiej nie mogą całkowicie pominąć kontekstu rosyjskiego, jakbyśmy tego nie pragnęli. Osobiście we wzajemnych stereotypach i wyobrażeniach najbardziej dziwi mnie specyfika myślenia w kategoriach „bliskie – dalekie, znane – nieznanne”. Wyobrażenia większości Polaków o Ukraińcach można by więc scharakteryzować jako „bliskie, ale nieznanne”. Ukraińcy podobnie odbierają Polaków. Natomiast Rosjanie dla większości Polaków to coś dalekiego i nieznanego, podczas gdy dla Ukraińców – bliskiego i znanego. I nijak nie mogę odgadnąć, dlaczego Ukraińcy tak często uważają rosyjskie za znane, a polskie za nieznanne, przecież większość przeciętnych obywateli wszystkich trzech państw ma właściwie podobną wiedzę, którą czerpie z publikacji w gazetach oraz wspomnień z dalekiej przeszłości, a nie konkretnego osobistego doświadczenia, ukształtowanego na podstawie własnych spostrzeżeń czy rzetelnego przestudiowania sytuacji. I chodzi tu, oczywiście, nie tylko o znacznie lepszą znajomość języka rosyjskiego niż polskiego wśród Ukraińców, lecz przede wszystkim o stereotypowe przeciwstawienie. Bardzo często „propolski” w kontekście ukraińskim brzmi jak synonim do „antyrosyjski” i na odwrót. W ślad za tymi synonimami podążają to w jedną, to w drugą stronę pojęcia postępu – zacofania, rozwoju – zastoju, słuszności wybranego kierunku rozwoju lub jego niepoprawności. Niekiedy ujawnia się to nawet na poziomie gramatyki, gdy szczególnie stanowczo nastawieni patriotci ukraińscy zamiast słowa, które wydaje się im rusyzmem, proponują ewidentny polonizm, uznając, że „tak będzie lepiej”. Czy trzeba to traktować jako podświadome pragnienie poszerzenia swoich wyobrażeń i przejście od „znanego” do „nieznanego”, „nowego”? Czy po prostu jako jeszcze jeden dowód na nieuniknioną potrzebę porównań jako jedyne dostępnego sposobu przyswojenia nowego, jego zrozumienia i uświadomienia?

Atrakcyjność jest zawsze ukierunkowana na zewnątrz. Jeżeli zaś ten zewnętrzny wizerunek pozostaje tylko doskonałym naśladownictwem jakiegoś wzoru, niedostosowanym do indywidualnych cech, to zawsze będzie stwarzał wrażenie trochę mechaniczne, skostniałe i nużące, czyli mało atrakcyjne. Innymi słowy, będzie sprawiał wrażenie imitowania atrakcyjności. O wiele ciekawsza jest niedoskonała i naiwna spontaniczność, niedostosowana do standardów, ale zmienna i dynamiczna, taka, która znajduje się w ciągłym rozwoju.

Trochę tak właśnie, „młodzieżowo”, mogłaby wyglądać polska atrakcyjność z punktu widzenia, powiedzmy, Niemców i Ukraińców, gdyby ktoś postanowił przeprowadzić takie niezwykle badanie statystyczne. Chcę wierzyć w słuszność mojego przypuszczenia, że porównanie tych wyników mogłoby ujawnić jakieś podejrzane podobieństwo niemiecko-ukraińskich ocen i nazwać atrakcyjnymi te cechy, które najbardziej denerwują samych Polaków. Na przykład – niepełne zorganizowanie bytowe, właśnie ono stwarza Ukraińcom iluzję przystosowanej do ich niewymagających gustów Europy, a Europejczykom pozwala urzeczywistnić nostalgiczną podróż w czasie, czy typowo słowiańska mentalność z umiejętnością patrzenia na wszystko z boku i z ironią, niby grając prostą i mało atrakcyjną rolę, która pozwala szybciej osiągnąć sprytnie ukryty cel. Albo spontaniczność i nieprzewidywalność, taka męcząca w zawodowych i taka przyjemna w towarzyskich stosunkach. I przede wszystkim – zmienność, ciągle pragnienie samodoskonalenia. Nawet jeżeli dotyczy to nie wszystkich i nawet jeżeli często przekształca się w masochistyczne kopanie samego siebie.

Przez dłuższy czas razem z Renatą, moją polską tłumaczką, sprzeczałyśmy się w listach, czy to, co teraz odbywa się na Ukrainie, można nazwać progresem. Ja w tej sprzeczce grałam rolę pesymistki, a ona do moich wszystkich uwag przytaczała identyczne opinie Polaków o Polsce. Dziwiło mnie to, bo według przeciętnego Ukraińca Polacy nie mają na co narzekać, przecież zdecydowanie następuje u nich postęp, być może ze zmiennym natężeniem, ale jednak bez żadnych wątpliwości. W końcu zgodziłam się z nią w kwestii tego, że postęp zachodzi tym szybciej, im więcej ludzie narzekają, im bardziej są niezadowoleni z tego, co ich otacza, i starają się zmienić coś na lepsze.

Teraz wydaje mi się, że do naszej dyskusji można wrócić. Bo zdolność narzekania, jak i wszystko inne też trzeba umieć w odpowiednim momencie powstrzymać, w przeciwnym razie to narzekanie może stać się celem samym w sobie i utracić konstruktywny potencjał zmian. Jest bardzo ważne, aby nie mylić niezadowolenia z kraju z niezadowoleniem z siebie i mieć zdolność podejmowania działania tylko w tych przypadkach, gdy można coś zmienić. Nie wiem, czy pomaga to w przyspieszeniu postępu. Nawet nie wiem, czy naprawdę postęp potrzebny jest do tego, aby czuć się szczęśliwym.

Ale wróćmy do pytania o to, jak wygląda polskość ze współczesnej perspektywy przeciętnego Ukraińca średniego pokolenia, raczej wolnego od ciężaru sąsiedzkich nieporozumień historycznych z prze-

szłości. Czy ten obraz można uznać za atrakcyjny i pozytywny, czy wręcz przeciwnie – odpychający i wrogi? Zastanawiając się nad tym tematem, przede wszystkim próbowałabym sformułować, na czym polega istota atrakcyjności – na odpowiadaniu stworzonym przez kogoś standardom czy na uświadomieniu sobie własnych zalet? I co jest ważniejsze – wiecznie niezaspokojone pragnienie doskonałości czy umiejętność oceny niuansów i zmian, z których składa się proces samodoskonalenia? I czy jest możliwe określenie jakichś ogólnych kryteriów atrakcyjności? Czy w ogóle należy je określać, a tym bardziej stosować się do nich? Jeżeli trzeba, to jak wtedy uniknąć unifikacji, zgubnej dla takich niuansów? I jeżeli wyobrazimy sobie, jak będzie wyglądać Polska za kilkadziesiąt lat, gdy nabierze wymarzonego europejskiego połysku we wszystkich sferach życia, to czy nie zabraknie w tym obrazie czegoś prawie nieuchwytnego, czegoś spontanicznego i nieprzewidywalnego, sentymentalnego i niedoskonałego, chaotycznego i nieuporządkowanego? Możliwe, że nie. Chociaż jest to wątpliwe, bo zawsze czegoś brakuje. Nawet jeżeli miałoby się wydać niebawem, że były to tylko drobiazgi.

przeł. Andrzej Tyrpa



Przez bulwar, na bulwarze i z bulwaru, fot. Andrzej T. Żak

Włodzimierz Kowalewski

CZY SIĘ ŚMIAĆ, CZY SIĘ BAĆ?

(fragmenty powieści *Człowiek moralny*)

SMS-a od Iry przeczytał w przerwie wykładu. „Wracaj jak najszybciej. Wielka niespodzianka!” Nie pisałyby tak bez powodu. Może Dziśka z małym niespodziewanie przyjechali? Przecież mieli być w Polsce na dniach. Wnuka nie widział dobre pół roku. Może Nicotera przysłał wreszcie z Chicago sygnałny egzemplarz „A New Perspectives of Space”? Wszędzie komercja! Nawet ściśle naukowym pracom próbuje się nadawać bzdurne, pseudoliterackie tytuły. A może... Nie, nie, nie! Na takie wiadomości nie powinno się czekać. W żadnym wypadku świadomie czekać! Nadejdą, jeśli będą miały nadejść. Nie powinno się nawet myśleć.

W każdym razie jest okazja, żeby kupić po drodze butelkę bordeaux. Dwie butelki.

Skończył zatem piętnaście minut wcześniej. Na dworze „nieśmiertelnik, żółty październik”, lało się ciepłe popołudnie, naokoło pachniało weekendem. Studenci z wolna pakowali laptopy, inni wychodzili, wciskając do uszu słuchawki mp-trójek, kilka dziewczyn dziobało paznokciami po klawiaturkach telefonów. Jedna z nich, duża, krótko ostrzyżona, jeszcze ze świecą komórką w rękę, podbiegła do katedry. Przepraszała, dygała śmiesznie. Chciała się umówić na egzamin. Odpowiedział, że do środy to niemożliwe, że będzie w Brzesku, więc mogłaby przyjść we czwartek, a najlepiej w poniedziałek za tydzień.

- Ale to już po terminie, panie profesorze.
- Zaraz... Czy pani nie pracowała przy cyklotronie?
- Zgadza się. Latem.
- Który zespół?
- Tabele, optymalizacja. U doktora Sierednickiego.
- To zmienia postać. Niech pani indeks pozwoli, wpiszę.
- Nie wzięłam.
- To proszę przynieść w czwartek.
- Ale przecież termin, panie profesorze...

Skrzywił się.

– Proszę łaskawie przypomnieć paniom w dziekanacie, że to ja wyznaczam terminy.

Zszedł na dół, powiedział „do widzenia” pani Korejwo, wyprowadził z portierni rower. Wiele się tu, w kraju, zmieniło, ale nie wszystko. Poprzedni, srebrne enduro A-Gang, które, modą uniwersyteckich kampusów całego świata, naiwnie zostawiał w stojakach przed Instytutem, znikło sobie pewnego razu bez śladu i to podczas międzynarodowej konferencji na temat rozpadu cząstek subatomowych.

Rowerowa ścieżka, jedyna w mieście, wila się przez brzozowy zagajnik, biegła wzdłuż akademików, potem u podnóża wielkiego blokowiska, aż do osiedla domków nad rzeką. Leniwe słońce, wszędzie pełno ludzi, w powietrzu drobne, suche liście, opadające jak cekiny.

Przez ostatnich szesnaście lat jego życie składało się z samych jesieni i zim. Przylatywali z Adelaide pod koniec sierpnia lub we wrześniu, gdy tam na dobre zaczynała się wiosna, ustawały deszcze i fioletowo kwitły jacarandy. Ira nigdy nie chciała, zawsze musiał perswadować, prosić. Kilka razy zostawała, przyjeżdżał sam. Święta Bożego Narodzenia spędzała wtedy w upale, nad basenem u Fraserów, przyjaciół z Faculty of Science, przy piwie i barbecue, słuchając muzyki etno. Nie zgadzała się też na kupno domu tutaj, trzeba było wynajmować, przepłacać. Co roku ten sam, od jakiegoś bankruta po pierwszej koniunkturze lat dziewięćdziesiątych, zastawiony jasnymi, nijakimi meblami z epoki. To zresztą bez znaczenia, nie przywiązywał się ani do miejsc, ani do rzeczy, podróżował z jednym plecakiem. Lubił tylko polską szarość, zgniliznę, deszcz ze śniegiem, ustawiał biurko pod oknem wychodzącym na błotnisty ogród. „Gdy otoczenie jest zimne i odstręczające, człowiek ucieka do wewnątrz, a to sprzyja pracy i skupieniu” – myślał sobie czasem. Pod stały adres w Adelaide, do bungalowu ze szkła i czerwonej cegły przy ślepej uliczce niedaleko North Terrace, wracali zawsze w marcu. Niebo już mętniało, po szklanej ścianie gabinetu coraz częściej spływały deszczowe strugi. Później, w czerwcu i lipcu, czyli w samym środku zimy, kiedy termometr spadał do czterdziestu stopni Fahrenheita, można było nawet znaleźć pretekst do rozpalenia kominka i wyobrażać sobie zwycięstwo nad ciemnością i chłodem, co jest bardzo potrzebne „ludziom północy”.

Teoria pulsacji i zmienności kompozytów leptonowych, która przyniosła mu rozgłos i która praktycznie unieważniła pojęcie „cząstki elementarnej”, po cichu wprawiała go w zakłopotanie, niekiedy powodując wyrzuty sumienia. Sformułował ją przecież, kierując się bardziej powierzchownym, intuicyjnym przekonaniem co do zasady świata niż naukowym dorobkiem wielkich poprzedników: Pankratowa, Blocha, Diraca, innych. Skoro zwykła, codzienna rzeczywistość

materialna od początku zaskakuje ludzi swoją nieprzewidywalnością, to dlaczego jej podstawa miałaby opierać się na starannie wy-preparowanych cechach, na liczbach raz na zawsze ustalonych w jakimś laboratorium?

Strukturę materii widział jako wieczne migotanie, ciągłą zmianę ról, niekończące się wzrosty i redukcje mas, ładunków, potencjałów. Tak więc – jeśli trzymać się stałych nazw wymyślonych przez naukę – coś, co jest na przykład elektronem albo neutrinem taonowym, tak naprawdę wcale nim nie jest, bo w ułamku sekundy nieustannie nabiera właściwości innych mikrocząstek, sklejaących się choćby w kawałek drewna, w słońce i beton, w kierownicę roweru i zaciśniętą na niej dłoń, w skórę i paznokcie tej dłoni, w całą doczesność.

Ale to na razie tylko filozofia. Wyzwaniem było naszkicować ramy tego procesu, wskazać prawidłowości, wymierzyć amplitudy, zbudować matematyczne wzory. Dlatego jego *The Structure of Living Concrete* stała się kilka lat temu najbardziej podziwianą i najbardziej wyśmiewaną pracą z dziedziny fizyki. W przeciwieństwie do akademickich wyznawców Modelu Standardowego wzajemne oddziaływanie cząstek wiązało z wpływem siły grawitacji. Uważał – narażając się na szyderstwa wielu uczonych kolegów – że o charakterze wymiany energii w rozmaitych konfiguracjach wewnątrzatomowych decyduje przede wszystkim przyciąganie ziemskie, łącząc je tym samym z realnym wymiarem życia, kształtując na przykład materię ożywioną albo martwą, generując stany skupienia.

Od dawna pracował nad kluczową dla współczesnej cywilizacji kwantową teorią grawitacyjną. Nie oddzielał jej od problemu teorii czasu, która fascynowała go szczególnie. Tu również punktem wyjścia musiała być filozofia, ponieważ poważni fizycy zwyczajnie uciekali od tego zagadnienia albo udzielali bezradnych, wymijających komentarzy. Opowiadał się za koncepcjami Mehlberga, Robba, Carnapa i nie miał żadnych wątpliwości – czas jest implikacją materii! To najważniejsze, podstawowe założenie! Czas nie istnieje w warunkach absolutnej próżni, upływa, „dzieje się” wyłącznie w ścisłej zależności od zjawisk i relacji międzycząstkowych, na pewno zachowując przy tym plastyczność i dynamikę. W przyszłości zamierzał rozwinąć karkołomną hipotezę Feynmana o tym, że antymateria porusza się w przeciwnym kierunku czasu.

Jaką postać ma czas? Czy jest kulą? A może przypomina fale w równych odstępach rozbijające się o skały Maslin Beach, gdzie spędzali australijskie weekendy? Albo składa się z warstw i jest podobny do kartek jedna na drugą wyrzucanych przez drukarkę komputera?

Mimo że systematycznie publikował książki sumujące rezultaty badań, takie jak ta, która właśnie ukazywała się w Stanach, do dzieła wieńczącego całość było bardzo daleko. W Brzesku, miejscowości oddalonej od uniwersytetu o kilkanaście kilometrów, powstawał cyklotron spiralny, budowany według jego projektu i pod jego kierunkiem. Wykorzystując kontakty, znajomości, pozycję naukową, udało mu się pozyskać na ten cel środki z kilku amerykańskich fundacji, z agendy ONZ, z NASA, programów unijnych, uczelni francuskich i niemieckich, nawet wydeptać dotacje rodzimego Ministerstwa. Wokół cyklotronu organizował interdyscyplinarny ośrodek badawczy łączący pracownie fizyki, chemii kwantowej, genetyki i biologii molekularnej.

Struktura atomu jako rozwiązanie zagadki istnienia? Życia, śmierci, trwania? Narzędzie do rozwiązywania tajemnicy wszechrzeczy, jak kiedyś Stary Testament?

Może – następne po Starym Testamencie?

Nie odważyłby się jeszcze powiedzieć tego głośno.

Do domu wszedł, pobrzękując butelkami. Ira wybiegła na powitanie i strojąc miny, kładąc palec na ustach, pokazywała uchylone drzwi.

W saloniku, przy włączonym telewizorze siedziała profesor Sonya Almgren z uniwersytetu w Lund. Podniosła się na jego widok, wyciągnęła obie ręce. Wysoka, mimo siedemdziesiątki doskonale zgrabna; z nieco ogorzałą, „morską” cerą i odrobiną szlachetnej siwizny. Witali się długo, wylewnie, próbował ukryć zdziwienie.

– Mam przesiadkę tu u was, lecę do Mediolanu. Niespodziewany wyjazd, nie było już bezpośrednich połączeń i tak mi zaproponowano. Dopiero z biletu zorientowałam się, że to przecież wasze miasto! Co za zbieg okoliczności, że to właśnie dzisiaj! Ale przepraszam za najście, za nietakt – usprawiedliwiała się nosową, szwedzką angielszczyzną.

– Sonya obiecała zostać na obiedzie pod warunkiem, że ją odwiedzimy na lotnisko. Ma samolot o dziewiętnastej trzydzieści, a dla ciebie – coś bardzo, bardzo ważnego! – Ira zacisnęła kciuki i podskoczyła kilka razy jak dziewczynka.

– Jasne, odwiedzimy. Jeszcze zdążymy się napić wina. Mediolan? Pewnie stary Zindler albo wielebny „signor professore Nazzareno Barbiani” – wyrecytował przeciągając samogłoski – i te jego...no...dyfuzje wodorowe.

– Nie, nie. Lecę zupełnie prywatnie. Ale wiadomości dla ciebie jak najbardziej dotyczą zawodu.

Wyjęła z torebki numer „Dagens Nyheter”. Zobaczył zdjęcia – cztery podobizny, między nimi swoją. Z gęstwiny liter długiego, niezrozumiałego tytułu wyłowił własne nazwisko, a potem jeszcze jedno – „Nobel”.

– Nic nie wiesz? Nikt ci nic nie mówił? Naprawdę? Przecież rektor dzwonił już ze dwie godziny temu! – ekscytowała się Ira po polsku, choć nie wypadało przy gościu. – Do Internetu też nie zaglądałeś? Od południa – aż buzuje! A teraz tu popatrz! Dzwonili już z kilku stacji, kazałam czekać.

Dołem telewizyjnego ekranu sunął czerwony pasek: PILNE: POLAK, PROF. SEWERYN GERARD, JEST WYMIENIANY PRZEZ SZWEDZKĄ PRASĘ JAKO JEDEN Z CZTERECH KANDYDATÓW DO TEGOROCZNEJ NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE FIZYKI.

– Tak się jakoś wszystko dziwnie poskładało. „Dobry znak” powiedziałabym, gdybym była meta-fizykiem, a nie zwykłym fi-zykiem – żartowała profesor Sonya Almgren z kieliszkiem w ręku. – Akurat przedwczoraj wróciłam ze Sztokholmu, z Akademii. Rozmawiałam z Ekbladem, z Hallmarkenem, wcześniej z Marią Sanders. Pytali tylko o ciebie, zawracali mi tobą głowę cały dzień, byli bardzo zainteresowani, bardzo pozytywnie nastawieni. Może jeszcze nie w tym roku, ponieważ lobby azjatyckie jest niezwykle mocne. Ale jeśli nie w tym, to w przyszłym już na pewno. Mało, ktoś z nich, nie powiem, kto, wręcz nalegał, aby dać ci to do zrozumienia. Nie mogą się też doczekać *A New Perspectives*.

– Przesada. Żadna sensacja. Właściwie krok we mgłę albo kolejny rozdział nieznanej całości. Sam jej nie znam. Najwyżej się domyślałam. Gryzę po kawałku jak jakiś publicysta.

– Wszyscy wiedzą, o jaką całość chodzi.

– Tak – popatrzył w sufit. – Nareszcie wyjść z Nim na „jeden – jeden”.

– Żeby mieszać w to Boga, trzeba wierzyć. „Wiara” i „fizyka cząstek elementarnych”, zgodzisz się, to bardzo egzotyczny duet. Absurd, Monty Python.

– Ależ ja nie wierzę! Nie muszę! Codziennie mam Jego twarde dowody, wystarczy włączyć oscyloskop – roześmiał się.

– No cóż, bez bezczelności nie byłoby nauki – zupełnie poważnie odpowiedziała profesor Almgren. – Zresztą nauka jest ze swojej natury niemoralna. Wydzieraniu każdej tajemnicy towarzyszy agresja, czasem podłość. I ta prostacka ciekawość uzbrojona w profesorskie binokle...

– A ja powiedziałbym zupełnie inaczej: wszystko, co ludzkie, jest moralne – poza obłudą. Widzę to w oscyloskopie.

– Straszne słowa! Sama tak kiedyś uważałam. Za to wyrzucili mnie kiedyś z Sorbony. Na całe szczęście! – profesor Almgren pociągnęła z kieliszka.

Następnego dnia od śniadania pracował w ogródku. Grabił liście, wyrwał zwiędłe lodygi, wykopał i zaniósł do piwnicy cebulki tulipanów.

– Chodź szybko! Znowu telefon od rektora! Będzie dzwonił za pięć minut! – zawołała Ira z tarasu.

– Powiedz mu, że mnie nie ma. Pojechałem sobie na crossing i nie wziąłem komórki!

– Ale podobno coś się stało! Jakaś szalenie ważna, bardzo pilna sprawa dotycząca ciebie! Magnificencja strasznie zdenerwowana! Aż język jej się pląta! Mówi, że teraz, że w nowej sytuacji, zupełnie nie wie, co robić i musi się z tobą natychmiast spotkać. Chce tu przyjechać zaraz.

– A jaką on może mieć „bardzo ważną sprawę” w sobotę po południu!? Zwariował facet, czy co?!!

*

Datę pamiętał dobrze: piątek, 16 maja, prawie koniec semestru. Temat banalny – rachunek zaburzeń Mellera-Plesetta. Czwarty rok, grupa „A”, sala nr 19, stary gmach przy Podtęczyńskiej. Studenci jak zawsze wychodzili pośpiesznie. Dziewczyny o mocnych makijażach, faceci długowłosi, z brodami. Mydlano-gorzki zapaszek perfum „Sawa”, kwaśny wody toaletowej „Consul”, w tle przelotny „dech” akademika – odgrzewane jedzenie, ciuchy prane w zlewie, pot. Wykrzykiwali głośne „do widzenia”, podawali sobie nad głowami jakieś książki i notatniki, w biegu przypalali papierosy; paliłi wszyscy.

Po korytarzu kręcił się zażywny, łysawy, w jasnych butach, brązowej marynarce. Taką samą brązową dyplomatkę odstawił na parapet, założył ręce do tyłu i spacerował tam i z powrotem od okna do okna, sztywnymi krokami, jakby mierzył odległość. Kiedy ostatni student zniknął na schodach, machinalnie podszedł, patrząc w oczy.

– Pan doktor Gerard? Jestem z milicji – machnął podłużną legitymacją.

– Coś się stało? Coś z samochodem? Przecież tam już nie ma zakazu.

– Nie, nie... Mam kilka słów do pana doktora, chciałem zająć panu doktorowi chwileczkę, jeśli można. Jest gdzie tutaj usiąść na moment?

– No to tu może... – niechętnie wskazał ławkę w sali seminaryjnej. Przez otwarte okna parował na zewnątrz zaduch po zajęciach, w dole z łomotem przejechał tramwaj.

– A jakieś bardziej zaciszne miejsce?

Wzruszył ramionami i zaprowadził natręta do pustych o tej porze pomieszczeń Instytutu.

– A co – samochód? Czym pan doktor jeździ? Maluchem? – wypytywał tamten po drodze. – Ja też się morduję z tym cudem.

– Skodą „setką”... – mruknął.

– Aaa, to insza inszość... Ja swojego mam drugi rok i już korozyja wyłazi, taką specjalną farbą okrętową smaruję. Zwrotnice ciągle zapieczone, klawiatura się zatarła, coś piszczy z tyłu... Mogli kupić licencję fiata 127, porządny wozik, większy, to kupili taki szajs! Jeden bajzel wszędzie, drogi panie. Na tej naszej „górze” kochanej też, towarzyszu Gierek, niestety, umie tylko krowy macać w telewizorze. Jakby kupili fiata 127 albo, były takie plotki, tą renówkę „piątkę”...

– Czy o samochodach pan chce rozmawiać? – przerwał niecierpliwie.

– Nie, nie. Nie o samochodach.

Usiedli na wyslizganych, ceratowych fotelach w gabinecie dyrektora, gość nie spuszczał z niego wzroku, nabrał powietrza i wyraźnie celebrując słowa, wyrecytował:

– Drogi panie doktorze, proszę wybaczyć to niewielkie uogólnienie przed chwilą. Ja jestem oficerem Służby Bezpieczeństwa.

Poruszył się, spojrzał w bok. „Kurwa mać!” – pierwsze, co mu zakolatało. Jakby ktoś wsadził kij do spokojnie płynącej wody! Ni stąd, ni zowąd przemknęły szare obrazki z *Kobry*, *Teatru Sensacji*, *Kapitana Klossa*, a potem już prawdziwe, wisielcze żarciki dyrektora Kulczyckiego, niedomówienia Marty Szafraniec, Pawła, Grzegorza pracujących tu dłużej od niego – w które nie wierzył albo uważał za przesadzone. Okulary znieścacka zaparowały, zdjął je i wycierał brzegiem swetra.

Matko jedyna – czy się śmiać, czy się bać?...

– Co pan doktor taki spięty? Nerwy? Pan? O takim ilorazie inteligencji? Przecież to normalna rzecz. Życie! – funkcjonariusz marszczył świecące czoło, dalej wgapiał mu się w nieosłoniętą już niczym twarz. Nagle jednak coś jakby w nim przeskoczyło, siorbnął nosem i zaczął przemawiać z naciskiem na każde słowo, jak stary belfer do tępego wychowanka:

– Przecież pan dobrze wie, że my jesteśmy dla ludzi. Dla zwykłych ludzi. Po to, żeby pomagać ludziom! Bo instytucje są nieludzkie, bo coraz więcej świństw, prostactwa, bo świat coraz bardziej staje się nieludzki! Uczciwy człowiek często jest bezradny, nie wie, co zrobić, gdy styka się z jakimś problemem w pracy zawodowej, w życiu, wobec urzędu. Niszczy nerwy, spala się, zamyka w sobie...

– Chciałbym... pana nazwisko. Proszę się przedstawić! – zażądał nienaturalnym głosem, przerywając tyradę.

– Nowak. Nowak, oczywiście. Chyba Mieczysław, Mieczek!... Mają oni pomysły! Musiałbym zajrzeć do notesu... – nie wiadomo dlaczego rozmówca parsknął śmiechem i natychmiast spoważniał. – Ale po co ta dziecinada, drogi panie doktorze. Traktujmy się poważnie, nie będziemy się bawić w przebieranki. Wojtysiak jestem, Zbyszek, zaraz dam panu swój telefon – wyciągnął rękę, nie wstając.

– W takim razie... O co panu chodzi?

– No i właśnie. Więc jedzie pan na stypendium?

– Ta... – odburknął ze ściśniętym gardłem.

– Właściwie na dwa półroczne stypendia, jedno po drugim. Zgadzają się?

– Ta...

– Pan już był kiedyś na Zachodzie?

– Ta... W Niemczech.

– Ja nigdy... No, ale to pięknie! Widzi pan, jak się jednak u nas zmieniło! Dobrze, że młodzi naukowcy jeżdżą po całym świecie, a nie tylko do Moskwy. Ja tam się cieszę!

Wojtysiak położył dyplomatkę na kolanach, trzasnęły zamki.

– Najpierw Linz, Austria, potem uniwersytet w Kopenhadze, Niels Bohr Institute, profesor Henrik Birk – zaglądał do środka i mozolnie odczytywał z niewidocznej kartki. – Fizyka materii skondensowanej, teoria kwarków, cząstki subatomowe, a problem „krawędzi Fermiego”... Nie wyobraża pan sobie, jak mi imponują rozmowy z kimś takim jak pan, panie doktorze. Gdybym ja wiedział chociaż jedną tysięczną tego... – westchnął. – Wracając do sprawy. Żeby nie owijać w bawełnę – chodzi mi o sprawozdanie po powrocie.

Ogarnęło go nieznane dotąd uczucie – jakby zanurzenia po uszy w beczce kleju. Lepko, duszno, obrzydliwie. Gęsta maź śmierdzi, spowalnia ruchy, nie można nic powiedzieć, bo wlewa się wszystkimi dziurami, wtłacza słowa i całe zdania z powrotem, tak że tężeją w brzuchu jak gipsowa masa.

– Jakie sprawozdanie? Po co? – bąknął tylko.

– Zwykle pisemne sprawozdanie. Najzwyczajniejsze. Może pan zrobić wyciąg z raportu, który i tak pan będzie składał u rektora. Wystarczy. No, uzupełni pan jeszcze o takie tam proste rzeczy – z kim pan pracował, kto panu pomagał, kto przeszkadzał. Jakies osobiste wrażenia czy uwagi może pan dodać. Króciutko, w punktach, żadne tam referaty, broń Boże. Szkoda pańskiego czasu. I z naukowością proszę nie przesadzać, z terminologią, bo ci moi przełożeni... – machnął pogardliwie ręką. – Wszystko. Tyle i nic więcej. Co? Straszny diabeł? Eeee tam... Wcale nie straszny! – Wojtysiak uśmiechnął się jak wujaszek pocieszający małe dziecko. Dziwne, na zębach nie miał nalotu nikotyny.

– Do czego to panu? Program przewiduje jedynie wykłady i asystę przy rutynowych doświadczeniach.

– Panie docencie!... – zachnął się z udawaną przyganą i głębiej rozsiadł w fotelu. – Nazywamy się „Służba Bezpieczeństwa”...

– Nie jestem docentem – zaoponował, ale Wojtysiak nie zwrócił na to uwagi, nakręcając się znowu.

– Bez-pie-czeń-stwa! – przesylabizował z naciskiem. – Pracujemy nad stałym zapewnianiem bez-pie-czeń-stwa panu, pańskiej rodzinie, każdej innej rodzinie i każdemu pojedynczemu osobnikowi, wszystkim: wierzącym i niewierzącym, palącym i niepalącym, my nie rozróżniamy. Dziś, w epoce światowego rozbrojenia, nie wymaga to ganiania z pepeszami, tajnych misji czy innych tam zabaw w podchody, jak na filmach. Bez-piecz-ne społeczeństwo, realny poziom bez-pie-czeń-stwa obywateli zależy teraz od zasobu informacji, jakimi dysponujemy. Im ich więcej, tym lepiej dla nas wszystkich. My te informacje gromadzimy, przetwarzamy i dostarczamy „górze”, która, no, jest jaka jest i najczęściej nie umie wyciągać wniosków... I koniec. Na tym polega ta nasza robota, jak zresztą w każdym innym cywilizowanym państwie na świecie. Czy pan docent dostrzega tu coś krwiożerczego? Mrożącego w żyłach? Niemoralnego?

– Nie jestem docentem! – powtórzył. Robiło się niedobrze od tej dydaktyki. Czuł mętlik, słodkość w ustach.

– Aha – przypomniał sobie Wojtysiak. – Moją propozycję proszę traktować jak zwykłą pracę zleconą, zresztą nie jest niczym innym. Jasne, że otrzyma pan honorarium. Spaliłbym się ze wstydu, gdybym miał absorbować wybitnego naukowca zamówieniami za darmo. Jeśli poważna państwowa instytucja daje zlecenia, to musi za nie godziwie płacić, inaczej by mnie nie było w takiej firmie. Pod tym względem jestem skrupulatny, może do przesady, przełożeni nawet mówią: „pazerny”, ale ja nie cierpię naciągactwa i bolszewizmu. Te czasy mamy już na szczęście za sobą. No co, panie docencie? Dogadane?

Znów milczał. Teraz pragnął tylko, żeby intruz sobie poszedł. Za każdą cenę i natychmiast, zaraz, żeby go zostawił samego, uwolnił od tej swojej trójkątnej, wygolonej gęby i gładzenia. Nie może go przecież wyrzucić, jak każdego innego, nie może mu nawet napyskować, obsobaczyć przekleństwami, najgorszymi, jakie zna z ulicy, kurwami, chujami, nie może zrobić tego, co słyszał o zachowaniu starych profesorów w podobnych sytuacjach. Co by się stało, gdyby wyrzucił?! Wykopał, wypierdzielił na zbitą mordę, wywalił za nim tę zasraną służbową walizkę z łańcuszkiem i zatrzasnął drzwi! Nawet bał się pomyśleć! Gdyby był autorytetem naukowym! Ale był nikim, gównianą figurą, którą w każdej chwili można zastąpić choćby ambitniejszym nauczycielem z podstawówki i nic się nie stanie. Pożałował, że nie jest w partii. Trzeba się zapisać. Jutro. Jak najprędzej! Partyjnych nikt się nie czepia, partyjni mają swoje hierarchie, swoje władze, możliwości, swoje deski ratunku. Teraz zrozumiał, czemu należy pół wydziału i co miał na myśli Grzegorz Klimm, adiunkt i sekretarz POP, radząc mu kiedyś w bufecie: „Zapisz się, chłopie, zapisz się dla dwóch razy „M”. „Co znaczy dwa razy „M”?” „Mieć spokój. Mieć w dupie!”

Wojtysiak tymczasem teatralnie oparł skroń na dłoni, spoglądał spode łba i udawał, że się zastanawia.

– Dobra, zrobimy zatem tak: ja wiem, że ze względu na nawał pracy trudno panu tak od razu podjąć kolejny obowiązek, więc dam panu dwa tygodnie, no, miesiąc panu dam. Potem wpadnę, ewentualnie zadzwonię.

Nareszcie wstał, pożegnał się i wyszedł. Zatrzymał się jednak na korytarzu, piasnął ręką w czoło.

– Cholera jasna, skleroza!

Zawrócił do gabinetu, zamki dyplomatki ponownie odskoczyły z trzaskiem. Pogrzebał, wyjął krzywo ucięty papier. Krótki maszynowy tekst, odbity na powielaczu, niewyraźną, fioletową czcionką:

*Świadom... odpowiedzialności na podst. odp. przepisów Kodeksu Karnego zobowiązuję się do zachowania w tajemnicy treści rozmowy z pracownikiem Służby Bezpieczeństwa odbytej w dn.
..... 197..... roku.*

– Proszę: przy „świadom” kreska, miesiąc słownie. Imię, nazwisko czytelnie – prztyknął palcem.

– Ja niczego nie będę podpisywał!

Wojtysiak zgorszył się jeszcze raz, unosząc brwi i modulując głos, który jak na złość zabrzmiał piskliwie, śmiesznie:

– Panie docencie!...

– Jestem doktorem!

– Ale już niedługo, zobaczy pan. Panie docencie, czy pan pracuje w tym kraju od wczoraj? Głupia formalność, kolejny kwit, idiotyzm. Kiedy człowiek przestaje wierzyć człowiekowi, rozrasta się biurokracja. Jak nowotwór! Niestety – urok realnego socjalizmu! Czy pan myśli, że mnie to nie wścieka? Sam czasem całe dni spędzam na gryzmoleniu, długopisów służbowych nie starcza.

– Straszy mnie pan „odpowiednimi przepisami” bez konkretów! Co za przepisy?! Jakże przepisy?! Numer! Proszę paragraf ! – łykał ślinę, zatrzęsły mu się ręce .

– A jakie straszenie? Panie docencie, a jakie straszenie? Nie do mnie to. Ja panu paragrafów nie wyjaśnię! Ja nie jestem prawnikiem, historykiem jestem z wykształcenia! Przecież to bzdura, rutyna, każdy interesant przez to przechodzi. Nie moglibyśmy nawet formalnie zakończyć tego spotkania. Czyli nie wyszedłbym stąd, rozumie pan? Żądają potwierdzenia, że naprawdę z panem rozmawiałem, a nie na przykład siedziałem w knajpie albo Toto-Lotka skreślałem. Straszna głupota, zgadzam się, jakiś dureń biurokrata wymyślił, stalinowiec, jeszcze w UB. Ale jeżeli to dla kogoś upokarzające, to przede wszystkim dla mnie, nie dla pana. Potem i tak te świstki idą na przemiał. Na papier toaletowy, o który ludność bije się w kolejkach. Zna pan to? – zarechotał nagle – „Dlaczego ciągle brak papieru toaletowego?” No bo: „Spożycie systematycznie wzrasta” – jak mówi Edward Gierek.” Dobrze, nie? Panie docencie?

*

Gerard był zaskoczony moim zjawieniem się w Instytucie Fizyki, w związku z czym jego zachowanie w trakcie rozmowy należy uznać za szczere. Początkowo był zdenerwowany moim przybyciem, kiedy jednak oświadczyłem mu, że jestem z bezpieczeństwa, a nie z Milicji Obywatelskiej, uspokoił się (konieczne dod. sprawdzenie po linii kryminalnej i wykroczeń drogowych). Już ze wstępnej rozmowy zorientowałem się, że wobec G., jak wobec każdego w zasadzie młodszego naukowca, należy zastosować przykrycie sceptyka i człowieka racjonalnego, a naszą służbę przedstawiać jako zdroworozsądkową przeciwwagę dla władzy. W tym celu opowiadałem tzw. dowcipy polityczne (na podst. Biuletynu Wewnętrznego K/18/75 i materiałów Kom. Zakład. Partii) oraz rozsądnie krytykowałem Osobę I Sekretarza.

rza KC PZPR, zyskując zaufanie G. Wskutek tego chętnie i obszernie referował program oraz cele swoich wyjazdów stypendialnych do Austrii i Danii, jak i stosunki panujące w Instytucie. Chętnie i gorliwie zgodził się na napisanie sprawozdania z pobytu za granicą. Logiczny, uporządkowany, lojalny, przy tym łasy na karierę naukową i tytuły. Kiedy na wyrost nazywałem go „panem docentem” (w rzeczywistości ma stopień doktora), nie protestował i sprawiało mu to wyraźną przyjemność. Zainteresowany korzyściami materialnymi. Lubi też luksus, czego dowodem, że na samym początku spotkania chwalił się posiadaniem sam. osobowego marki skoda S-100. Potrafiłem wzbudzić sympatię i zaufanie G. tak bardzo, że rozmowę ze mną przeciągnął do późnych godzin wieczornych, którą w końcu radykalnie przerwałem, prosząc go o podpisanie zobowiązania o nieujawnianiu jej treści, co uczynił bez żadnych oporów, a nawet gorliwie. W mojej wstępnej ocenie przydatny do opracowania na osobowe źródło informacji, a następnie tajnego współpracownika.

*

DONOSIŁ DLA KARIERY I LUKSUSU! DOKUMENTY ODSŁANIAJĄ DRUGĄ TWARZ SŁAWNEGO NAUKOWCA

PROFESOR BYŁ LOJALNY I GORLIWY, LUBIŁ PIENIĄDZE I SAMOCHODY! KTO EDUKUJE NASZE MŁODE POKOLENIE?

KANDYDAT DO NOBLA I AGENT SB. DWA OBLICZA GENIALNEGO FIZYKA. KTÓRE PRAWDZIWE?

*

– Pan docent Seweryn Gerard? Zbyszek Wojtysiak się kłania z tej strony. Aaa... Kolokwium pan ma? Ja rozumiem, sekundę tylko... Z tym paszportem to przecież normalny skandal! Czemu pan tak cicho siedzi, chciałem zapytać? No szlag mnie trafił! Trzeba było od razu alarmować, robić coś, do cholery! Może niech pan podejdzie do mnie, akurat jestem w domu. Zapolskiej 7c mieszkania 41, blisko, tu po drugiej stronie Zdobywców Kosmosu, zaraz naprzeciw pana instytutu. Teraz nie? Za dwie godziny? Dobrze, niech będzie za dwie. I tak nigdzie się nie ruszam, na zwolnieniu jestem.

Na Zdobywców Kosmosu jaskrawe słońce w oczy, ciepło, tylko podmuchy chłodnego wiatru i piasek. Z kopających, czerwonych jeli czy wysypywali się studenci, długim węzłem w stronę szklanego budynku lektoratów. Przeszedł przez ulicę, ledwo uskoczył przed hamującą taksówką.

Właściwie – po co? Pakować się znowu w łapska temu gnojowi? Odmowa przyszła trzy tygodnie temu, już to przelknął. Koniec. Kropka. Dziekanowi powiedział, że ma w dupie stypendia. Ostateczny wybór. Żadnego płaszczenia się, odwołań, szukania znajomości. Habilitację napisze tak, jak mu każe profesor Bondarewicz, nieważne o czym, byle prędko. Potem do śmierci będzie wykladał jedno i to samo, podczepiał się pod cudze prace, klepał dyrdymały na konferencjach, egzaminował: ulewał albo puszczał, zależnie od stanu żołądka. A teraz temu tutaj skurwysynowi zwyczajnie pokaże wała, chujowi ubeckiemu! Sytuacja prosiła się tylko o takie słowa, wymagała wyłącznie takich słów, choć brzydził się, nigdy przedtem ich nie używał. Kiedy obracał je na języku, wyciskał przez zęby sam do siebie, czuł się lżejszy, miał poczucie wywalczonej wolności.

„Tak mu w pysk przypierdolić! Z całej siły, w to trójkątne, obleśne ryło, pozacinane, tłuste od kremu! Przypierdolić, aż krew siknie, odwrócić się, trzasnąć drzwiami!”

Dobry kwadrans błądził po martwych o tej porze podwórkach. Bloki: długie, czteropiętrowe, bladezielone albo brudnożółte, jednokowe śmietniki z ażurowej cegły, trzepaki, huśtawki, blaszane daszki. Wreszcie znalazł numer i klatkę.

W kawalerce Wojtysiaka woń sosnowych wiórów i lakieru nitro, jak w sklepie meblowym. Od razu głowa boli. Usiedli przy ławie, zasłanej cepeliowskim bieżnikiem z frędzlami. Dziwnie mieszkał, jakby bez śladów. Jasny regał, na nim kilka książek, zupełnie nowych. Telewizor niewłączony do kontaktu, wtyczka dynda z półki. Żadnej szklanki i fusów, mruczenia lodówki, kuchennego smrodku. Chory, chory, skurwysyn jeden! Na zwolnieniu! A siedzi naprzeciw w kremowej koszuli, z rozluźnionym krawatem w srebrne ósemki, cuchnie płynem po goleniu – ogórki ze spirytusem. Marynarkę rzucił przez krzesło, na pustym biurku tylko długopis i kupony Toto-Lotka.

Wojtysiak złapał widać zaskoczone spojrzenie, zreflektował się, podciągnął krawat.

– A jak mam pana przyjmować, panie docencie? Przecież nie w gaciach?

– Nie jestem docentem.

– Przecież już niedługo, niedługo... Co pan taki uparty? Wie pan, gdyby nie przypadek, że kontrolę w Wydziale Paszportowym miał akurat mój kumpel-księgowy, nici by były ze wszystkiego! A pan nic, nawet nie zadzwoni. Dałem przecież numer.

– Bardzo dziękuję, nigdzie nie jadę. Mam to gdzieś. Zmieniłem plany naukowe – chciał powiedzieć twardo i nonszalancko, ale wyszło przez nos, płaczliwie, jak fumi obrażonej ciotki.

– Ojoj! Panie docencie! – Wojtysiak złapał się za głowę. – Jaki pan honorowy! Niepotrzebna duma, zupełnie bez sensu. Przez menedżera i alkoholika karierę pan będzie sobie rujnował? Absurd! No jest tam taki Baruda, kapitan. Szmata, degenerat. Kiedyś w dochodzeniówce, ale po pijanemu rozwalił służbowy wóz, człowieka poranił. Nie wyrzucili go, bo ma tam kogoś w Komitecie. Najpierw był w magazynach, ale buty i pasy na rynek wynosił, więc go dali do paszportów, choć my już wtedy postulowaliśmy sprawę karną. Takie kreatury to przecież hańba władzy i jeżeli nawet Wolna Europa nam takie rzeczy wytyka, to, niestety, ma rację! Tak już u nas jest, ale to się zmieni. Zmieni... Dzięki ludziom moralnym, takim jak pan i... ja. Tak, tak, panie docencie. Nie wolno się bać wielkich słów! Więc ten Baruda wpięprzył pański wniosek gdzieś między rachunki, zapomniał gdzie, i musieli dać panu odmowę, żeby pan składał papiery jeszcze raz. Na szczęście mój znajomy, porządny chłop, wszystko znalazł, napisał raport. I będzie dyscyplinarka – drogi panie docencie – jak „stąd do wieczności”! – promieniał Wojtysiak.

– No i co z tego? Powiedziałem już. Wyjazd przestał mnie interesować – podniósł się z miejsca.

– To z tego, że jutro może pan iść do biura i ten paszport sobie odebrać. Leży, czeka. Albo nawet jeszcze dzisiaj, tylko bym musiał zadzwonić. No, niechże pan siądzie na chwilę, a nie sterczy jak kat...

No to usiadł, chociaż chciał wyjść. Właściwie – jakby coś złapało go za kark i z powrotem rzuciło na wielki, chrzęszczący gąbką fotel kompletu wypoczynkowego kon-tiki. Przed oczami przemknęła zaśliniona mordka dziekana: „Zaoczni, kolego, zaoczni! Godziny nadliczbowe, kolego, godziny! Pracujcie sobie naukowo, ile chcecie, macie noce, macie niedziele wieczorem, ale godziny, kolego, godziny, dydaktyka – rzecz najświętsza!”

Wojtysiak rozparł się z pobłażliwym uśmieszkiem i splótł ręce na brzuchu.

– W Linzu będzie pan w razie czego dzwonił prosto do konsulatu, na ogólnie dostępny numer.

– W razie – czego? – zachnął się Gerard.

– No, jakichś problemów. Z forszą, z transportem na przykład. Pralkę pan kupi czy dobry telewizor i będzie chciał wysłać żonę albo dewizy spokojnie przekazać, albo, nie daj Boże, jakieś z policją kłopoty, z urzędami... Dobrze jest mieć gdzie się zwrócić, tak mniej oficjal-

nie. Oni tam naprawdę sporo mogą, więc po co te wszystkie papiery, nerwy, czekanie, opłaty celne. Z kolei gdy oni będą czegoś chcieli, zadzwonią do pana. Zawsze z wezwaniem, że coś w pana dokumentach nie w porządku. Wtedy pan się nic nie boi, panie docencie, tylko idzie pan śmiało. To „lipa”, czyli taka przykrywka, żeby nikt się nie czepiał.

– To przecież absurd jakiś! Idiotyzm! Ja jadę na stypendium naukowe!

– No i o to chodzi! Kapitana Klossa nikt z pana robił nie będzie. Chodzi o zapytania, konsultacje. Wie pan, oni w tych ambasadach bez przerwy piszą analizy, opracowania, pierdoły. No i wiadomo, że warto wtedy pogadać z ekspertem, jeśli jest na miejscu. Aktywność MSZ przeważnie polega na zadawaniu ludziom robót papierkowych, tak jak zresztą cała aktywność tego państwa... Patronem ideologicznym naszej kochanej Polski Ludowej powinien być nie Ludwik Waryński, ale pisarz gminny Żołzikiewicz z Sienkiewicza. Pamięta pan, panie docencie?

Wszystko w nim zakipiało. Wstać i wyjść. Kurwa mać – wreszcie wyjść! Przemóc się, odbić piętami od szarych płytek PCV, podnieść dupę i wyjść! Tylko co on wtedy zrobi, skurwysyn jeden? Co będzie? Habilitacja! Skasują go, zgnoją, położą, jak tylko będą chcieli! Co to dla nich jeden gówniany doktor, ten czy inny! Na wiochę, do podstawówki, i koniec pieśni!

– W Kopenhadze, niestety, już gorzej. Wiadomo, państwo NATO, przy tym graniczne. Węszy jeden z drugim James Bond i szuka sensacji – ciągnął Wojtysiak. – Do ambasady w razie potrzeby tylko osobiście, za pierwszym razem zgłosi pan spalenie paszportu. Powtarzam wyraźnie: że pan spalił. Nie zgubił czy że panu ukradli. Imiona rodziców?

– Jerzy, Izabela! – odchrząknął odruchowo, dopiero potem gryząc się w język.

– No co pan tak jak na przesłuchaniu, panie docencie?... Więc może się zdarzyć, że zadzwoni Jurek albo Izka, po polsku, poda datę i godzinę rendez-vous. I teraz niech pan zapamięta: zawsze dwa dni wcześniej i dwie godziny później. I zawsze w knajpie... – wyjął kalendarzyk, podniósł do oczu, przesylabizował – w knajpie „Vestera” przy Gammel Strand – choćby mówili o innym miejscu. Znajdzie pan, na razie panu zapiszę. Czyli jak powiedzą: w środę, siódmego, o jedenastej, to znaczy: w poniedziałek, piątego, o trzynastej. Głupie, ale proste. Niech pan powtórzy, panie docencie.

Patrzył – kompletnie zbaraniały – na brzuch Wojtysiaka, opięty żółtym non-ironem i falujący nad krawędzią ławy.

I powtórzył. Wyraz za wyrazem.

– No proszę, co znaczy umysł ścisły. Jak ja pana podziwiam! – odetchnął Wojtysiak. Podniósł dyplomatkę, opartą dotąd o fotel, strzelił zamkami i położył na ławie niebieską kopertę. Przesunął ją palcem po supłach bieżnika.

– Co to jest?

– Dolce. Dwadzieścia. Na poczet honorarium. Załatwiłem panu.

– Teraz to już pan przesadził, drogi panie!

„Co za gnój! Co za skurwiel! Żeby tak zapchać mu jadaczkę tym papierem, tą kapuchą ubecką, jeszcze pięścią dobić, żeby tu zdechł, żeby się zesrał pod siebie, żeby tu zasechł w śmierdzącym gównie!” Obrzydzenie i strach! Żadna książka tego nie odda, żaden film, żadna fabuła!

Gerard wstał, bez słowa odwrócił się do wyjścia.

– Panie docencie! Bez żartów – ja bardzo proszę! – poważnie huknął Wojtysiak. – Tyle pan już się dowiedział i co? Teraz uciekać pan chce? Niech pan siada. Mówiłem: firma zamawia, firma płaci. U mnie inaczej nie będzie. Z szefem się skłóciłem, żeby pan miał te parę groszy więcej, jak pan do Austrii przyjedzie, chociaż na pierwszy dzień, zanim panu stypendium wypłacą. I co – oddać teraz mam? Durnia z siebie zrobić? Powiedzieć, że pan nie chce? To pańska forsa, tam zresztą śmieszna, dwa obiady na dworcu, dobrze pan wie.

Zamki dyplomatyki trzasnęły znowu, obok koperty wylądowała kartka z rozmazanym, maszynowym tekstem:

Oświadczam, że zostałem przeszkolony przez oficera Służby Bezpieczeństwa w zakresie środków i sposobów komunikowania się z organami bezpieczeństwa PRL podczas delegacji-wyjazdu zagranicznego do w terminie 197...r.

– Proszę – Wojtysiak uniósł się z fotela, sięgnął po długopis, ręka z długopisem zawisła w powietrzu.

– Niczego nie podpiszę.

– Raz już panu tłumaczyłem, panie docencie, a pan się kryguje, jak dziewczyna w ciąży...

– Proszę się liczyć ze słowami!

– Przepraszam... Kiedy ja nie mogę łamać przepisów. I siebie, i pana narażę na przykrości. Może za dużo panu powiedziałem, stało się, moja wina. Moja głupia wiara w człowieka, panie docencie!... – zwiesił na chwilę głowę, siorbnął nosem. Potem ściszył głos, przechylił się przez ławę, uderzył znowu górkową falą: – Teraz innego wyjścia nie ma. Niepotrzebne ceregiele pan robi. Pan wie, ilu ludzi w mieście codziennie podpisuje coś takiego? A ilu w całym kraju? I tak te kwity to śmiecie. Potem idą do kotłowni.

Oczka miał małe, wypukłe jak porzeczeki, wilgotne, rozlatane. Ale nawet ze wzburzoną, trójkątną gębą wyglądał śmiesznie, nie groźnie.

Gerard dumnie uniósł czoło.

– Absolutnie niczego nie będę podpisywał.

– No dobrze. No trudno – zgodził się Wojtysiak nieoczekiwanie, zostawił nad ławą salicylowo-ogórkową mgielkę i wyprostował się w fotelu; nagle roześmiany, rozluźniony. – Nie chce pan nazwiskiem, to niech pan skrobnie chociaż imieniem od bierzmania. Samym.

– Nie jestem wierzący.

– Oj, oj, niedobrze, panie docencie! – pogroził palcem. – Ja tam jestem. A drugie imię pan posiada?

– Nie posiadam – warknął.

– To niech pan wymyśli jakieś.

– Leonid! – prychnął wściekle Gerard.

– Hi, hi, hi... Żartowniś z pana! Dobrze, dobrze! Tylko zbyt ostentacyjne – szepnął esbek przykładając dłonie do ust. – Ale na przykład „Borys” mogłoby być. No to machnij mi pan tym „Borysem” dwa razy, niech już biurokracji stanie się zadość i nikt do nas nic nie ma!

Zamki dyplomatyki strzeliły ponownie, Wojtysiak pogrzebał w papierach i podsunął jeszcze jeden świstek, wystukany na maszynie starannie, już bez rubryk do wypełniania.

Kwituję odbiór kwoty 20\$ (słownie: dwadzieścia dolarów USA w dewizach – banknoty pięciodolarowe) przekazanej przez oficera Służby Bezpieczeństwa tytułem zaliczki na poczet wynagrodzenia za wykonanie pracy zleconej za granicą.

Później szedł pośpiesznym krokiem między blokami. Cały czas wiatr. Samotny dzieciak w piaskownicy, staruszka z kudłatym pieskiem. Pierwsi ludzie wracający z pracy: aktówki, wypchane siatki, rozwiany papierosowy dym. Za małym budynkiem, z którego dochodziło rżenie jakiegoś agregatu, przystanął, sięgnął do kieszeni, ukradkiem przeliczył – nie wyjmując z koperty. Zgadzało się. Chciał podrzeć, wyrzucić do kanalizacyjnej kratki.

Jednak nie.

Wydało mu się – że podglądają go ze wszystkich okien.

*

Spotkanie instruktazowe z G. odbyłem w lokalu kontaktowym „Gondola”, pocz. g.13:07. Na początku G. dobrowolnie i z własnej inicjatywy przybrał ps. „Borys”, którym odtąd będzie podpisywał dokumenty

dot. służby. Następnie przeprowadziłem trzygodzinne szkolenie w zakresie niejawnych sposobów komunikacji z organami PRL podczas pobytu w Austrii i Danii (wg. „Instrukcji Wewnętrznej DI/43b/69”). Nadmieniam przy tym, iż „Borys” wykazał wielkie zainteresowanie treścią szkolenia, był przejęty, zadawał dużo szczegółowych pytań. Chętnie podpisał oświadczenie o odbyciu zajęć. Wstępny opis czekających go zadań przyjął wręcz z entuzjazmem, ponieważ, będąc dobrym psychologiem, konsekwentnie przedstawiałem je jako wyraz doceniania przez Bezpieczeństwo jego wyjątkowej inteligencji i kwalifikacji naukowych. Dzięki swoim umiejętnościom potrafiłem też wypracować dla „Borysa” moralne uzasadnienie jego działań, tj. poszukiwanie w krajach kapitalistycznych wzorców dla zreformowania Państwa, co uznał jako własny sposób myślenia. Zdolny, ambitny, bez skrupułów. Potwierdza się najważniejszy cel w życiu – kariera naukowa, ale też snobizm, luksus i pieniądze. „Borys” z radością przyjął i pokwitował zaoferowaną mu kwotę 20\$ (słownie: dwadzieścia dolarów USA, banknoty pięciodolarowe – lista 2/5, poz. 31), choć w pierwszej reakcji próbował żądać kwoty dwukrotnie wyższej. Starał się też zorientować, czy pobieranie takich honorariów będzie możliwe również w trakcie przebywania na stypendium w Austrii i Danii. Gdy spożywając z nim alkohol (winiak „Budafok”, 0,5l., rach. Delikatesy PSS „Społem” w zał.), całkowicie pozyskałem jego zaufanie, wypytywał również o możliwości Resortu w zakresie organizowania mu stosunków seksualnych z kobietami. Zgodnie z sugestią tow. mjr Okuwki uważam za celowe przekazanie „Borysa” I Dep. MSW na czas pobytu za granicą. Szczegółowe zadania zostaną postawione „Borysowi” przez tow. tow. z I Depart. MSW na miejscu, tj. odpowiednio w Linzu (lub Wiedniu) i Kopenhadze. Uważam też za wskazane ponowne przejęcie od I Dep. kontaktu z „Borysem” po jego powrocie – do zadań wynikających z ogólnych potrzeb operacyjnych po zagadnieniu środowiska naukowego miejscowego, ew. ogólnopolskiego. Z powodów psychologicznych proponuję odłożenie w czasie formalnej deklaracji współpracy, ew. podpisanie jej już za granicą. Spotkanie zakończono g. 19:27, odwiozłem „B.” do domu, TAXI (rach. w zał.).

*

STUDENT TRZECIEGO ROKU FIZYKI : UCZYŁ NAS EROTOMAN,
PIJAK I SPRZEDAWCZYK.

KARIERA PROFESORA G. : DO NAGRODY NOBLA PRZEZ ES-
BECKIE BURDELE!

Z WŁASNĄ BABCIĄ NA „TY” O doświadczeniu polskości z Małą Guštin rozmawia Piotr Millati

Piotr Millati: Dział tematyczny drugiego numeru „Blizy” poświęcony jest zagadnieniu współczesnej polskiej tożsamości. Kiedy sami próbujemy odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest obecnie polskość, czyli nasza odrębność, nierzadko umykają naszej uwadze sprawy najbardziej oczywiste. Aby je dostrzec, czasem potrzebne jest spojrzenie z zewnątrz. Z tej właśnie przyczyny chciałbym z tobą pomówić o twoim doświadczeniu polskości. Na samym początku powiedz mi jednak proszę, co sprowadziło cię ze Słowenii do Gdańska i co tutaj robisz?

Mała Guštin: Do Polski sprowadziła mnie miłość. Ojciec moich dzieci jest Polakiem. Gdy go poznałam, pracowałam na uniwersytecie w Innsbrucku. Po urodzeniu pierwszego dziecka podjęłam decyzję, że nie będę przedłużać kontraktu, i dwa lata żyliśmy pomiędzy Lublaną, skąd pochodzę, Innsbruckiem i Gdańskiem. Kiedy się urodziła jeszcze córka, zamieszkaliśmy na stałe w Gdańsku. Dzieci są dwujęzyczne i dwukulturowe. W Polsce chodzą do szkoły i przedszkola, a każde wakacje lub ferie spędzają w Słowenii, gdzie się także całkowicie zasymilowały. Obecnie pracuję jako asystent w Zakładzie Komparatystyki Sławistycznej w Katedrze Sławistyki na Uniwersytecie Gdańskim.

Piotr Millati: Interesuje mnie twoje pierwsze doświadczenie tego czegoś, co sama byś nazwała polskością, a więc naszą innością, która cię zaskoczyła, zastanowiła albo poruszyła w szczególny sposób.

Mała Guštin: Rozumiem, że oczekujesz po mnie jakichś błyskotliwych spostrzeżeń, spektakularnych porównań, ale prawda jest taka, że nasze kultury, a także mentalności, są bardzo do siebie podobne, a różnice, które dostrzegam, minimalne. Niemniej istnieją. Dotyczą wprawdzie spraw, które moglibyśmy uznać za zupełnie marginalne, ale z drugiej strony, gdy się głębiej nad nimi zastanowić, to być może dotkniemy czegoś naprawdę istotnego. Jedna rzecz uderzyła mnie zaraz po przyjeździe i do dziś nie potrafię przejść nad nią do porządku, tak mocno stoi ona w sprzeczności z obyczajowością, w której wyrosłam. Chodzi o gest przywitania u was. Jest nim jak w Słowenii podanie dłoni, ale w Polsce ludzie w momencie uścisku uciekają gdzieś na bok wzrokiem. Kiedy mężczyzna wita się w ten sposób z kobietą

tą, jest to w zasadzie regułą. W wypadku dwóch mężczyzn zdarza się to już rzadziej. Przez długi czas byłam mocno zdezorientowana tym uporczywym unikaniem kontaktu wzrokowego. Wydawało mi się, że stoi za tym jakaś skrywana niechęć do mnie. W Słowenii takie zachowanie byłoby jednoznacznie odebrane jako wyraz lekceważenia czy nawet wrogości. Tutaj jednak okazało się normą całkowicie pozbawioną tego rodzaju podtekstów. To był i ciągle jest dla mnie szok kulturowy.

Piotr Millati: Przyznam, że jestem zaskoczony. Naprawdę witamy się w ten sposób?

Maša Guštin: Ależ oczywiście! Ty sam zrobiłeś to samo na początku naszego spotkania, a twoje zdziwienie jest bardzo typowe. Nikt, komu na to zwróciłam uwagę, nie zdawał sobie przedtem sprawy z tego osobliwego uniku, ale wszyscy, gdy się chwilę zastanowili, przyznawali mi rację, że faktycznie tak się przed chwilą zachowali, i byli tym równie skonsternowani jak ty teraz. Wszyscy też zapewniali mnie, że to absolutnie nic nie znaczy. Tak tylko im się głowa odwróciła!

Piotr Millati: Naprawdę nie wiem, co powiedzieć...

Maša Guštin: Na szczęście to ja mam mówić, więc powiem coś jeszcze odnośnie do sposobów zapoznawania się i witania w Polsce – wielokrotnie przytrafiła mi się sytuacja, gdy mężczyźni podawali dłoń wyłącznie innym mężczyznom, pomijając obecne w towarzystwie kobiety. Doprowadzało mnie to do szewskiej pasji. Dopiero później się dowiedziałam, że nie ma w tym żadnych złych intencji, a przeciwnie – jest to sposób okazywania swoiście pojętego szacunku, gdyż to kobieta pierwsza wyciąga dłoń do mężczyzny, jeśli chce się z nim właśnie w taki sposób przywitać, a nie np. przez skiniecie głową. Kobieta zatem decyduje o tym, czy pozwoli mężczyźnie na dotknięcie swej dłoni. Tak więc to, co ja odbierałam jako ewidentnie obraźliwe, miało być wyrazem subtelnej kurtuazji! (Choć niektórzy Polacy mówią, że podawanie ręki kobiecie przynosi pecha!)

Piotr Millati: Czy w równie przekonujący sposób potrafisz sobie wytłumaczyć to nasze uciekanie wzrokiem?

Maša Guštin: Długo łamałam sobie nad tym głowę, lecz ostatecznie bez większego rezultatu. Naprawdę nie wiem, skąd się wam to wzięło! Ale fakt, że jest to zjawisko powszechne, powinien wam dać do myślenia – ujawnia się tu być może jakaś właściwość polskiej duszy, której ja ostatecznie nie potrafię wydestylować.

Piotr Millati: Może dotyk jako taki u nas jest o wiele silniej nacechowany seksualnie niż w Słowenii?

Maša Guštin: Należę do osób, dla których lekkie dotykanie dłoni osoby, z którą rozmawiam, będące ekspresją dobrych emocji, jest całkowicie naturalne i neutralne. Zauważyłam, że w Polsce, jeśli w ogóle się coś takiego zdarza, to pomiędzy osobami, które łączy naprawdę bliska zażyłość. W innych przypadkach bardzo się strzeże swej „niedotykalności”. Dlatego więc, że dotyk jest zarezerwowany dla sytuacji wyjątkowych, kiedy się pojawia poza nimi, budzi popłoch albo wywołuje mniej lub bardziej zabawne nieporozumienia.

Piotr Millati: Myślisz, że to ma coś wspólnego z odwracaniem wzroku podczas przywitania?

Maša Guštin: Sądzę, że ma. Zetknięcie się wzrokiem to także rodzaj kontaktu dotykowego. W kulturach Wschodu spojrzenie kobiecie w oczy jest uważane za seksualną prowokację. To między innymi z tego powodu twarz, a często i oczy muzułmańskich kobiet zakrywa czarczaf. Generalnie świat mężczyzn jest tam ściśle odgradzony od świata kobiet i komunikacja jest możliwa tylko, gdy przestrzega się ściśle określonych reguł. W Polsce zauważam szczerą obecność tego archaicznego rozdzielania mężczyzn od kobiet, właśnie w rytuałach przywitania. Być może mężczyzna witający się z kobietą, podając jej dłoń, podświadomie chce ją uspokoić, że to tylko zwykłe przywitanie bez żadnego podtekstu, i dlatego odwraca wzrok. Podwójnie wzmocniony kontakt – to znaczy uścisk dłoni plus spojrzenie w oczy – mógłby zostać odebrany jako dwuznaczny. Tak właśnie sobie to tłumaczę.

Piotr Millati: Mnie przekonałaś. Kolejne pytanie, jakie chciałbym ci zadać, dotyczy tego, jakie są według ciebie najbardziej typowe cechy charakteru Polaków?

Maša Guštin: Szczerze mówiąc, niełatwo mi odpowiedzieć na to pytanie. Zdaję sobie sprawę, że pracując w takim a nie innym miejscu, stykam się z określoną grupą ludzi, która stanowi tylko drobny wycinek polskiego społeczeństwa, tak więc siłą rzeczy moje spojrzenie jest fragmentaryczne i mocno subiektywne. Kiedy tu przyjechałam, odnosiłam przez czas jakiś wrażenie, że Polacy są ludźmi o wiele bardziej powściągliwymi od Słoweńców. Co rusz natykałam się na zachowania, które interpretowałam jako dystans, rezerwę i skrytość. To wszystko jednak zniknęło bez śladu, gdy udało mi się zbliżyć do ludzi, których podejrzewałam o te cechy. Wymagało to odrobiny cza-

su i cierpliwości. W rezultacie oceniam swoje relacje z wami jako niemal wyłącznie pozytywne. Spotkałam tu naprawdę wielu ciepłych, serdecznych, gotowych do wszelkiej pomocy, otwartych na świat i pełnych autentycznej tolerancji wobec inności ludzi. Obecnie mam poczucie, jakbym została zaadoptowana przez mych polskich przyjaciół, którzy stali się dla mnie drugą rodziną.

Piotr Millati: A w czym według ciebie mylimy się najbardziej, myśląc o sobie samych?

Maša Guštin: W tym, że potraficie tak źle o sobie myśleć! Niesprawiedliwe stereotypy krążące o was na Zachodzie traktujecie niczym prawdę objawioną, zapominając, że powielają je ludzie, którzy mieli z wami wyłącznie powierzchowną styczność. Ten masochizm, z jakim rozsmakowujecie się we własnym lekceważeniu, a nawet samopogardzie, naprawdę mnie zdumiewa. Osobiście nie widzę żadnego powodu dla hodowania w sobie kompleksów niższości. Drugą stroną tego zjawiska jest mania wielkości, opierająca się najczęściej wcale nie na tym, co w was naprawdę wartościowe. Dodatkowo charakterystyczną cechą odzywiającą się w polskiej duszy, często objawiającą się w chwilach zwątpienia, rozpacz czy rezygnacji, jest schizofreniczny splot nienawiści i miłości do Polski i polskości.

Piotr Millati: Czy w Słowenii istnieją jakieś stereotypy dotyczące Polaków?

Maša Guštin: Praktycznie nie. Podobnie jak nie istnieją w Polsce żadne stereotypy odnośnie do Słoweńców. Może dzieje się tak z powodu niewielkiej styczności między nami. Po prostu się nie zauważamy. Nie wszyscy w Polsce zdają sobie sprawę z naszego istnienia. Często spotykam się z tym, że Słoweńcy myli się ze Słowacją. Przypominam sobie jednak, że w czasach, gdy istniała jeszcze Jugosławia, taki stereotyp Polaka funkcjonował. Polacy byli dla nas przede wszystkim obwoźnymi, bazarowymi handlarzami – ludźmi obdarzonymi zmysłem przedsiębiorczości i smyką do robienia interesów. Nie był to jednak negatywny stereotyp. Taki obraz Polaka zawierał w sobie nasze uznanie. Imponowała nam taka umiejętność.

Piotr Millati: Gdy mówimy tu o podobieństwach i różnicach między Polską a Słowenią, interesowałoby mnie twoje doświadczenie pracy na polskim uniwersytecie.

Maša Guštin: Jest jedna sprawa z tym związana – zaskoczyła mnie różnica, z jakimi dodatkowymi problemami zmagają się pracowni-

cy naukowcy w Polsce w porównaniu z Austrią, a także ze Słowenią. W tych krajach tak samo jak w Polsce profesja ta cieszy się społecznym prestiżem. Ale tylko tutaj nie ma żadnego związku między tą wysoką pozycją a zarobkami. Pensja, którą otrzymuję jako asystent, znika z mojej kieszeni trzy dni po wypłacie. Oczywiście nie można mieć pretensji do władz uczelni, które otrzymują z budżetu takie a nie inne pieniądze. Jest mi jednak przykro, że polscy pracownicy naukowcy nie zawsze mają możliwość koncentrowania się zawodowo wyłącznie na swojej pracy naukowej, badawczej lub dydaktycznej, to znaczy na kształceniu intelektualnej elity. Taka sytuacja finansowa zmusza do szukania dodatkowych źródeł zarobków. Nie dziwię się, że taki stan rzeczy może wywoływać frustracje i dawać poczucie niedoceniania.

Piotr Millati: Zmieniając temat na, mam nadzieję, mniej przykry – twoje pierwsze wrażenia związane z językiem polskim?

Maša Guštin: Na początku zwyczajnie mnie przerażał. Myślałam, że nigdy się go nie nauczę. Pierwszy raz zetknęłam się z polskim na studiach. Mając do wyboru serbsko-chorwacki i polski, wybrałam ten drugi. Wystarczyło jednak kilka lekcji, aby wrócić do serbsko-chorwackiego. Uznałam wówczas, że polskiego nigdy nie opanuję – wydawał się tak skomplikowany. Na szczęście los sprawił, że i tak musiałam się go nauczyć. W momencie, gdy pokonałam barierę obcości jego brzmienia, pokochałam polską fonetykę – a w szczególności wasze samogłoski nosowe. Jednak do dziś nie potrafię wymówić „stół z pomywaływa... powyływaływa...”

Piotr Millati: ...z powymyła...

Maša Guštin: No właśnie... wystarczy, że wiemy, o co chodzi! Nie zapomnę też swego zawstydzenia, gdy mówiąc po raz pierwszy do publiczności zgromadzonej na festiwalu filmów słoweńskich, użyłam słowa „interes”, mając na myśli „zainteresowanie”. Nie zdawałam sobie sprawy, że potocznie w polszczyźnie słowo to może mieć także inne znaczenie. Jak ja to wtedy powiedziałam? „Bardzo mnie cieszy, że w tym wydarzeniu widzę tak wielki interes”, czy jakoś tak. To bardzo rozbawiło słuchaczy, a ja w ogóle nie wiedziałam, co się stało. Wtopiwszy się w wasz język, utraciłam jednak akcent specyficzny dla Lublany. W Słowenii jest tak, że każdy region tego małego kraju charakteryzuje się trochę odmiennym akcentem i po tym można rozpoznać, skąd pochodzisz. Jak wracam do domu, ludzie bezskutecznie próbują odgadnąć, z jakiej części Słowenii jestem,

bardzo zaintrygowani tym, że nie potrafią przypisać mnie do określonego miejsca.

Piotr Millati: Czy sam język polski dostarczył ci okazji do uzmysłowienia sobie różnic między Polakami a Słoweniami?

Maša Guštin: Do pewnego stopnia. Na przykład mogłabym zwrócić uwagę na polskie formy grzecznościowe, których używa się w życiu rodzinnym. W Polsce, mówiąc do rodziców i dziadków na „ty”, można być źle odebrany. Podczas gdy w Słowenii jest to całkowicie normalne, np. mówimy: „Czy możesz mi zrobić herbatę?”, a nie: „Czy mogłaby mi babcia zrobić herbatę?”. Forma, której w Polsce się nadal używa, w Słowenii zaczęła znikać w pokoleniu moich rodziców, a teraz zupełnie jest nieobecna. Moje pokolenie rozmawia z dziadkami i rodzicami takim samym językiem jak z rówieśnikami, jeśli chodzi o formy gramatyczne. Co jednak ciekawe, w żaden sposób nie umniejsza to szacunku wobec tych osób. Pozostajemy wobec siebie w tych samych relacjach jak ma to miejsce w polskich rodzinach, choć język tego już nie odzwierciedla.

Piotr Millati: Dziękuję za rozmowę!

Paweł Baranowski

EMIGRACJA i inne wiersze

Emigracja

Emigracja jest jak wojna
pozbawia ojczyznę dzieci
eksterminuje więzi, atak
na wszystkich frontach
desant przedziera się
przez linie i związki Maginota,
drogi i mosty wysadzone,
podminowane komunikacyjne szlaki,
e-maile i sms-y wybuchają
bomby pułapki;
ślepy obrońców ostrzał,
komendy jak zakłęcia z Westerplatte;
skuteczny „blitzkrieg” emigracji,
z najdalszych miejsc
trafia najbliżej,
jak granat,
prosto do
środku

„Emigrant”

Mieszkam
poza granicami spotkań
z dala od drzwi, pomiędzy nami
bariera pomieszanych języków
i krańców, zachód ja-wschód Ty;
kilka ulic, które nas rozdzielały
pogrążył kanał La Manche,
który przelatujemy rzadko,
taki lot wydaje się zbyt tani...

(...)

Rdzewieje wszystko,
dwa rowery w garażu,
do tego jeszcze ta angielska pogoda...
nie mieliśmy lata razem,
a już nadszedł czas przeziębień
i coraz grubsza na nas garderoba ...
przez słuchawkę głos zaczyna jak deszcz,
za oknem spoiny liści puszczają,
skrzypią braki w krajobrazie,
na-dal dotyka zimna stal samolotów,
czy da się to wszystko
naoliwić...?

(Polsko)

odwołujesz mnie ustami ministrów
i utrzymującymi się wskaźnikami bezrobocia,
zsyłając na wyspę brytyjską ...
stąd jednak
dopiero stać mnie na bycie
w tobie choćby przez chwilę,
na jaką pozwolą kajdany
rozkładu lotów i łańcuch odległości;
za każdym razem
pod okiem celników i straży granicznej
wywożę cię po kawałku, na kilogramy i sztuki,
wędzoną, suszoną, kiszoną, drukowaną,
w słoikach i torebkach, a na reklamówkach
polskie słowo niosę;
w kieszenie kurtki upycham
pocztówki, zdjęcia, książki,
bo przekraczają dopuszczalną wagę bagażu...
a w rękawach przemycam ostatnie pożegnania
i chłodne poranka milczenie,
gdy więźniarka taxi wywozi na lot w chmury,
w których rozmywa się kontur mój czy twój,
sam już nie wiem;

po między nami
głosy i wskaźniki mieszają się jak wody mórz,
ty jednak tam jak góry stoisz,
niczym niezmącony granit tęsknoty...



Z nabrzeża na wieże. Skwer Kościuszki, fot. Andrzej T. Żak

Tomasz Matłęgiewicz

POLSKA Z PERSPEKTYWY KOŁA POLARNEGO

Patrzenie na swój kraj z perspektywy ma niezaprzeczalne zalety. Dystans geograficzny, klimatyczny i obyczajowy z jednej strony ułatwia określenie tożsamości współczesnej Polski, ale z drugiej znacząco utrudnia. Nieodparcie pojawia się bowiem chęć porównań – czym się różni albo w czym jest podobna do miejsca, z którego patrzymy? Zwłaszcza tu, na rosyjskiej Północy, blisko Koła Polarnego można oddawać się konfrontowaniu miejscowej rzeczywistości z polską. Łatwo wtedy o pogrążenie się w podkreślanu tutejszych odrębności, niższości albo wyższości itd., a kwestia główna, owego spojrzenia na swój kraj z dystansu, zaczyna się rozmywać. Zarazem jednak ten dystans, wielokilometrowa odległość pozwala na oderwanie się od całego codziennego hałasu, politycznych kłótni, pustostłowia i wydumanych problemów. Gdzieś z boku zostają kwestie, które w Polsce budzą wielkie emocje, a z perspektywy wydają się tak miałkie, że niewarte nawet wzmianki. Cóż to za wygoda – nie musieć widzieć codziennych politycznych i medialnych kłótni, coś to za przyjemność – nie słyszeć jazgotu służącego budzeniu najbardziej prymitywnych emocji. Z oddali wiele kwestii się przewartościowuje i oddziela kraj od polityki, traktując tę ostatnią jako działanie grupy rządzącej, a nie emanację woli społeczeństwa.

Ktoś może stwierdzić, że w dobie globalnej wioski taki dystans nie jest możliwy. Jednakowoż jest, zwłaszcza w sytuacji, gdy jestem właściwie jedynym Polakiem w Archangielsku – po prostu ludzie dookoła żyją zupełnie innymi sprawami niż te, które budzą emocje nad Wisłą. Owszem – z rzadka wdają się w dyskusje o Polsce, ale mają one wtedy charakter raczej nostalgiczny, ktoś pamięta, że wśród przodków miał Polaka albo sam był kiedyś w Polsce (z reguły jako marynarz). Polska współczesna staje się tematem rozmów tylko po kolejnych wyskokach naszych władz, a i to na krótko. Sprawy polskie nie budzą wśród miejscowych większych emocji, niektórzy wręcz nie ukrywają, że nie wiedzą dokładnie, gdzie w ogóle znajduje się taki kraj. Dotyczy to także środków masowego przekazu, w których tematy związane z Polską mają raczej znaczenie marginalne. Smutne staje się to, że Polska coraz częściej utożsamiana jest tu wyłącznie

z władzami, a jej wizerunek kształtuje nasza klasa polityczna. W wyobraźni wielu Rosjan Polska zlewa się ze swoją polityką, co akurat nie wychodzi nam na dobre i generalnie szkodzi wizerunkowi naszego kraju. Poza tym północna Rosja to nie Anglia z tłumem Polaków, to nie Europa, gdzie można bez problemu spotkać rodaka. Nie oznacza to bynajmniej, że z mojej perspektywy związki z Polską ulegają rozluźnieniu – wręcz przeciwnie – nauczanie języka polskiego sprawia, że jest ona wciąż obecna. Bardziej jednak jako byt mentalny, punkt odniesienia, *sui generis* idea niżeli hałaśliwa codzienność. Dzięki temu wreszcie można spojrzeć na wszystko z boku, zastanowić się na spokojnie nad sensem i istotą własnego kraju.

Dziwnie może to zabrzmieć, zwłaszcza teraz, w środku zimy, ale pierwsze skojarzenia z hasłem „Polska” to kraj ciepły i jasny. Zdeteminowane jest to oczywiście miejscowymi warunkami – bardzo krótkim dniem zimą i właśnie zimą, która trwać może i przez połowę roku. Rzecz jasna w Polsce też mamy do czynienia z okresem chłódów, ale są to raczej dość łagodne w porównaniu z miejscowymi mrozami i śniegami, wzbogacone corocznie komentarzem o zaskoczeniu drogowców. Wyłania się kraj o przyjemnym dla życia klimacie, co jednak nie zawsze się docenia, będąc na miejscu. W modzie jest narzekanie na pogodę w Polsce i spędzanie urlopu w ciepłych krajach. Najczęściej pociąga to za sobą leżenie na plaży nad zagranicznym ciepłym morzem, co wydaje się raczej przejawem snobizmu niż rozsądku. W konsekwencji wyjazdy służą głównie temu, by się potem pochwalić przed znajomymi. Z kolei po kilku zimach nad Morzem Białym o wiele bardziej lubi się nasz Bałtyk, z jego kapryśnymi, ale za to niepowtarzalnymi warunkami pogodowymi.

Wspomniana wyżej potrzeba chwalenia się dotyczy nie tylko naszych współobywateli, o czym znakomite teksty pisał Witkacy. Owo pragnienie puszenia się rozciąga się na cały kraj, a szczególnie już na jego władze. Ledwie ktoś zajmie jakieś eksponowane stanowisko, a już uważa się za wielkiego polityka i następcę wybitnych mężów stanu. Z daleka wyraźnie widać to udawanie przez Polskę mocarstwa regionalnego, kraju o kluczowym znaczeniu, strategicznego sojusznika Stanów Zjednoczonych itd. Niektórym wydaje się, że wciąż trwa Rzeczpospolita Obojga Narodów albo że Polska jest jej naturalną kontynuacją i nieledwie protektorem regionu. Zarzucamy Rosjanom, że nie chcą rozstać się z tradycją imperialną i marzeniami o potęgę, ale sami nie jesteśmy lepsi. Przywołujemy byt polityczny, który zszedł z areny dziejów przed dwoma wiekami, i dziwimy się, że kraje sąsiednie mogą nie chcieć jego odtworzenia (naturalnie z Polską w roli

głównej). Nie umiemy nawiązać normalnych partnerskich stosunków z narodami, z którymi kiedyś tworzyliśmy jedno państwo i z którymi łączy nas wspólne dziedzictwo, traktowane przez nas nadzwyczaj wybiórczo. Oburza nas, że niektórzy marzą o imperium sprzed dwudziestu lat, sami zaś marzymy o takowym sprzed dwóch wieków. Sen o szpadzie, ułuda minionej wielkości miło nas dowartościowują we własnych oczach. Zarazem służą podkreśleniu ważnej jakoby roli Polski w polityce międzynarodowej. Nie tak dawno niektórzy politycy z dumą głosili, że nasz kraj może stać się celem ataku terrorystycznego, tak jakby była to jakaś nobilitacja. Pozerstwo takie trochę przeraża, a trochę śmieszy. Zwłaszcza kiedy aspiruje się do bycia poważnym, potężnym państwem i jednocześnie przedstawia siebie jako wieczną ofiarę złych sąsiadów. Rosyjskie media niekiedy podkreślają tę swoistą karykaturalność polskiej polityki, podtrzymywaną uparcie od lat przez kolejne rządy, niezależnie od ich przynależności partyjnej. Strojenie się w piórka jest w gruncie rzeczy raczej żalosne. Jeszcze większe politowanie budzi wskazywanie na Anglię jako przykład państwa, które ma specjalne stosunki z USA. Co wolno księciu, to nie prosięciu i nic z tym się nie da zrobić. Patetyczne gesty, nadymanie się – o tak, w tym Polska nie ma sobie równych w Unii Europejskiej. Wszystko to jest raczej obliczone na użytek wewnętrzny, bo ze skuteczną polityką zagraniczną niewiele ma wspólnego. Niemal wszystkie polskie inicjatywy międzynarodowe ostatnich lat były właśnie taka hucpa. My, Polacy, lubimy się pławić w słodkiej mazi pustego patosu. Na rzeczową krytykę i racjonalne spojrzenie nie starcza już wtedy czasu. Media tutejsze z radością to podchwytują, tworząc obraz Polski jako nieco zabawnego i często irytującego kraju, w pewnym stopniu folkloru Europy. Można nad tym ubolewać, ale zazwyczaj to my sami jesteśmy winni tej sytuacji. Nie umiemy poradzić sobie z własną pychą i potrzebą błyszczenia, podskórnie marzymy, by traktowano nasz kraj jak mocarstwo, choć historia pokazała, że już nim nie jest i być nie umie.

Samookreślenie się w Europie jest dla Polski najtrudniejszym współcześnie problemem. Wielkie wyzwanie stanowi odnalezienie się w Unii Europejskiej. W ciągu ostatnich lat droga do członkostwa w ramach Wspólnoty była jednym z nielicznych, jeśli nie jedynym sensownym działaniem politycznym. I co teraz? Odłożywszy na bok godne politowania wybryki naszych polityków, obserwowane już nie tylko w kraju, ale na arenie europejskiej, należałoby się zastanowić nad tożsamością Polski w tej nowej sytuacji. Wielu naszych rodaków korzysta z możliwości, jakie daje wspólna Europa – w sferze zawodo-

wej, kulturalnej, turystycznej. Jest coś pięknego w fakcie, że wystarczy przejść mostek i już jest się za granicą – np. przekroczywszy Nysę Łużycką. Tradycyjny, dziewiętnastowieczny nacjonalizm, choć nadal żywy w naszym kraju, zwłaszcza wśród klasy politycznej, już jest przeżytkiem. Idealnym rozwiązaniem byłoby utworzenie w przyszłości federacji i w perspektywie powstanie ogólnoeuropejskiego narodu. Innymi słowy, wskrzeszenie Imperium Rzymskiego, zrealizowanie marzenia o jedności i pokoju w naszej części świata. Z drugiej strony Polacy nie wydają się jeszcze gotowi, by zostać Europejczykami, a już tym bardziej polska klasa polityczna. Polakom Unia jawi się jak twór, wobec którego można zgłaszać swoje roszczenia (głównie natury materialnej), ale pozostaje on czymś zewnętrznym. Stąd owe podkreślanie specjalnych jakoby stosunków z Wielkim Bratem zza Oceanu. Nie potrafimy się określić – czy jesteśmy częścią Europy, czy też nie. A przecież na dłuższą metę nie da się stać po obu stronach barykady. Jeśli jesteśmy częścią Wspólnoty, to wypadłoby nieco zrewidować spojrzenie na pewne sprawy, zmienić stosunek do Brukseli i innych krajów. Da to możliwość potraktowania Europy jako swojej ojczyzny, nie tylko w aspekcie finansowym, ale przede wszystkim historycznym i kulturowym. Przeszłość europejska stałaby się naszą na równi z tym, co dotychczas przywykliśmy określać mianem własnej historii. Mówiąc nieco kolokwialnie, jeśli podzielimy się z innymi Chopinem, Kopernikiem czy Skłodowską-Curie, to i oni podzielą się z nami Erazmem z Rotterdamu, Mozartem czy Newtonem. Aby to zauważyć, wystarczy się rozejrzeć dookoła – ślady działalności innych narodów widać na każdym kroku. Kultura polska przez wieki czerpała obficie z dorobku pozostałych krajów i złożyło się na nią wiele tradycji. Dopiero ostatnie półwiecze uczyniło z Polski kraj jednonarodowy. Niewykluczone, że na szczęście, bo już II Rzeczpospolita nie potrafiła prowadzić rozsądnej polityki wobec mniejszości, a krwawy rozpad Jugosławii mógłby powtórzyć się i u nas. Z drugiej strony trudno zrezygnować z polskocentrycznej i nacjonalistycznej wizji dziejów. Można zrozumieć trudności takiej zmiany samookreślenia. Przebudowanie, nieledwie fundamentalne przekształcenie naszych wyobrażeń o sobie wymaga czasu, wysiłku i zmiany utrwalaonych przez dzieściolecie przekonań.

Dwoistość Polski widać, wsłuchawszy się w opinię miejscowych Rosjan. Z jednej strony Polska to członek Unii, kraj, który jakoś uporał się z przejściem z socjalizmu do kapitalizmu itd. Ale z drugiej trwa i ma się dobrze znane przysłowie: „Kurica nie ptica, Polska nie zagranica”. Ostatnimi czasy zmienia ono trochę swój wydźwięk – przestaje

być czymś pogardliwym. Nabiera cech pozytywnych – Polska jawi się jako coś mimo wszystko bliższego i sympatyczniejszego od zdecydowanie zagranicznych, to znaczy niesłowiańskich krajów. Może w oficjalnej polityce Kreml sympatyzuje z Niemcami, ale dla przeciętnych Rosjan to jednak my, Polacy, jesteśmy bliżsi. Często w związku z tym słyszę pytanie o stosunek Polaków do Rosjan i innych słowiańskich narodów, zwłaszcza w kontekście byłej Jugosławii. Niepotrzebnie Polska odwraca się od swojego słowiańskiego dziedzictwa, marnuje pokazywalny kapitał zaufania, które miała u wielu krajów za wschodnią i południową granicą. Czy tego chcemy, czy nie, zajmujemy miejsce na pograniczu wschodu i zachodu i w naszej kulturze są obecne elementy jedne i drugie. Kontakt z Rosjanami pozwala to dostrzec, tak samo jak kontakt z Niemcami. Elementy wspólne przeważają nad różnicami, tym bardziej że w Rosjanach drzemie wiele życzliwości w stosunku do naszego kraju, którą zasłaniają czynniki oficjalne obu państw. A i my sami nie potrafimy się wznieść ponad podziałami i zaakceptować w sobie dziedzictwa słowiańskiego, bliskości z wieloma krajami. Zamiast szacunku i współpracy z narodami mówiącymi podobnym językiem – nadymamy się albo traktujemy innych z zauważalną dozą protekcjonizmu, podkreślając swoje, rzekomo naturalne przewodnictwo. Ukryte kompleksy wobec Zachodu, który jakoby powinien być nam wdzięczny (najlepiej w finansowym planie), łagodźmy lepiej lub gorzej skrywaną wyższością w stosunku do wschodnich i południowych sąsiadów, od których wiele moglibyśmy się nauczyć. Z odległości Polska jawi się jako kraj nad wyraz egoistyczny i skłonny do pouczenia innych, ale mający do nich pretensje, że chcą postępować zgodnie z własnym, a nie polskim interesem.

Tymczasem współczesna Polska nie może jeszcze poradzić sobie ze swoją przeszłością, chociażby z ukształtowanymi przez nią wyobrażeniami o sąsiadach. Zwłaszcza dwóch największych – Niemczech i Rosji. Odnośnie do zachodniego sąsiada wydawałaby się, że ostatnie 20 lat współpracy zatrze, a przynajmniej ograniczy stereotypy. Ale tak się nie stało. Byle drobiazg może zostać rozdmuchany do rozmiaru fundamentalnego sporu i natychmiast wracają uprzedzenia – choćby w związku z marginalnym ugrupowaniem Eriki Steinbach, które stało się w oczach polskiej opinii publicznej nieledwie oficjalnym głosem Niemiec. Zaprzyjaźniony sąsiad przeobraża się w IV Rzeszę. Problemy z własną samoidentyfikacją Polska rozwiązuje w tradycyjny, najgorszy z możliwych sposób – szukanie narodowego wroga, a głos rozsądku tonie w masie wrzasku, obdarzony dodatkowo epitetem zdrady. W stosunku do Rosji – pełna katastro-



Droga przez rzekę Dwinę, Archangielsk, fot. Tomasz Matłęgiewicz

fa. Mieszanka strachu, fobii, pogardy i pretensji. Rosja stała się papierkiem lakmusowym patriotyzmu polskiego. Im większa niechęć, tym większy patriota. Określa też sposób postrzegania przez nas innych sąsiadów – z niechęcią traktujemy Białoruś, bo ma generalnie dobre stosunki z Kremlem, za to gotowi jesteśmy popierać Ukrainę, o ile zajmie ona pozycję niechętną wobec Moskwy. Rozciąga się to też na postrzeganie przeszłości i wypominanie krzywd. Białorusinom nie bardzo jest co zarzucić, Niemcom przy lada okazji wytykamy II wojnę światową, Rosji – Katyń, a masakra wołyńska i UPA zamiatane są skrzętnie pod dywan w imię dobrych stosunków z Kijowem. O własnych niegodziwościach oczywiście nie pamiętamy, bo przecież Polska była jakoby zawsze czysta i szlachetna. A gdzieś w głębi tego działania tkwi tęsknota za utraconą mocarstwowością, potrzeba dowartościowania się, zalecenia kompleksów. Być może w przyszłości się to zmieni, ale wydaje się, że droga do wyjścia z ciasnoty polskiego zaścianka wiedzie tylko przez federację europejską i „rozpuszczenie” historii narodowej w ogólnoeuropejskiej. Inaczej Polska nie jest w stanie uporać się z własną przeszłością, która poza tym nie jest już tak wyjątkowa, jak to często lubimy podkreślać. Tylko cierpiętnictwo wychodzi nam najlepiej. Zapędy polityki historycznej były tego naj-

lepszym dowodem. Z daleka widać było wyraźnie, że to nie polityka, ale artykułowanie fobii i uprzedzeń w stosunku do innych krajów.

Polska znalazła, miejmy nadzieję, swoje miejsce w Europie i jest szansa, że zdoła je zachować, jeśli będzie w stanie wyzbyć się swojego egoizmu. Większość klasy politycznej nie jest jeszcze do tego gotowa, ale społeczeństwo częściowo tak. Sami często nie dostrzegamy, jak wielki skok cywilizacyjny jest wynikiem przystąpienia do UE. Narzekamy na wiele rzeczy w Polsce, ale nie wiemy i nie bardzo chcemy wiedzieć, jak mogłoby być. Przez ostatnie lata zmieniło się bardzo wiele, ale przemiany te często umykają naszej uwadze. W Archangielsku widać niekiedy, jak być mogło, gdyby nie wpływ ze strony Brukseli. Można powiedzieć, że przed oczami ma się alternatywną wizję rozwoju. Nie jest to miły obraz. Zarówno w aspekcie cywilizacyjnym, jak i politycznym. Rosjanie powtarzają, że ich kraj ma dwa główne problemy – „duraki i drogi”, czyli durnie (u władzy) i drogi. Zapewne w Polsce nie byłoby o wiele lepiej, jeśliby nas ktoś z zewnątrz nie pilnował. W roli takiego „nadzorcy” występuje Europa i chwala jej za to. Tymczasem, biorąc chętnie pieniądze z Brukseli, staramy się często ograniczyć wpływy kulturalne i obyczajowe, nie rozumiejąc, że jedno musi wiązać się z drugim. Polska prezentuje się przez to jako kraj nadzwyczaj pazerny na cudze, ale głośno krzyczący o swojej jakoby czystej, nieskalanej duszy, którą ktoś chce zabrać albo skazić.

Z daleka widać wiele rzeczy, pozytywnych i negatywnych. Odłożwszy na bok sprawy bieżące, można przyjrzeć się tendencjom silnym we współczesnej Polsce, zarówno pozytywnym i pięknym, jak i szkodliwym i niebezpiecznym. Wyłania się obraz kraju dość dziwnego: Ciało Polski już jest w Unii Europejskiej, ale Dusza przebywa gdzieś na Ukrainie. Można zapewne z tego rozdarcia uczynić zaletę, ale na razie tego nie potrafimy. Zapewne przyczyna leży w braku trzeciego elementu kształtującego osobowość – mam tu na myśli Rozum. W romantycznej świadomości polskiej on zawsze odgrywał rolę drugorzędną, pierwiastka racjonalnego często w przeszłości nam nie dostawało. Czasem mam wrażenie, że nasza świadomość narodowa jeszcze nie przyswoiła przewrotu kartezjańskiego. Ale można mieć nadzieję, że we współczesnej Polsce wreszcie to się zmieni. Nigdy przedtem w historii nasz kraj nie miał tak znakomitej sytuacji jak obecnie i tak wspaniałych perspektyw i możliwości rozkwitu jak te związane z uczestnictwem w wielkim europejskim marzeniu. Pytanie, czy Polska jest w stanie to wykorzystać, przebudować swoją świadomość i wziąć udział w tworzeniu europejskiej tożsamości? Kto wie...

Renate Schmidgall

HOTEL MASSANDRA i inne wiersze Z niemieckiego przełożył Tomasz Ososiński

Hotel Massandra

Na podwórzu śpiewny język, pojedyncze słowa
wyłuskują się z niknącego światła:
„paidziom, dawaj, wsio rawno” – Rosjanie
z drugiego budynku idą na kolację.

Różowe kwiaty akacji bledną,
cypriasy czernieją, zmierzają ku niebu,
i Czechow ma rację: spełnienie
dokonuje się gdzieś poza życiem.

Ostatnia noc na Krymie

... *niebiosa leżące na dole, / To jest morze...*
(Adam Mickiewicz, *Sonety Krymskie*)

Tęsknota tania jak barszcz,
kiedy biały księżyc w pełni
rzuca blask na Morze Czarne.

Noc była ciepła, z restauracji
dobiegała *Unchained Melody*, gdy po raz ostatni
patrzyliśmy na leżącą w dole plażę.

Tuż po jedenastej jasnowłosey kelner
z hałasem zaczął ustawiać krzesła.
Palmy nie poruszały wachlarzami.

Morze towarzyszyło nam aż do Ałusztu,
okrągły grzbiet niedźwiedzia tulił się
do brzegu, ciemniejsza szarość w szarości.

Wciąż czekałam na pożegnanie,
ale czas był głuchy: nie wzruszało go
żadne uczucie.

Myślę o Boltenhagen

gdzie o piątej rano mewy
siedzą na moście, ciężkie i cielesne,
jakby zapomniały o lataniu

gdzie na skraju pola rośnie
czerwony mak, a pszenica pachnie
pod szeroką ręką wiatru

gdzie o jedenastej wieczorem molo
dzieli morze na noc i dzień
na srebro i matową szarość

wędkarz oddaje wodzie rybę
wystarcza mu spokój

Pojechać do Weinsberg

pojechać do Heilbronn, na dworzec, którego
przejście podziemne wydaje ci się teraz takie niskie,
wsiaść do starego pociągu do Weinsberg, gdzie
opuszczasz okno i zasłonka łopocze
na wietrze, jechać przez zalany słońcem
zielony krajobraz, gdzie konduktor po drodze
zbiera jeżyny, a pośród winnic
nagle pojawia się średniowieczny zamek,
pociąg zatrzymuje się z piskiem, a na peronie
stoi ojciec i podnosi moją córkę
wysoko, cieszy się i wiezie nas do domu

pojechać do Weinsberg, odsunąć
teraźniejszość na bok jak zasłonkę

O siódmej rano w Pirovac

Promienie słońca z ukosa padają na krzew tamaryszku.
Po kamieniach śmigają jaszczurki.

Trochę dalej świergot ptaków
w gaju oliwnym, na zardzewiałej bramie pajęczyny.

Poranek jest delikatny,
niedostrzegany przez ludzi.

Mewa szybuje nad gładką wodą,
towarzyszy jej własny cień.

W Dalmacji

Nad wąską uliczką w Betinie
płonie jasny gwar:

młode jaskółki na drutach, pełna
pięciolinia świergotu.

Otoczona błękitem Adriatyku
wyspa jakich setki.

Ale jaskółeczka w eleganckim
czarno-białym fraku,

jedyna, która nie zrywa się do lotu,
śpiewa tylko dla mnie.

Dzieciństwo, znowu

Nad ogrodem w Neuhütten upał
i ostry aromat czarnej
porzeczki. Tylko bzyczenie much
draży w ciszy dziurki.

Freiburg, w hotelu

Gdy w łazience na białej półce
dostrzegłam muszle,
pomyślałam o tym, co kruche.

W lustrze zobaczyłam
moją ciężką poranną twarz.

Prawie od półwiecza
nie jestem dla siebie dobra.

Degas i baletnice

Degas jest stary, baletnice zmęczone.
Tylko światło jest młode
jak w dzień narodzin świata.

Wtedy

zrywałam maki i widziałam, jak ptaki wzlatują
nawlekaliśmy chwile na szorstki sznur czasu
morze uderzało o brzeg

aż przybiła do brzegu butelka z listem
czarne serce leżało nagie

ptaki były już dawno na południu

Paweł Próchniak

TRYLOGIA INFERNALNA (notatki o prozie Świetlickiego)

1.

Marcin Świetlicki jest poetą, który nie potrzebuje rekomendacji. Mówi mocnym, dobrze rozpoznawalnym głosem. Siła tego głosu bierze się z trwania przy żywym nurcie egzystencji – oszalamiająco realnej, dojmująco prawdziwej. I jest też formą odwagi. Wiersze autora *Zimnych krajów* obstają bowiem przy odwadze istnienia wobec wzburzonego, napierającego zewsząd świata. Wychodzą mu na przeciw. Chwytają pewnie jego zmacony kształt. Podpowiadają słowa i obrazy, w których odnajduje formę – niezbitą, utwierdzoną w sobie. I zarazem otwartą – niczym horyzont otaczającej nas rzeczywistości.

2.

Z prozą jest inaczej. Realny świat wycieka z niej. Życie osłania się gardą ironii. Obraca się w pozę. Owszem, w *Dwanaście*, *Trzyście* i *Jedenaście* aż roi się od odesłań do konkretnych osób i zdarzeń. Pełno tam ukłonów i przytyków. Ale to tylko pozór rzeczywistej obecności. Prawdziwa materia tego świata ma w sobie coś z męczącego snu. Jest gęsta niczym koszmar. I jak koszmar przesiąknięta jest czymś na wskroś nierealnym. Okrywa ją cień nieistnienia. Wychyla się ku nam z miejsca, które skądś znamy, które w lot rozpoznajemy, choć jednocześnie wiemy dobrze, że go nie ma, że kłamie o sobie w żywe oczy. Ale wiemy też, że więzi nas w sobie, że jest piekielnie prawdziwe.

3.

Świat, o którym opowiada się w tej prozie, istnieje ze względu na mistrza. I wraz z mistrzem egzystuje w jakiejś pozagrobowej dymensji. Bohater Świetlickiego jest bowiem pogrobowcem epoki, która dawno minęła. Jest starą kalką – przetartą na wylot, wycofaną z użycia. Należy do legionu niewydarzonych autsajderów. Jak oni wszyscy jest

– sprany, splukany, przegrany, bez przydziału. Najeża się i chce, byśmy brali to za bunt. Chce być sobą i jest w tym boleśnie groteskowy. Uparcie gra samego siebie, choć całkiem już zatracił się w pozie. Trudno go brać na serio. Na jego knajpiany spektakl nie sposób patrzeć bez politowania. Byłby może śmieszny, gdyby nie ożywiało go coś na wskroś irytującego. Jakiś rozbijający narcyzm. Prostolinijność – niewinna i zarazem na pokaz. Dziecinna zawziętość – rozpaczliwa, naiwna, bezradna. I rozczulająca.

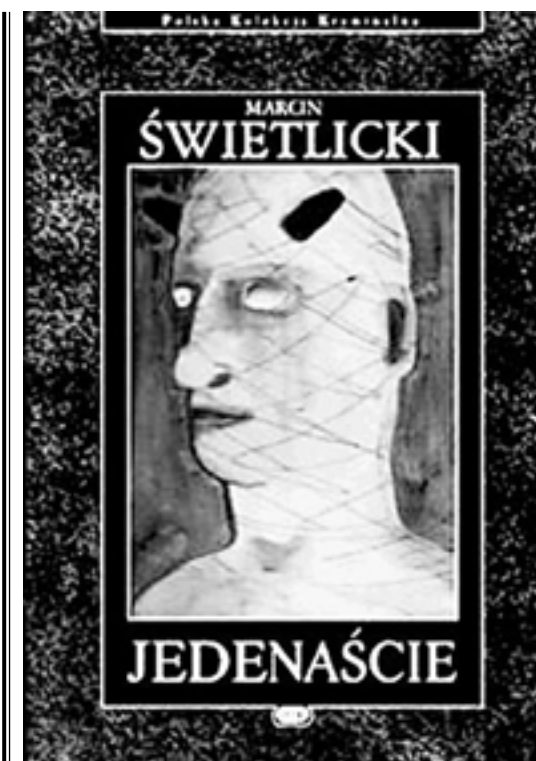
4.

To właśnie ktoś taki – jest mistrzem. W czym? W byciu. Mistrz jest. I to mu wystarcza. To, że jest – nie wymaga żadnych uzasadnień. To, że jest – wszystko wyjaśnia. Stąd nieodparte wrażenie, że wszystko jest w jego rękach. Owszem, kto inny pociąga za sznurki. Inni wiedzą więcej i lepiej. Ale to mistrz sprawia, że wciąż istnieje świat, którego dawno powinno już nie być. Wie bowiem, że wystarczy być. Nie skarży się. Czeką cierpliwie. Pewnie sięga po szklaneczkę i przepija do kogoś, kto jeszcze nie nadszedł. Sięga po szklaneczkę, jakby chciał powiedzieć:

– Zobacz, jak wielka jest moja tęsknota. Zobacz, czym muszę się krzepić.

5.

Mistrz nie chce wiedzieć, kim jest. I nie wie. Ale my to wiemy. W tym, że jest – jest każdym z nas. Jest nami zwłaszcza tam, gdzie wolelibyśmy nie być. Ale jest też kimś więcej. Jest artystą – skupionym na sobie,



Jedenaście Marcina Świetlickiego, wydane w serii: „Polska Kolekcja Kryminalna”, EMG, Kraków 2008

pewnym swoich niegdysiejszych racji, na swój nieporadny sposób stawiającym czoła epoce ksero, epoce niekończących się powtórzeń, powielających się w nieskończoność odbitek. I właśnie w imię tych racji, za sprawą ich poręczeń, jest kimś, kto wciąż żywi naiwną wiarę, że koniecznie trzeba szukać prawdy, że gdzieś przecież kryją się jej niezatarte ślady. Jeśli nawet w końcowym rozrachunku na prawdę nie można liczyć, jeśli jej światło niczego ostatecznie nie rozjaśnia, to przecież tylko ją warto mieć na oku. Bo tylko jej nie można na nic rozmiąć. Tylko ona pozostaje niewinna.

6.

Mistrz wie swoje. Niby na nic już nie liczy, ale przecież w istocie liczy jeszcze na to i owo. Liczy na prawdę. Więc i my powinniśmy liczyć. Zwłaszcza że właśnie to podpowiadają nam tytułowe liczebniki – *Dwanaście*, *Trzyście*, *Jedenaście*. Nie jestem nazbyt biegły w rachunkach, ale wiem, że suma tych liczb wynosi 36. I wiem też, że gest wysunięcia cyfry na tytuł jest sam w sobie zabiegiem numerycznym. Świetlicki powtarza ten gest trzy razy – konsekwentnie w odniesieniu do każdego z ogniw powieściowego tryptyku. Trudno o bardziej czytelną wskazówkę. Jeśli bowiem tytuł zamyka w sobie dzieło, jeśli streszcza je, ujmuje w metaforycznym skrócie i tym samym wskazuje nam tryb lektury, to prozatorski tryptyk Świetlickiego wolno – i trzeba – czytać przez pryzmat liczby, która narzuca się jako tytuł trylogii traktującej o mistrzu i jego niejasnych przygodach. Nie będę rozwijał tego wątku. Nie chcę zbyt mocno go eksploatować. Przypomnę jedynie, że wedle jednej z najstarszych tradycji filozoficznych – i ezoterycznych – liczby są istotą wszystkiego i stanowią tworzywo, z którego uformowany jest świat. Liczba 36 mówi o tym wprost. Wiąże się ją bowiem z tym światłem, które dało początek istnieniu widzialnego świata. Jest emblematem i sygnaturą kreacji *ex nihilo*. Symbolizuje odsłonięcie się niewidzialnego światła. Na początku – bo światło tworzenia jaśniało w Edenie przez 36 godzin. I odtąd już zawsze – bo świat w jego trwaniu podtrzymuje w każdym pokoleniu 36 sprawiedliwych. Tych 36 filarów – a wspominają o nich różne tradycje – nie pozwala znanej nam rzeczywistości upaść w niebyt. Dzięki nim ziemia nie osuwa się nam spod nóg. Czy trzeba dodawać, że jest to ta sama ziemia, która wciąż pali się nam pod stopami? Czy trzeba dopowiadać, że o niej właśnie powiedział Bóg do Adama:

„przekłeta będzie ziemia dla ciebie”? I zapewne nie należy się temu dziwić, skoro suma wszystkich liczb z przedziału od 1 do 36 wynosi 666.

7.

Swoją trylogię zamyka Świetlicki taką oto sceną:

– Już nie żyjesz – powiedział ktoś stojący w bramie.
Przeszedł go drobny dreszcz. Ale od dawna podejrzewał, że już nie żyje, więc wzruszył ramionami i wyszedł z bramy.

Koniec zawsze ma w sobie coś z katastrofy. W jej blasku niejasna pogródka staje się formułą rozpoznania. Mistrz podejrzewał, że od dawna nie żyje. Na koniec – wie to i wzrusza ramionami. W jego świecie to żadna rewelacja. Jest to bowiem świat, w którym granice między życiem i śmiercią dawno się zatarły. Świat – od zawsze podszyty katastrofą. Gruntownie spustoszony. Opuszczony przez życie i przez śmierć. Wydany jałowemu trwaniu. Udręczony nudą – zapobiegliwą, dobrze skrojoną, wziętą pod strychulec praktycznego rozumu. Budulcem tego świata jest istnienie wywrócone na nice, jałowe, wytarte do cna, spopielone w zetknięciu z niczym. Taki świat zamieszkują umarli. Taki świat jest piekłem. Ale bywa też miejscem czegoś, co pozostaje ukryte i domaga się ujawnienia, choć jest to prawda skandaliczna i w istocie nikomu do niczego niepotrzebna. Takiej właśnie prawdy szuka mistrz. Posuwa się ku niej uparcie – sięgając przez ciemność po szklaneczkę. I czyni to w przeświadczeniu, że prawda jest rzeczą umarłych, że kpi z trzeźwego spojrzenia, że odsłania się tylko tam – po stronie grozy, w miejscu bez imienia, w pijanym widzie.

Arkadiusz Jadczyk

POLSKA – MODEL DO SKŁADANIA

Nie uczyniłeś mnie ślepym
Dzięki Ci za to Panie

Nie uczyniłeś mnie garbatym
Dzięki Ci za to Panie

Nie uczyniłeś mnie dziecięciem alkoholika
Dzięki Ci za to Panie

Nie uczyniłeś mnie wodogłowcem
Dzięki Ci za to Panie

Nie uczyniłeś mnie jakaś kuternogą karłem epileptykiem
hermafrodytą koniem mchem ani niczym z fauny i flory
Dzięki Ci za to Panie

Ale dlaczego uczyniłeś mnie Polakiem?

Andrzej Bursa,

Modlitwa dziękczynna z wymówką, 1957

Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że jestem prawdziwym Polakiem. Mam bujne wąsy ubrudzone pomidorówką, popsute zęby, myję się „od święta”, aby zapach przetrawionego alkoholu wypitego w godzinach pracy ginał w oparach potu wydobywających się z mojej koszuli flanelowej w kratę. Nie jest źle. Zresztą, co tu dużo gadać: sąsiedzi mi zazdroszczą. Po najtańsze papierosy do osiedlowego kiosku jeżdżę dwa razy dziennie czarnym BMW sprowadzonym z Rajchu – nie tak jak oni – obitym Lanosem rocznik 95. Na co dzień przycinam na zakrętach 180 km/h niczym mój idol i guru Robert Kubica. Tylko w mojej „becie”, w przeciwieństwie do jego, są szyby – za to jak przyciemnione – i wokół tablicy rejestracyjnej z tektury świecą się przybajerzone diody, które zamontowałem razem ze szwagrem w Boże Narodzenie. Rzecz jasna mój „bolid” przerobiłem na gaz, żeby nie męczyć się dłużej uciążliwym kupowaniem ropy na lewo od kierowców zlewających je z aut służbowych. Bo o „oranzadzie” trzeba już zapomnieć – za jazdę na oleju opałowym zaczęli mocno ścigać... CB Radio, moje ukochane radyjko, nabyłem drogą kupna na Allegro i zamontowałem głównie po to, aby przechytrzyć „misiaków” – ile można psiarni dawać w łapę... A tak w ogóle to mam ładne mieszka-

nie w bloku z wielkiej płyty i jestem szczęśliwym obywatelem. I właśnie dlatego nie chodzę na wybory, bo mam ich wszystkich w dupie. Zresztą czy ja bym coś zmienił tym moim głosowaniem? Mój dom to moja twierdza! Jak chcę, to puszczam sobie „Perfect” na cały regulator i nikt mi nie podskoczy, a latem robię sobie grilla na balkonie, otwieram zimnego browara i jest naprawdę git. Mieszkam skromnie. Trochę mebli. W dużym pokoju na ścianie wisi portret papieża, taki kilim, żeby się ksiądz odczepił raz w roku, jak przychodzi „po kole-dzie”. Obok mam wypłowiały już plakat polskiej reprezentacji piłkarskiej z 1972 roku. To były czasy! Wtedy świat wiedział, co to Polska i z kim mają do czynienia! Książek nie mam dużo – na palcach jednej ręki bym policzył: jest *Trylogia* Sienkiewicza, za to w twardych oprawach, książka kucharska *Polska kuchnia*, atlas świata z 1989 roku no i, jakby tu powiedzieć, hmmm, no Lew Starowicz... Wszycho!

Otwieram oczy i okazuje się, że to nie sen ani wyobrażenie... To moi sąsiedzi, moi rodacy. Polacy, od których najchętniej bym uciekł – tylko gdzie, skoro sam jestem Polakiem, w dodatku patriotą, przynajmniej za takiego się uważam. Polakiem świadomym swego pochodzenia, kochającym ten język, zainteresowanym pokręconą historią tego kraju. Czcę symbole i barwy narodowe, stoję na baczność, gdy w telewizji grają hymn, ba, nucę go w przeciwieństwie do polskich piłkarzy żujących w tym czasie gumę i odczuwam więzy krwi ze Ślązakami czy Kaszubami, których najchętniej widziano by gdzie indziej... Jestem dumny z naszej kultury i gdzie tylko mogę w trakcie pobytów zagranicznych – opowiadam o niej. A jednak mam takie marzenie, żeby nie było już Polski... Takiej Polski, jaką widzę.



Rys. Jacek Karaszewski, www.daily.art.pl

Jak to więc jest z tą współczesną polską tożsamością? Jest czy jej nie ma? A jeśli jest, to u kogo? Może to właśnie moi sąsiedzi działają na rzecz ogólnie pojętego dobra narodu, a ja, niczym jakiś od-

szczepienie, zwykły krytykant, jeszcze wyśmiewam nasz unikalny charakter narodowy? „Skoro ci się nie podoba – to w... stąd!” – powiedziałby niejeden mój sąsiad. „Niech Pan opuści to terytorium” – poradziłby niejeden profesor uniwersytetu.

Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że Polska to taka gra komputerowa albo Second Life. Albo model do składania. Można wszystko w nim przedstawiać, układać po swojemu, przesuwac postacie, całe narody, wpływać na przebieg wydarzeń. Można też jak w „Simsach” budować coś po swojemu. Albo tak, jak w „Farmville” – otaczać się sąsiadami, których chce się mieć za sąsiadów... Twórcy tej gry o nazwie „Polska – model do składania” proponują zabawę na kilku poziomach trudności, dając jednak graczom szansę przejścia pierwszego poziomu z widokiem domyślnym. W tej wersji spośród miejsc do wyboru są między innymi: Kopalnia Soli „Wieliczka”, Westerplatte, warszawska Starówka, Wielka Krokiew, krakowski kościół Mariacki, sopockie moło, klasztor na Jasnej Górze, Żelazowa Wola, Łysa Góra, bazylika w Licheniu, wrocławski Rynek, Puszcza Białowieska, budynek Sejmu przy ul. Wiejskiej, Półwysep Helski i Mazowsze miodem płynące. Z rzeczy podręcznych jest szabelka, biało-czerwony proporzec, wódka, różaniec, koń lub bolid Kubicy – do wyboru, ORP „Błyskawica”, dyktafon, szalik polskiej reprezentacji i czapka błazna z dzwoneczkami, dwa miecze spod Grunwaldu, kask Adama Małysza oraz kij baseballowy. Wszystko to może się przydać graczom, kiedy na ekranie, tuż po wciśnięciu przycisku „Start”, pojawia się niespodziewanie prymitywne ludy germańskie, bandy UPA, zaporoścy Kozacy, mieszkańcy Zaolzia, Krzyżacy, Armia Czerwona, albo zwykli oligarchowie, których to trzeba będzie spacyfikować – lub kiedy dalej wybierzemy już jakiś konkretny scenariusz, np. „Okupowanie Moskwy”, „Wyprawa na Kijów”, „Bitwa pod Grunwaldem”, „Powstanie Warszawskie” lub może „Inwazja na Pragę w 1968”. Na tych, którzy przejdą wszystkie poziomy trudności, i ich wirtualny dworek z kolumnami przy wejściu przetrwa wszystkie burze i napory – czeka nagroda, także wirtualna. Będą mogli zasadzić sobie w ogródku dąb Bartek i odpocząć w jego cieniu. To jest naprawdę trudna gra. Zbudować dom na Helu metodą gospodarską, jako samowolkę, namówić znajomych graczy, żeby się do nas przyłączyli, a potem odeprzeć atak Krzyżaków od morza (w grze wszystko jest możliwe!) za pomocą kija baseballowego i przejść, co znaczy przeżyć, inne poziomy, na których kombinacje mogą być jeszcze bardziej skomplikowane – tylko dla orłów! Ukrycie się w Puszczy Białowieskiej, głęboko w lesie, z samym koniem – stanowi też nie lada wyzwanie dla gracza, z uwagi na to, że

wtedy nic się nie dzieje... Ale ta gra ma jedną podstawową zaletę – w dużej mierze sam gracz decyduje o tym, co się stanie, jak wygląda jego kraj, kogo ma za sąsiada, kogo za agresora, jak potoczą się dalsze wydarzenia. Ot, po prostu, taki model do składania.

Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić swoją Polskę, jak bym ją poukładał w grze, z kim i ile czasu bym na to potrzebował. A przecież może się okazać, że gra wcale nie zyskałaby popularności albo byłaby zbyt trudna. Może się okazać, że łatwiej i przyjemniej jest żyć w Polsce takiej, jaka jest. Bez możliwości zmiany, układania jej po swojemu, rewizji tego, co było, zmierzenia się z tym, co będzie lub mogłoby być przynajmniej w świecie wirtualnym... Upieram się jednak, że taka gra jest potrzebna – chętnie bym ją zobaczył, być może zmierzyłbym się z demonami, odreagował, a może tylko wydrukowałbym sobie obraz tej „mojej Polski” i powiesił na ścianie w dużym pokoju lub utworzył z niej tapetę na swój komputer?

Tylko kto jest w stanie zaprogramować taką grę? Być może wcale nie Polak, bo jemu zabrakłoby dystansu do tego, co stało się przez ostatnie ponad 1000 lat na tych ziemiach. Trzymałby się schematów, odtwarzał przebieg wydarzeń itd.

I czy tak tworzona tożsamość – przez każdego z osobna, z pojedynczych elementów jako większa układanka, scałkowana niczym w matematyce – dałaby spójny obraz? Co wyszłoby z tego działania? Już dziś zapraszam wszystkich do takiej gry. Każdy może sobie odpowiedzieć na pytanie, na czym polega polska tożsamość, wyobrażając sobie, z czego składałaby się jego Polska, co by ją tworzyło, gdyby można ją było tworzyć... Wystarczy zamknąć oczy.

Miklavž Komelj

(JURE DETELA)*

1.

Na jok mi gre, Shelley, ko se te spomnim,
drhteče tiho življenje.

Tak się zaczyna wiersz, w którym Jure Detela ze stuletniego oddalenia zaczepia angielskiego piewcę wolności, o którym mówi, że „o wolności kłamał i że wyrzekł / dla pamięci coś więcej niż prawdę”.

Wiersz, który, kiedy go po raz pierwszy uważnie przeczytałem pewnej zimy w latach dziewięćdziesiątych minionego stulecia, tak mną wstrząsnął, że było to dla mnie jedno z najsilniejszych doznań mocy słowa poetyckiego; wiersz, który nie tylko przesunął współrzędne mojego rozumienia poezji, ale także współrzędne rozumienia świata.

Zbiera mi się na płacz, Shelleyu, gdy cię wspominam,
cicho trzęsące się życie.

O jakże ciasne granice prowincjonalnego milieu musiało się obijać życie poety, który swoją poezję kierował nie tylko do ludzi, ale do wszystkich żywych stworzeń!

Jure Detela urodził się w Lublanie 12 lutego 1951, w tym też mieście zmarł 17 stycznia 1992. Był to człowiek pod każdym względem niezwykle i nonkonformistyczny. Wielbiony jako geniusz w kręgach lublańskiej „bohemy”, a zarazem ignorowany ze strony kulturalnego establishmentu, w oczach stróżów „spokoju i porządku publicznego” był – tylko z powodu swej inności – jednym z tych ludzi, których przy okazji różnych oficjalnych wydarzeń, jak wizyty przywódców obcych państw, trzeba było przewencyjnie zamykać, by od ich widoku nie ucierpiał reprezentacyjny pejzaż Lublany. Świadomie uosabiał skrajne podejście do egzystencji i swoje życie, poświęcone prowadzonej namiętnie i nie bez donkiszoterii walce przeciw przemocy i represjom, traktował również jako eksperyment. (Opisał to w książeczce *Pod strasznymi oczami pontonowych mostów* [1986].) Do życia publicznego włączył się w okresie lewackich rozruchów studenckich, umarł zaś w momencie rozpadu Jugosławii, gdy okazało się, że w jak

najokropniejszy sposób rozsypały się wszystkie te pacyfistyczne ideały, którym poświęcił życie. W liście nadanym dwa dni przed śmiercią do przyjaciółki w Chorwacji, gdzie toczyła się wojna, cytował starochiński napis nagrobny, w którym poeta prosi, by w nadchodzących stuleciach mógł nie odradzać się już jako istota ludzka, a co najwyżej jako kwiat lub drzewo.

A Detela nie zakładał apriorycznie, że kwiatem albo drzewem gorzej jest być niż człowiekiem. Jego życiowym posłannictwem było zniesienie wszelkiej oczywistości w odnoszeniu się do „istot z innych światów”. Był najradykałniejszym bojownikiem o prawa zwierząt w Słowenii. Także występowanie przeciw przemocy nie było dla Deteli sposobem na uzyskanie spokoju ducha ani też pielęgnowaniem pięknoduchostwa. Wręcz przeciwnie: było to traumatyczne stawanie w obliczu przemocy i jej labiryntów. A przy tym sam u siebie rozpoznawał melancholię i obsesyjne neurozy – lecz właśnie i tę melancholię, i obsesyjne neurozy pojmował jako narzędzia odkrywania realnej traumatyczności egzystencji. Przy tym podkreślał, że jego „najjaśniejsze linie życia” to jego wiersze.

Wydał je w zbiorach *Mapy* (1978) oraz *Srebro i mech* (1983). Trzeci tom *Tysiące łagodnych oczu* zamknął w przededniu śmierci (a jego publikacja nastąpiła wraz z przedrukiem poprzednich w pośmiertnej książce *Wiersze* [1992]). Pełny ogląd twórczości Deteli umożliwił wydanie spuścizny przekazanej właśnie do Narodowej Biblioteki Uniwersyteckiej, gdzie czeka ona na opracowanie. Z projektowanych „Dzieł zebranych” ukazał się dotychczas jeden tom, *Notatki o sztuce* [2005].

Detela w swoich wierszach nie odejmuje ciężaru temu, co wypowiada, lecz przyjmuje go na siebie – jak gdyby chciał ponieść odpowiedzialność za cały świat. W okresie, gdy poezja słoweńska przeważnie hołdowała hasłu *l'art pour l'art*, gdy wskutek nadmiaru językowych gier i zabaw odbierano słowu jego pełnosprawność, Detela postulował silną konstrukcję wypowiedzi poetyckiej, bez jakiegokolwiek dowolności, bez żadnej – by zastosować jego własne wyrażenie – „oblędnej samowoli” wobec tego, do czego się ona odnosi.

Absolutną pojedynczość swojej pozycji Detela definiował jako Archimedeeski „punkt”, o który zamierzał oprzeć absolutny uniwersalizm. Napisał raz, że niech się bóg uczy na jego przykładzie.

W tej absolutnej pojedynczości nie może jednak poeta przywłaszczać sobie niczego, nawet swojej egzystencji. Nie tylko, że w tej absolutnej pojedynczości mówi o sobie: „Nie ma mnie”. Nie może wejść w posiadanie nawet swojej samotnej śmierci:

Jeśli twierdzą, że śmierć w samotności
jest moja, zdradliwie i z lękiem

zabijam życie, które nie jest mną. Jesteś, Shelley, w dole?

2.

Zanim zasiadłem do pisania tych linijek, spotkałem w półmroku białą kotkę. Siedziała na betonowym ogrodzeniu i uważnie patrzyła na deszcz, z tym szczególnym natężeniem, które przywiodło mi na myśl poezję Jure Deteli. Nie tylko dlatego, że kiedyś napisał przepiękny wiersz „Kotek Lojze” o *skondensowanej radości, / ukrytej / w białym gardziolku*, ale dlatego też, że był przekonany, iż poezja nie jest czymś, co dotyczy tylko ludzi. Jure Detela był przekonany, że poezja, która byłaby tylko sposobem komunikacji między ludźmi, nie byłaby poezją. Poezję pisał także dla „istot z innych światów”.

W jednym z listów do Marty Jablonsky Šeguli (myślę, że spotkanie z nią było najinensywniejszym ze spotkań w jego życiu) ekstatycznie wykrzyknął:

Co za czułość!
Uniwersalizm!

Żeby się każde zwierzę cieszyło wszystkimi swoimi nazwami: serbskimi, słoweńskimi, angielskimi, indyjskimi, niemieckimi, włoskimi! Żebyśmy kochali je z pomocą naszych słów! Żebyśmy – ludzie – zdołali przejąć znaki w zwierzęcych głosach, wyrażające świadomość naszej obecności w ich świecie! [1990]

O zadzierzgnięciu relacji sztuki do zwierzęcia myślało również kilku innych kluczowych artystów XX wieku. Rozmyślał o tym Joseph Beuys, który w USA spędził tydzień z kojotem. Jednak Beuys dał się z tym kojotem zamknąć w zakratowanym pomieszczeniu. Jure Detela natomiast wczesnym rankiem wdzierał się do ogrodu zoologicznego i otwierał klatki, by oswobodzić uwięzione zwierzęta.

Również Kazimierz Malewicz zawołał: „Wypuściłem wszystkie ptaki z wiecznych klatek, otwarłem bramy drapieżnikom w zoo”. Malewicz wypowiedział się metaforycznie, Detela chciał temu nadać wymiar rzeczywisty. Przejście od metafory do realnych działań zaowocowało realnym-działaniem-jako-metaforą. Przygotowanie zwierzęcia, które żyło w niewoli, do samodzielnego radzenia sobie na wolności,

jest długotrwałym procesem. Czy Detela o tym wiedział? W zasadzie nie zmuszał zwierząt, żeby wychodziły – po prostu otwierał klatki zwierzętom z lasu, dawał im możliwość.

Widać, że do poezji Deteli zwierzęta weszły raczej z literatury i filmu niż z natury. Kiedy w wierszu *Sava oplakuje umarłych poetów* Detela pisze o rudzikach, które wiosną wracają z południa, są to rudziki z poezji Emily Dickinson. W Słowenii rudziki nie są ptakami przelotnymi, zostają tu również na zimę. *Wiersz dla jeleni*, prawdopodobnie najbardziej znany jego wiersz, powstał pod wrażeniem filmu, w którym pokazano polowanie.

To jednakowoż nie znaczy, że zwierzęta są w wierszach Deteli mniej „realne”. Przeciwnie: prawdziwa wielkość, jaką poeta ten się wykazał w stosunku do zwierząt, tkwi właśnie w tym, że nie traktował ich jako fenomeny natury, lecz próbował ustanowić między sobą a nimi bliską relację wbrew klasyfikacyjnym procedurom.

Odniesienie do „istot z innych światów”, nazywane też „sublimacyjną ksenofobią”, wprowadzał do swojej poezji na przekór samej poetyckiej technice. „Nie chodzi mi o wyrażanie subiektywnych uczuć w obliczu przemocy ani tym bardziej o wytwarzanie komunikatów na temat realnych uwarunkowań przemocy i prawdziwości tych, z powodu których dobrze by się było przemocy przeciwstawić”, napisał w małym eseju o swojej poezji lat osiemdziesiątych.

Jego sprzeciw wobec przemocy wywieranej na istoty żywe znalazł swój ekwiwalent w wykrywaniu mechanizmów przemocy w języku.

Był to punkt wyjścia dla jego postulatu usunięcia metafor z języka poetyckiego, gdyż metafory miały uniemożliwiać osiągnięcie wzniosłości. Jednak pomimo tego trudno byłoby przyznać, że poszukując takiego języka, który by operował metonimią w miejsce metafory, uzyskał poezję bez metafor. Już raczej można by rzec, że w swojej poezji z krystaliczną jasnością pokazał tę libidinalną ekonomię metonimii i metafory, o jakiej mówi Lacan w *Instancji litery*: jeżeli następuje metonimia po stronie pożądania, metafora pojawia się jako symptom.

Detela, człowiek o błyskotliwym umyśle, świadomie stawał w obliczu niemożliwego. Chodziło mu o to, żeby wytrzymać to, co nie do wytrzymania i w starciu z niemożliwym ustawić nowe współrzędne możliwego i niemożliwego. Wiersze w jego tomikach ułożone są chronologicznie. A pierwszy wiersz w pierwszym tomiku (napisany przez licealistę) nosi tytuł *Śmierć*. Detela zaczyna tam, gdzie inni kończą. Odnosi się do niego to, co gdzieś napisał Michelangelo: „Żywię się tym, od czego inni umierają”.

3.

Przed laty wyszła po polsku antologia poezji słoweńskiej pt. *Srebro i mech*. Nie było w niej żadnego wiersza Deteli, jakkolwiek tytuł całości był odeń zapożyczony. Narosły wokół tego polemiki, których nie chcę tu odgrzewać. Chciałbym podkreślić co innego. W tym „potknięciu” widzę symbol. Bez twórczości Deteli nie do pomyślenia jest słoweńska poezja drugiej połowy XX stulecia, zarazem jednak skutek swej wyjątkowości wciąż pozostaje ona poza obszarem „kanonizacji” narodowej (i zarazem prowincjonalnej) literatury. Kiedy podkreślam znaczenie Deteli, nie chodzi mi o to, by jego poezję włączać w ten czy inny lokalny „kanon”. Chodzi właśnie o to, że ta poezja pokazuje nieznomość takich „kanonów” i potrzebuje dla siebie uniwersalnej miary. [...]

Skoro niebawem ukazać się ma pierwsza książka Deteli w języku polskim, wspomnieć muszę o pewnej dziwnej koincydencji. Kiedy przy pisaniu tego szkicu przeglądałem materiały, które mam w swoim Detelowskim archiwum, natrafiłem na nekrolog Deteli wycięty z lublańskiego czasopisma 21 stycznia 1992 – i nagle mną zatrzęsło: na odwrocie tego nekrologu wydrukowana jest notka o tym, że w jakimś berlińskim parku jakiemuś młodemu Polakowi neonaziści odcięli język.

przeł. Adam Wiedemann

PRZYPIS

* Tekst jest nieco skróconą wersją posłowie do polskiej edycji wierszy Jure Deteli, która ukaże się niebawem w przekładach Adama Wiedemanna i Katariny Šalamun Biedrzyćkiej.

Jure Detela

ŚMIERĆ i inne wiersze

Ze słoweńskiego przełożył Adam Wiedemann

Z TOMU MAPY

1. Śmierć

Synu mój, kto cię zabił?
Trzy noże.
Skąd?
Z rzeki, z nieba i z siebie.
Synu mój, cóżeś narozrabiał, stojąc?
Zgrzytałem zębami.
Kiedy?
Zanim zdecydowałem, że już nigdy się nie zbudzę.

37. Shelley

Zbiera mi się na płacz, Shelleyu, gdy cię wspominam,
cicho trzęsące się życie.
W kryształowych sześcianach bywa obrzydliwość, mówię ja.
Narkotyczna okrągłość abstrakcji.

Nie ma samotności w tym, co widzialne, mówi ten jedyny,
którego przeklinam w snach.
I rzeczywiście tak jest. Trzęsę się, gdy patrzę na twoją
nieukształtowaną twarz.

Nie ma mnie. Powierzchnia samotności
która wyznacza gesty, zmienia
w potwora każdy punkt, którym na nią patrzę.
„Potwierdź się”, mówi przeklęty. „Dół nadchodzi.

Ty nie nadchodzisz. Ty jesteś od zawsze.”
Czemu ukłon i smutek?

Czemu doświadczenie przed losem?
„Byłem i będę”, odpowiada.

Shelley, widziałeś? Kto przetrzyma klątwę,
nie tobie jest przeznaczony.
Kłamałeś o wolności i wyrzekłeś
dla pamięci coś więcej niż prawdę.

Zamordowane potwory po kawałku
dzielą los z losem,
los z karkiem. Obrzydliwość abstrakcji
jest wypróbowana w czerni,

utwierdzonej o wiele dalej, niż sięga pamięć.
Jeśli wiatr wydmuchuje sól ze skały,
jestem podwójny. Jeśli twierdzę, że śmierć w samotności
jest moja, zdradliwie i z lękiem

zabijam życie, które nie jest mną. Jesteś, Shelley, w dole?
Teraz wyrastam na ogromnego owada,
który mnie w śmierci wyprzedził
i czeka na mnie w zasadzce.

Z TOMU SREBRO I MECH

4. Próba zdeszyfrowania zjawiska, które nazywamy czarną magią

Czarownicy wiedzą o ciele tego,
kogo chcą zczarować, coś,
czego on sam nie wie. Tę myśl lokują
w swojej ofierze, tak że ofiara ją
czuje fizycznie, nie myślowo. Ponieważ
najczęściej spotykana reakcja na fizyczne
odczucie jest cielesna, biorą ciało
we władanie; a ponieważ dusza
jest zależna od tego, czego dokonuje ciało,
biorą w jasyr i duszę. Jest to
reakcja łańcuchowa. Czarownicy często

czarują z racji tego, że w ich własnej
relacji między duszą i ciałem coś
szwankuje. Ten niedobór chcą
załatać cudzym ciałem, a ponieważ
dokonują zubożeń w relacji
między duszą i ciałem tego, kto jest
zaczarowany, on też chce
zostać czarownikiem. Tak tworzą się ogromne
pokłady agresji, która częstokroć nie zna
swoich źródeł. Ludzie, którzy
współpracują z czarownikami, nigdy
nie napomykają o intymnych przyczynach
indywidualnej skłonności do manipulowania
cudzymi duszami i ciałami. Odporność
na czarną magię płynie ze znajomości tych
przyczyn i ze wstrętu do nich, nie z wrogości
do czarowników, ni z przewagi
nad nimi. Pamiętasz wers: jak łapią
czarownicy i zmieniają w potwory? Także
ciała są zdolne do transformacji, nie tylko
dusze. Każdy ucieleśniony byt bez przerwy
buduje i odmienia kształt swojego ciała.
Te zmiany wiodą w jasyr
lub do wolności: nie ma istoty, która by
nie mogła oswobodzić się z czarów. Żadne
piekło nie jest wieczne.

5.

Przyjacielu,
płoniesz mi w głowie
jak jakiś
obraz.
Twój wiersz
to czarna dziura
wizji.
Gdybyś był dalej,
pisałbyś inaczej.
W myślach świata
jesteś ze wszystkim,

co kochasz
i czego nie kochasz:
jak się poruszasz,
jak śpiewasz.
Jak przypominasz sobie
sytuację,
w której cię inni
naraz zauważają.
Kiedy bez horyzontów
i masek
wybuchają czarne
transy na nocnej
równinie.

11. Zimowa noc w doleńskim lesie

Piękno mnie wciąż na nowo uzgadnia
z całym wszechświatem. Drżenie
jest wieczne, śmierć wpada przez gardło: obrazy
przeciw zapomnieniom. Ruchy

na niebie toną w lodzie i gorącu,
dlatego jestem cieleśnie wymazany.
Wzywam świadka? Sny są nieme
jak trupy. Wszędzie pełno zjaw,

które łączą materię z mową: tak
opróżniają się otchłanie. Magia
chmur wokół księżyca to wylęgarnia symboli.
Karma nieśmiertelności szuka

mordercy. Otwarte usta cierpną
w śniegu. Wiatr wieje
w ciemną czaszkę. Poprzez trans szaleństwa
słońce ukazuje ślepotę.

Z TOMU TYSIĄC ŁAGODNYCH OCZU

31. Sava opłakuje umarłych poetów

Radovljica – nie wiemy!
Z prądem droga w dół,
szukanie bóg wie czego...
Księżyc jak oko.

Strniša, ma pan rację...
A przecież – bez wątpienia
jest to księżyc: we mgle
przeczuwam każdą krawędź.

Pobežšek! pan podolał
niczym tytana głos
wyczarować obecność:
pociąg widmo w obłoku –

emblem naszego dzieciństwa,
poetyckiego natchnienia.
Tomačevo przy Žalach –
zatrzymajmy się!

Gorjan, na wodzie krwawe
smugi, niczym poranek
w ciepłym deszczu przy zwłokach...
Rozpacz nad wierszami

minęła? Czy jeszcze trwa?
Powiedziałeś: jak długo
będziesz studiował Pounda,
piekło ci nie zagrozi.

Z archetypów powstaje
zasada stwórcza:
nowy dzień ożywia ziemię,
zasnął nietoperz.

Zagorje – znów nie wiemy!
 W cieśninie hałaśliwy nurt
 odpowiada jak gdyby
 na fizjologiczny opór

Memnona, na samotność
 uczuć pośród domów.
 Ta sceptyczna witalność
 niech odrodzi wiersz!

Pomyślmy o tym,
 co z nami teraz żyje:
 stałość umarłych w miłości
 wciąż jeszcze ożywia świat.

Šalamun, dziki mistrzu, tyś
 nie żołnierz, tyś zakochany –
 łódź uniknęła skał,
 wszedł słońceznik

jak pośmiertne wspomnienie;
 rozwój w surowej tradycji
 trzyma świat w ryzach.
 Remis w grze

ogłasza Sava szumem
 i pluskiem o kamienisty brzeg.
 W tych krajach materia jest głównie
 świadkiem umierania,

za rzadko świadkiem życia.
 Być może, gdy zielenią
 się wierzby i z południa
 powracają rudziki.

[czerwiec 1991]

Dariusz Dobrzański

„...COŚ NA KSZTAŁT ŚWIDRA”, CZYLI O NASZEJ POLITYCZNEJ TOŻSAMOŚCI

I

Realista Immanuel Kant twierdził, że takie byty jak narody istnieją i są poznawalne. W roku 1798 opublikował swoją ostatnią pracę: *Antropologię w ujęciu pragmatycznym*, gdzie poświęcił trochę miejsca wyjaśnieniu, czym jest naród, oraz przystąpił do opisanego nielicznych zbiorowości ludzkich, którym można przypisać takie postępowe miano. Czym zatem jest naród? Aby odpowiedzieć na to pytanie, Kant wprowadza rozróżnienie na naród w znaczeniu etnicznym (*populus*) – jest nim związana wspólnym pochodzeniem ludzka zbiorowość żyjąca na wspólnym terytorium, oraz naród polityczny, którego źródłem jest nadane wszystkim lub niektórym członkom zbiorowości obywatelstwo. Członkami narodu politycznego, bo takim pojęciem narodu operuje Kant, oceniając postęp europejskich społeczeństw, są wszyscy ludzie, którzy posiadają równe prawa i obowiązki obywatelskie.

II

Według Kanta najbardziej cywilizowanymi narodami na Ziemi, czyli w Europie, są: Anglicy, Francuzi oraz Niemcy. Naród angielski na skutek licznych zwycięskich wojen, podróżniczo-wyspiarskiego trybu życia i bezpośredniego kontaktu z „obcymi” wykształcił „sztuczny charakter”¹, którym jest to, co „sami Anglicy myślą na swój własny temat”. Można powiedzieć, że ich charakter to po prostu ich własna kultura, a ich własna kultura to ich własny charakter. Jaka to kultura? Otóż Anglicy, zdaniem Kanta, szczerze pogardzają obcokrajowcami. Zwłaszcza Francuzi wydają się im zdecydowanie odpychający. Zasadniczo jest tak z dwóch powodów. Po pierwsze – politycznych, gdyż Francuzi, w przeciwieństwie do Anglików, nie dorobili się prawdziwie obywatelskiego ustroju politycznego, który łączyłby obywatel-

ską wolność z obowiązkami wobec prawa. Po drugie – z powodów strategicznych. Anglicy nie odwzajemniają Francuzom pozytywnych uczuć, są bowiem narodem kupieckim, który z istoty swojej jest towarzyski tylko o tyle, o ile to się opłaca, o ile towarzyskość może przynieść wymierne korzyści. Anglik, dodaje bezinteresowny i towarzyski Kant, z samego obcowania z ludźmi nie czerpie satysfakcji, ale w każdej sytuacji traktuje towarzyskość instrumentalnie. Mieszkańcy Wysp, sami wobec siebie, nie oczekują ani miłości, ani przyjaźni, ani życzliwości, tylko szacunku dla prywatnego sposobu życia. Pielęgnowanie prywatności zamienili w radykalną filozofię życia, której zasadą jest, jak pisze Kant, zwyczaj jedzenia samemu. Smakoszysze Francuzi, tradycyjnie złośliwi wobec Anglików, nie mają im tego za złe, wręcz przeciwnie. Uważają, że jest to oznaką cnoty zdrowego rozsądku, czyli przyrodzonej tej nacji władzy sądzenia, nikt bowiem poza Anglikami nie wziąłby do ust ich narodowych dań. Natomiast umiarkowanie życzliwy Anglikom Kant niechęć do wspólnego biesiadowania z obcokrajowcami wyjaśnia tym, że siedząc przy wspólnym stole, niczego by nie zjedli, gdyż nie pozwoliliby im na to ich narodowy charakter, którego przecież nie można na czas posiłku wziąć w nawias albo odwieść do szatni. Ponieważ nie sposób zarazem jeść i dokuczać bliźniemu, gdyż to ostatnie zajęcie odbiera apetyt – Anglicy, aby nie wyginać, jedzą w samotności.

W typologii Kanta naród francuski, podobnie jak angielski, jest narodem cywilizowanym, posiadającym własną kulturę. Kant opisuje Francuzów jako ludzi życzliwych dla siebie i uprzejmych dla obcych. Tymi cechami charakteru oraz prawdziwym bogactwem i urodą miejsca, jakie zamieszkują, potrafią rozbudzić w innych zainteresowanie własną kulturą. Inaczej niż Anglicy, uwielbiają rozkosze wspólnej biesiady i doprowadzili jedzenie posiłków do poziomu sztuki. Kant podkreśla, że mają oni wielkie mniemanie o sobie, o swojej kulturze, o własnym charakterze narodowym. Potrafią wmówić innym ludom nowe, niekoniecznie na pierwszy rzut oka zrozumiałe wzorce zachowań. Świadczy o tym choćby znana historia z jedzeniem ślimaków. Jak wiadomo, podczas Rewolucji, aby przeżyć, Francuzi musieli jeść ślimaki. Po Rewolucji natomiast, aby zachować zbiorową twarz, potrafili to obrzydliwe zajęcie sprzedać innym nacjom jako menu w najlepszym guście. Poczucie smaku, na co zwraca uwagę Kant, kształtowane podczas towarzyskich spotkań, rządzi francuską konwersacją. Towarzyskość, uprzejmość i obecność kobiet w życiu publicznym (salon) sprawiają, że naród francuski jest lubiany.

Ostatni z wymienionych przez Kanta cywilizowanych narodów to Niemcy, o których pisanie, jak sam wspomina, przychodzi mu z bólem, gdyż sam czuje się jednym z nich. Jakim narodem są Niemcy? Kant uważa, że mają oni opinię narodu uczciwego, pracowitego, oszczędnego i gospodarnego. Nawet wśród Anglików wymienione cnoty są zauważane i doceniane. Niemiecki charakter to połączenie flegmy i intelektu. Typowy Niemiec, pisze mędrzec z Królewca, poddaje się niezwykle łatwo wszelkiej zastanej władzy, niechętny jest duchowi radykalnych zmian. W swoim przywiązaniu do reguł raczej pozwoli sobie na rządy despoty, niż zaryzykuje wprowadzanie zawsze niepewnych zmian. Wyposażony w naturalną umiejętność stowarzyszania, Niemiec porządkuje rzeczywistość po niemiecku również w obcych warunkach. Dlatego np. poza granicami ojczyzny niemieckie wioski i miasteczka korzystnie wyróżniają się pośród innych osad.

Intelektualna robota Niemca, ograniczana flegmą, opiera się nie tyle na geniuszu, czyli „talencie wymyślania tego, czego nie można się nauczyć ani samemu ani przy pomocy innych”, ale „na wytrwałości, konsekwencji, połączonych ze skromnością”. W polityce, obok przywiązania do prawa, Niemca nazwać można kosmopolitą, gdyż jego ojczyzną jest cały świat. W obcowaniu z obcymi jest on gościny, uprzejmy, a w wychowaniu własnych dzieci surowy i wymagający. Jednakże człowiek nie żyje tylko pracą, obowiązkami, ale powinien umieć zająć się sobą w wolnym od pracy czasie. W tej materii, pisze samokrytycznie Kant, w której gospodarność i lojalność nie wystarczają do osiągnięcia sukcesu, Niemiec nie jest zdolny osiągnąć wiele, brakuje mu przyrodzonej Włochom sztuki dowcipu i humoru. Dodatkowo inną słabością Niemców jest skłonność do naśladownictwa, niska samoocena oraz nieustanna potrzeba „metody polegająca na traktowaniu siebie i innych obywateli państwa nie tak, by zbliżyć się do zasady równości, lecz tak, by skrupulatnie przestrzegać stopni i rangi”.

III

Opinie Kanta na temat Polaków, naszego charakteru, na co zwraca uwagę Mirosław Żelazny w przedmowie do polskiego wydania jego pism, mają charakter spisywanych na bieżąco spostrzeżeń (w przypadku tego filozofa nie można jednak napisać, że były spisane na go-

rażo, Kant bowiem jak ognia bał się gorąca) dotyczących sytuacji politycznej w Polsce. Dlatego nie są one specjalnie głębokie oraz nie ma ich zbyt wiele, zresztą ich ocenę pozostawiam czytelnikowi. Właściwie koncentrują się na podaniu powodów tłumaczących nieuchronność rozbiorów Polski. Kant likwidację państwa polskiego, choć nieprzywoływanego wprost z nazwy, potępił w tekście *Do wiecznego pokoju. Projekt filozoficzny* (1775 rok). Przyczyn rozbiorów, nie wnikając w szczegóły, doszukiwał się nie tyle w agresywnej, kolonizatorskiej polityce sąsiadów, co w wadach charakteru Polaków. Polacy sami sobie byli winni, że stracili własne państwo. W tym kontekście, na pierwszym miejscu, krytykował to, co nazwał „polską wolnością” albo „barbarzyńską wolnością”. Zasadą tej wolności, a nie przypadkowym atrybutem, jest żądanie praw i wolności wyłącznie dla siebie. Obywatele „nie wykazują żadnej woli”, pisze Kant, „narzucając sobie jakichkolwiek zobowiązań i obowiązków wobec państwa”. Oprócz „polskiej wolności” Kant wymienia jeszcze inne cechy, które, jak można przypuszczać, składają się według niego na nasz charakter narodowy, czyli kulturę. Według filozofa z Królewca „jesteśmy bogaci, a niczego nie mamy”; „każdy jest panem, a nie ma ani kultury, ani nauki”. Polacy „chcą powrotu do stanu natury, a jednocześnie pragną prawa”. „Lekkomyślny naród, który nie jest stworzony do ciągłej ciężkiej pracy, w ogóle do żadnego wyteżenia sił” – takim ogólnym wnioskiem kończy swoje uwagi na temat naszego charakteru. Ale to nie jest wszystko, co napisał Kant o Polakach, dodał bowiem jeszcze kilka uwag, tym razem wyłącznie komplementów, adresowanych w stronę Polek, które uznał za „najbardziej wyróżniające się wśród wszystkich narodów: zdrowym rozsądkiem, największym obyciem, największą mądrością państwową oraz światowością”. Swoje uwagi na temat politycznej sytuacji w Polsce Kant kończy zdaniem: „Z tego, co właśnie dokonuje się wśród Polaków, nie da się w sposób pewny nic wywnioskować na przyszłość”.

IV

Przyszłość, o którą pytał Kant, znamy i chyba nie trzeba jej w tym miejscu przypominać. Zapytajmy jednak, jak się ma nasza, według Kanta „barbarzyńska – absurdałna polska – wolność” polityczna, którą z pewnością uznajemy za jeden z istotnych składników naszej tożsamości. Otóż wydaje się, że tutaj zrobiliśmy więcej, niż Kant so-

bie wyobrażał, albo nawet więcej, niż chciał, żebyśmy zrobili. A co zrobiliśmy?

Całkiem niedawno, trudno powiedzieć, czy po raz pierwszy, wymyśliliśmy „Coś” własnego. „Coś” o takiej jak my sami paradoksalnej tożsamości. Daliśmy mu własną nazwę, znak, nasze kolory i poetę. To „Coś” chciało jednak czegoś innego, niż dostało. Po tym „sukcesie” wybrało taki kształt wolności, którą, ku ucieście Kanta, nieustannie ograniczało. Nasza trudna do wyjaśnienia obcym miłość do staruszek wymogła na nas, aby to „Coś” miało serce, przebaczało ludziom, dlatego zrezygnowaliśmy z odwetu, nawet z dumnej „pogardy”, choć w mniejszości uważaliśmy, że trzeba odróżniać stronę lewą od prawej. Nie chcieliśmy, aby to „Coś” używało przemocy. W języku *real politic* nazwaliśmy strategię, jaką się posługiwało, polityką antypolityki. To „Coś” nie chciało władzy. Potem jednak jego oświecona polowa zmieniła zdanie i za „zasłoną” sięgnęła po nią. Dzisiaj historię tego „Czegoś” piszą członkowie stowarzyszenia „kawalerów ostrogi”. Co to było?

PRZYPIS

1 Wszystkie cytaty pochodzą z dwóch prac Kanta – *Antropologia w ujęciu pragmatycznym*, Warszawa 2005, s. 279–311 i *Do wiecznego pokoju. Projekt filozoficzny*, Warszawa 1992, s. 52–53.

Kazimierz Nowosielski

DOSTATEK ŚWIATŁA, INTENSYWNOŚĆ ŻYCIA

Obrazy Marka Wróbla (rocznik 1956, dyplom w gdańskiej PWSSP w 1984 roku) przyciągają wzrok malarską soczystością plastycznego znaku. Są jakby wyrąbanym w szarościach otaczającego nas świata otworem, umożliwiającym wgląd w rzeczywistość na co dzień niedostępną naszym oczom; to miejsce, gdzie materia i światło toczą zażarty, gorący spór o zasadę i zasadność swego życiodajnego zaistnienia. Zadaniem artysty w tym sporze: nie wygaszać go, ale przez pracę i twórczą wrażliwość opatrywać znamieniem ludzkiej tęsknoty do istnienia niewyzbytego sensu, harmonii i ładu. Jest w jego pracach jakiś ciągle niedający się wytłumaczyć młodzieńczy wigor

i związane z młodością ryzyko uczestniczenia w częstokroć skrajnych aspektach i walorach egzystencji: tam, gdzie spokój i wrzawa, wyciszenie i rebelia, nieustanna walka i stawanie się życia. U niego nawet obrazy utrzymane w chłodniejszych tonacjach bywają pełne kolorystycznego rozgwaru.

Malarska wrażliwość Marka Wróbla zdaje się trochę nie z naszego północnego klimatu. Wszak w tej części świata niebo przez większą część roku zazwyczaj zasnute chmurami, słoneczne światło z pewnym trudem przesącza się przez nie; przymglone, nieostre często tak pada na rzeczy, iż zwykła je spowijać aura szarości, smutku czy też melancholii. Najpełniej, zdaniem historyków sztuki, istotę północnego pejzażu od-

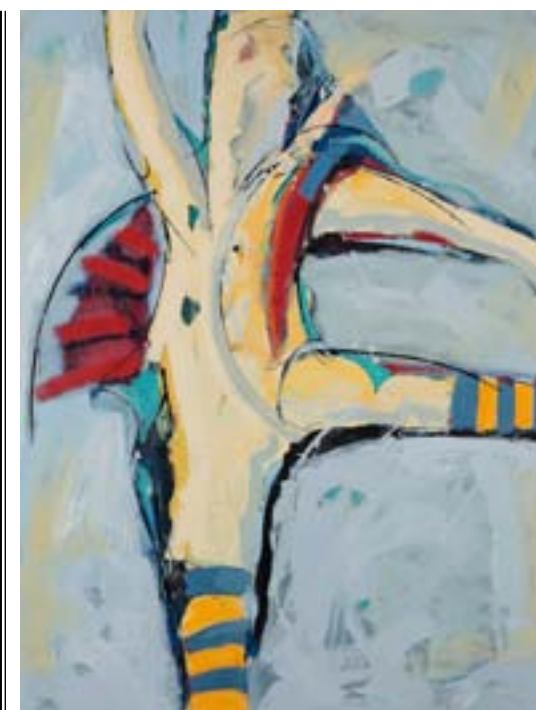


Marek Wróbel, *Impresje morskie*, olej na płótnie 2072 x 3072, fot. z archiwum malarza

dawał niemiecki romantyk Caspar David Friedrich, na którego obrazach ludzka samotność dziwnie współbrzmi z półmrokiem doświadczanego przez artystę świata. Bardzo wiele dzieł później tworzących malarzy nosi na sobie znamię egzystencjalnych odkryć i estetycznych nastrojów charakterystycznych dla prac tego dziewiętnastowiecznego twórcy.

Malarstwo Marka Wróbla swój niepowtarzalny styl, o którym decyduje między innymi niezwykła energia oraz intensywność koloru, duża rozpiętość kolorystycznej gamy, dynamiczne ustrukturyzowanie przestrzeni obrazu, wydaje się zawdzięczać innemu światłu. U niego prawie każda cząstka malarskiej płaszczyzny wręcz

się ugina pod potokiem światła; nasycy się nim, i go – w wielkiej obfitości – z siebie wypromieniowuje, pomnaża, ustokrotnia... Piękno żyje tu z jego dostatku i ów dostatek chwali; dobrze mu z nim. Bywają obrazy, na których świetlista materia rozbryzguje się niczym sok z dojrzałych owoców południa, który malarz mocnym ruchem pędzla rozprowadza po płaszczyźnie płótna, by nadać jego istnieniu suwerenną pod względem malarskim formę. W pracach Marka Wróbla zawiera się coś z daru niedostępnej nam – ludziom północy – arkadyjskiej pełni. Ta pełnia w jego sztuce posiada swoją własną świetlistość, swoje pełne witalności uformowanie, wewnętrzne prawa i niezwykle gorące życie. W owej Arkadii artysta zachowuje się niczym mityczny Orfeusz, grą na lirze poruszający rzeki, gwiazdy, drzewa. „W trackiej Zone – pisze poeta i wybitny znawca greckiej mitologii, Robert Graves – dotąd jeszcze stoją starożytne górskie dęby w tanczej pozycji, w której je zostawił”. Także na obrazach Marka Wróbla kolory zdają się tańczyć, a kształty figur tylko na moment zastygają w pozornie znieruchomiałym powietrzu. Nic więc dziwnego, że przy próbach określenia charakteru sztuki gdańskiego artysty cisną



Marek Wróbel, *W tańcu*, olej na płótnie 2220 x 2953, fot. z archiwum malarza



Marek Wróbel, *Żywioły*, olej na płótnie 2014 x 2544, fot. z archiwum malarza
Marek Wróbel, *Żywioły II*, akryl na płótnie 98 x 68, fot. z archiwum malarza

się na usta pojęcia z dziedziny muzyki i tańca: rytm, tempo, brzmieniowe akordy, linia melodyczna, czystość tonu, wariacje...

Generalnie jego dzieło daje się usytuować w szeroko pojętym nurcie abstrakcji żywiołowej, spontanicznej, w której z latami coraz większą rolę poczyną pełnić zrytmizowanie kolorystycznych akcentów i barwnych dominant, dynamika wewnątrzobrazowych kontrastów i współbrzmień, kontrapunktowe, podkreślane jakby trzonkiem pędzla uczynioną linią, zestawienie plam, troska o kompozycyjny, zawsze u niego żywy i dynamiczny, ład. Objawia ono swe w istocie subtelne rozplanowanie oraz innowacyjną, żyzną wielobarwność trochę na sposób jazzu, gdzie w pewnym momencie wrzuca się do „jednego kotła” zindywidualizowane przez wykonawców brzmienia wszystkich instrumentów po to, by po chwili wyłoniła się z niego jakaś brzmieniowa dominanta i uformowała linia melodyczna, która skupi w sobie i harmonijnie wyrazi walory dialogizujących ze sobą dźwięków. Tak i na jednym obrazie Wróbla potrafią się twórczo spotkać elementy porywu i skupienia, innowacji oraz bliskich lub dalekich nawiązań do malarskiej tradycji: bizantyjskiej, barokowej czy tej, którą ukształtowały ubiegłowieczne doświadczenia De Kooninga i jego uczniów.

Coraz częściej też pojawiają się w jego twórczości mniej lub bardziej zauważalne, a wpisane w plan kolorystycznej organizacji płótna, delikatne sugestie dotyczące pozaobrazowego świata, któremu – mimo estetycznej suwerenności plastycznego utworu – to malarstwo zdaje się sporo zawdzięczać. W twórczości Wróbla, co widać zwłaszcza na jego ostatnich płótnach, znaczącą rolę pełni uważne i niczym nieuprzedzone obserwowanie natury, która jawi mu się jako hojna dostarczycielka form żywych, kolorów żyźnych i życiodajnych – cała przeniknięta dążeniem do wegetacyjnej pełni. Fascynuje go w przyrodzie spontaniczny taniec kształtów i barw, utajona w nich moc kreacyjna i niezwykle bogactwo przejawień. Charakterystyczne, iż w jego malarstwie dominują dynamiczne, niezwykle zróżnicowane układy wertykalne – na wzór drzew, traw albo... skrzydeł bizantyjskich aniołów; to one kierują wzrok widza ku górze, ku nieosiągalnej Pełni. Czasem wydaje się, że jeszcze chwila, a usłyszymy ekstatyczną pieśń dążących ku słońcu topoli lub muzykę anielskiego lotu.



Poprzez czas: fontanna, multikino, wieże. Skwer Kościuszki, fot. Andrzej T. Żak

Paweł Zbierski

LECH BĄDKOWSKI: TWARZĄ KU EUROPIE

Miałem to szczęście terminować u Bądkowskiego w dwóch dziedzinach: dziennikarstwa i regionalizmu. Wiem, że brzmi to dość paradoksalnie: jednak im więcej czasu mija, tym więcej Bądkowski ma racji...

Sny o Flamandach i Walonach prześladowały go przez całe życie. Wielokrotnie wydawał się pytać: Czymże jest wolna Europa bez wolnej Flandrii? Kim tak naprawdę są Walonowie? Śladów tego myślenia nie odnajdziemy ani w wystąpieniach publicznych pierwszego rzecznika „Solidarności”, ani w jego przemówieniach na forum „Pen-Clubu” czy Związku Literatów Polskich. Sny o Flamandach i Walonach są jednak obecne w jego prozie – ciągle słabo znanej i niebranej z reguły pod uwagę przez interpretatorów jego myśli. Trudno by mu było o tym mówić głośno w sierpniowej epoce PRL, gdzie oprócz ideologii internacjonalizmu rację miała tylko jedna partia i jeden lud pracujący miast i wsi. W czasie, gdy w Belgii najjaskrawiej błyszczała wartość Europy, jako dobrowolnego związku Walonów i Flamandów, w Polsce ledwie tolerowano inteligencję (tylko „pracującą”!) czy Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, którego był założycielem i przywódcą. Bo mówiąc „Gdynia” – myślał o Kaszubach równie intensywnie, co o Polsce. Bo w Gdyni, niczym w przekroju pnia drzewa, z kaszubszczyzny w naturalny sposób wyrastała pomorskość, a z pomorskości polskość – nieskrępowana jednak żadnym szowinizmem czy nacjonalizmem! Bo Gdynia zawsze była międzynarodowa i europejska.

*

Kiedy w roku 1946 pierwszym możliwym transportem Marynarki Wojennej wracał z Wysp Brytyjskich, osiadł najpierw w Gdyni: mieście, w którym kaszubskość – wraz polską myślą inżynierską – mimo dramatycznej wojennej przerwy w naturalny sposób budowała siłę Pomorza i Polski. Zupełnie jak niegdyś w państwie Belgów...

*

Za dokonanie żywota jednego człowieka uznać można jego potomstwo, napisaną książkę, liczbę posadzonych drzew. Bądkowski napisał wiele książek. Pozostawił na świecie jedną córkę i dwoje wnuków. O posadzonych drzewach nic nam nie wiadomo.

Proste wyliczenie czynów tego rodzaju niczego nam jednak nie wyjaśnia. Dlatego w tym wywodzie nie interesują mnie dzieje, geneza, okoliczności historyczne. Wolę tu raczej myśleć o świadomym wymykaniu się żywota z okoliczności zewnętrznych, o świadomym wydobywaniu się z determinizmu historii. Płynięcie pod prąd: na przekór utartym schematom i stereotypom jest bowiem cechą prawdziwych inspiratorów. A inspiracja to wyzwanie i zadanie na przyszłość. Jak powiada bowiem jeden ze współczesnych polskich reżyserów: „to akcja jest bohaterem, a nie słowne deklaracje”. Nic nie ujmując zapisanym księgom, inspiracja Bądkowskiego zakorzeniona jest w konkretnym, w działaniu. Bardziej w czynach niż w słowach. Zresztą słowa traktował on w bardzo szczególny sposób: nie miały żadnego znaczenia bez zakorzenienia w czynach. W tym właśnie sensie jego myślenie o przyszłości nie szeleści papierem, nie ma też zabarwienia dogmatycznego. Zwrot Bądkowskiego ku przyszłości nie jest więc jakąś ideologią, ale zaledwie serią ważnych propozycji i pytań. Możemy te propozycje przyjąć lub odrzucić. Bądkowski daje nam w tym względzie całkowicie wolną rękę! Proponuję więc teraz błyskawiczny wybór, z konieczności – kilku zaledwie, najważniejszych myśli Bądkowskiego o przyszłości.

AUTONOMIA I „SOLIDARNOŚĆ”

„Solidarność» – z wielu powodów nie spełni oczekiwań. Najważniejszy z nich to kompletne nieprzygotowanie grup kierowniczych do roli, jaka nagle na nie spadła. Nie zdołają podołać przyjętym na siebie obowiązkom, bo nie są do tego przygotowane intelektualnie, politycznie i organizacyjnie. Natomiast to, co się stało w ciągu gorącego lata 1980 roku, stworzyło postawę dla istnienia psychicznej autonomii społeczeństwa polskiego”. Dodajmy, że owa autonomia dotyczy kultury, oświaty, systemu organizacji wewnętrznej społeczeństwa, niezależnych i samorządnych organizacji. To myślenie Bądkowskiego, wyrażone dokładnie 29 marca 1981 roku, możemy przyjąć lub odrzucić. Mamy tu całkowicie wolną rękę! Ważne, że zdania te padają z ust nie subtelnej intelektualisty patrzącego na świat z lotu ptaka, ale uczestnika wydarzeń, pierwszego rzecznika „Solidarności”. Myśląc o tym bardzo intensywnie, kładę akcent właśnie na tej „podstawie dla istnienia psychicznej autonomii społeczeństwa polskiego” i pytam dziś publicznie: co my z tą autonomią robimy? O solidarność jako wartość upomina się przecież współczesna Europa,

pytająca o własną tożsamość, o sposoby i recepty na światowy kryzys gospodarczy, o swoje miejsce w obliczu globalizacji, o remedium na kulturę singli i na cywilizację śmierci. Pytanie o solidarność jako wartość brzmi dramatycznie.

W wywiadzie dla Krzysztofa Nowickiego, udzielonym już po tym wielkim sierpniu 80' roku, Lech Bądkowski powiedział: „Tak, poczucie sukcesu, ulga, zadowolenie. I tak: poczucie niepokoju. Pierwsze to już przeszłość. Drugie to nasz dzisiejszy i jutrzejszy dzień. [...] Obawiam się zmarnowania, ale nie wszystkiego. Całkowita utrata wydaje mi się niemożliwa. Z przyczyn, w które tu nie będę wnikał, wstrząs polskiego długiego gorącego lata, które trwa, był dramatycznie niezbędny. Gdyby nawet nastąpiła reakcja, zdrowe skutki wstrząsu będą świadomościowe i społecznie czynne, powiedzmy na pokolenie, plus minus trzydzieści lat”. Powtórzmy raz jeszcze: „plus minus trzydzieści lat”. Warto przypomnieć, że te trzydzieści lat mija właśnie w 2010 roku.

AUTONOMIA I TERYTORIA

„Uczucia solidarności ludzkiej kształtują się prawidłowo wtedy, kiedy opierają się o związek organiczny z konkretną społecznością i z konkretną ziemią. Trudno tak ot, wprost i bezpośrednio, kochać trzy miliardy ludzi, trudno nawet kochać trzydzieści milionów” – oto myśl Bądkowskiego, przyszłościowa o tyle, że wypowiedziana w jednym z najbardziej scentralizowanych państw Europy!

Bo centralizm ten – mimo częściowo zrealizowanych reform administracyjnych – postępuje w piorunującym tempie w bardzo wielu dziedzinach, bodaj najszybciej w sferze szeroko rozumianej kultury, w tym w mediach elektronicznych, zwłaszcza w publicznych: radiu i telewizji! W czasie najlepszej oglądalności w mediach, teoretycznie regionalnych, oglądamy żenujące seriale opluwających się wzajemnie polityków warszawskich, w najlepszym wypadku transmisję z zaprzysiężenia Obamy. Mówiąc brutalnie: mając w rękach media regionalne, łatwiej trzymać za twarz ogół Polaków. W ćwierć wieku po śmierci Bądkowskiego, który decentralizację i autonomię kultury traktował bardzo serio, zwłaszcza na forum Związku Literatów Polskich, warto o tej sprawie mówić głośno i otwarcie.

Paradoksem jest fakt, że przejawy tej centralizacji postępują, mimo właśnie częściowo zrealizowanej w Polsce reformy samorządowej. Rodzące się dziś z wielkim bólem duże miejskie metropolie,

wraz z gdańską, to spełniający się, choć z całą pewnością jeszcze nie do końca spełniony, sen Lecha Bądkowskiego. Bo wokół tych metropolii dopiero mogą narastać w naturalny sposób silne polskie regiony. Jeszcze nie narastają.

Osiem, maksimum – dwanaście regionów będących biegunami wzrostu cywilizacyjnego! Oto postulat Bądkowskiego wszechstronnie uargumentowany kulturowo, socjologicznie i ekonomicznie. Bądkowski testował tę myśl szczególnie na gruncie Pomorza. I wyraźnie odróżniał pojęcie integracji społecznej Kaszubów z Kociewiakami, mieszkańcami Żuław, z przybyszami z innych regionów od pojęcia kulturowej i politycznej niwelacji skazującej Kaszubów na niebyt, w najlepszym razie na folklor: na Cepelię, na nieszkodliwe wariactwo! Bądkowski był pewien, że warszawska wszechwładza centrum kosztem prowincji osłabia potencjał całej Polski na wszystkich polach. Chętnie przy tym porównywał scentralizowaną Polskę z Włochami czy z Niemcami. Już całą ponad dekadę po swej śmierci pewnie w grobie się przewrócił na wieść o powołaniu przez naszych wybitnych polityków do życia 49 województw! Tamtą akcję, na przekór myśleniu o przyszłości, można by dziś ironicznie nazwać Wyborczą Akcją Rozproszkowania Polski.

„Nie chcę, aby moja mała ojczyzna była niemową, biernym przedmiotem historii. Chcę, aby dokonała swego renesansu” – to słowa Bądkowskiego z roku 1965. Według mnie dziś jeszcze bardziej aktualne, choć nie brakuje przecież głosów, że jego myśl o przyszłości ma wymiar jedynie historyczny.

AUTONOMIA I SIŁY ŚWIATA

Czy w kończącej się powoli dekadzie XXI wieku ma jeszcze szansę pojedynczy człowiek? W jakiej mierze może być podmiotem, a nie przedmiotem wobec pracowniczych korporacji, globalizacyjnych trendów, gospodarczych kryzysów, ciśnienia mass-mediów? Jak jednostka może się obronić przed manipulacją i praniem mózgu? Do jakiego stopnia indywidualny wybór człowieka, jego suwerenne decyzje mają jeszcze znaczenie wobec prawa wielkich liczb? Wszystkie te fundamentalne pytania o autonomię jednostki ludzkiej sięgają swymi źródłami do wieku XX i obu totalitaryzmów: komunizmu i faszyzmu. Bądkowskiego dylematy te dopadły z całą mocą. Charakterystyczne, że odpowiedzi szukał po prostu w życiu, może także pisząc

kilku tomów swej prozy, zwłaszcza *Oblężenie*, *Półów nadziei* i *Kulminację*. W tym miejscu nie zaprzeczmy temu, co powiedzieliśmy już na samym wstępie, że unikać będziemy genez, historycznych kontekstów i uwarunkowań oraz dziejowych determinizmów. Spróbujemy raczej udowodnić, że w swych najważniejszych rozpoznaniach dotyczących własnego losu, także losu swej małej i wielkiej ojczyzny, Bądkowski z tych historycznych determinizmów skutecznie się wyłamywał.

Szczególnie znamienny wydaje mi się w tym momencie wywiad, jakiego udzielił Krzysztofowi Nowickiemu w 1981 roku, pod znamiennym tytułem *Obowiązek prawdy*. Mówił tam: „Kiedy w czasie Wielkiego Strajku na Pomorzu w dniu 21 sierpnia 80’ z gronem literatów szedłem z gotową deklaracją do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, aby już tam pozostać jako członek jego Prezydium, byłem przede wszystkim obywatelem, który wszystko, czym jest, i wszystko, co ma, rzuca na jedną szalę w najgłębszym przekonaniu, że tak właśnie musi postąpić, bo tak mu nakazuje obowiązek obywatelski [...]”. Dodam, że wtedy nie miałem żadnego własnego scenariusza wydarzeń, na nic nie liczyłem, dopuszczałem wszystkie możliwości rozwoju sytuacji. [...]. Miałem 19 lat i stopień plutonowego podchorążego najmłodszego rocznika ze szkoły w Brodnicy nad Drwęcą, kiedy jako dowódca plutonu piechoty szedłem na wojnę i brałem udział w bitwie nad Bzurą, której obrazy do dziś nawiedzają mnie od czasu do czasu. Dalsze wrażenia tego porządku nastąpiły. Coś z tych rzeczy... Idziesz spełniać obowiązek. To nie znaczy, że o niczym nie myślisz, bo, niestety, myślisz i wyobrażasz sobie, ale musisz mieć kategoryczną busolę i w określonych sytuacjach nie wahać się...”

Cytat ten jest może przydługi, jednak doskonale ilu-



Lech Bądkowski, fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

struje sposób myślenia jednostki niepoddającej się zewnętrznym determinizmom: „Kto odnosi zwycięstwo nad sobą, przekreśla klęski zadane przez wrogów” – pisał w sztuce *Sąd nieostateczny*. Bo między Bzurą a Stoczną w roku 80’ było jeszcze mnóstwo innych sytuacji, kiedy owa „kategoryczna busola” pozwalała stawiać się podmiotem, a nie przedmiotem historii. Przypomnijmy w wielkim skrócie: ucieczka z niewoli niemieckiej, brawurowy skok przez zieloną granicę do Brygady Podhalańskiej, odmowa wykonania rozkazu w bitwie o Narwik, dobrowolny powrót z Wielkiej Brytanii do okupowanej przez Sowiec Polski w 1946 roku, zaangażowanie w wielkie sprawy narodowe w roku 1956, 1968 i 1970. Otóż kierunek refleksji o przyszłości w wykonaniu Bądkowskiego oznaczał jedno: konsekwentne podążanie drogą wydeptaną własnym, suwerennym myśleniem, wedle wskazań owej bardzo trudnej do uchwycenia „kategorycznej busoli”. Bądkowski bardzo gwałtownie protestował przeciw określaniu jego postawy mianem heroizmu. Przekonywał jedynie, że odpowiedzialne myślenie o przyszłości innej postawy nie przyjmuje.

Pytanie dziś dla spadkobierców Bądkowskiego brzmi jednak dość dramatycznie: jak opowiadać o takim stosunku jednostki do zewnętrznych determinizmów, by nie narazić się na śmiech?

AUTONOMIA I LUDZIE

Cała armia jego uczniów: samorządowców, publicystów i polityków, łącznie z premierem tego rządu, wydaje się potwierdzać, że Bądkowski to człowiek zwrócony twarzą ku przyszłości. Swoistym przypieczętowaniem tego faktu jest specjalna uchwała polskiego Senatu będąca hołdem demokratycznej reprezentacji narodu dla tej postaci, która wydaje się wciąż pytać o kształt i jakość polskiego życia publicznego, o stopień obywatelskiej odpowiedzialności klasy politycznej, o to, czym tak naprawdę jest dobro wspólne? Uczniowie Bądkowskiego, świadomi wagi stawianych przez niego wyzwań, mają wewnętrzny imperatyw, lecz brakuje im wciąż wystarczającej siły, by myślenie o przyszłości wcielić w życie.

Życie na własny rachunek, dokonywanie indywidualnych, suwerennych wyborów to domena, a czasem nawet obsesja Bądkowskiego. Stąd może jego szczególny stosunek do młodych ludzi, czego też miałem okazję doświadczyć na własnej skórze. Młodzi szybciej chłoną, są bardziej chętni do działania, bardziej otwarci. Teza może zbyt śmiała, z uwagi na słomiany zapal młodych. W Łączyńskiej Hucie pod

Chmielnem niszczy dziś piękna kaszubska checza. Wspólnie z „Gazetą Wyborczą” podjęliśmy w tej sprawie multimedialną interwencję za sprawą telewizyjnego programu „Patrol reporterów”. Legendarną dla ruchu młodzieży kaszubskiej checzą nie zarządzają niepełnosprawni starcy, lecz młodzi ze studenckiego Klubu „Pomorania”. Tak, to jest ta sama „Pomorania”, która była oczkiem w głowie Bądkowskiego i którą nazywał „podchorążówką” Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Bądkowski wierzył bowiem, że myśl regionalistyczną w przyszłość są w stanie ponieść jedynie młodzi.

Oczywiście sprawa checzy ma symboliczny wymiar, bo życie ludzi toczy się przecież w bardzo wielu innych miejscach. Jednak gdy słucham dziś opinii prezesa Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, że myśl Bądkowskiego o Pomorzu ma już jedynie historyczne znaczenie, z niepokojem myślę właśnie o przyszłości.

Może warto zakończyć znów słowami samego Bądkowskiego: „Nigdy nie rezygnowałem z ambicji oddziaływania w skali ogólnonarodowej. W tym przypadku być może nie przegrałem całkowicie. To dopiero przyszłość pokaże...”

Grzegorz Kwiatkowski

WIELKA KOCHANKO i inne wiersze**wielka kochanko**

– co to jest?
to jest brzoza
a pod tobą jest mech
– co to za miejsce?
to grzęzawisko
– co ze mną będzie?
jesteś bezpieczna
mech jest gościnny
to nie będzie boleć

wielka kochanko
droga staruszko
czas wyznać prawdę:
to koniec tej drogi

byłem dobrym opiekunem
i dobrym przewodnikiem
i przez całe życie mówiłem ci:
chodź ze mną zaufaj mi

– co to jest?
to perski kot
te chmury są deszczowe
ta ziemia to less

wielka kochanko
droga staruszko
dwie rurki podłączone do twojego nosa
dają ci tlen
a wenflonowy kwiat
wprowadza w ciebie wywar z maku

już więcej się nie spotkamy
wiem o tym na pewno

spójrz na mnie
przyjrzyj mi się dokładnie
bo widzisz mnie ostatni raz

– co to za miejsce?
to grzęzawisko
jesteś bezpieczna
mech jest gościnny
to nie będzie boleć

a potem rzeźła
i pluła
i wyzywała mnie

mówiła: chodź ze mną
skocz na grzęzawisko
nie opuszczaj mnie
chodź ze mną
skocz na grzęzawisko
nie opuszczaj mnie
chodź ze mną
skocz na grzęzawisko
nie opuszczaj mnie

a ja nie mogłem tego słuchać
i opuściłem pokój szpitalny
i nigdy nie było mi tak dobrze
razem z moim przyjacielem sercem
razem z moim wiernym bijącym równo sercem
i ciemnymi kanałami wypełnianymi co chwile
ciepłymi zastrzykami krwi

wielka kochanko
droga staruszko
musiałem im wyznać całą prawdę

wielka kochanko
droga staruszko
musiałem wyznać ci całą prawdę:

przez całe życie się tobą żywiłem
przez całe życie byłem z gruntu zły

niewybaczalne

syn od trzech dni gra na pianinie tak cicho
że od trzech dni nie zdołał zbudzić swojej matki

starsza córka bez przerwy szuka czegoś pod dywanem
a najmłodsza od trzech dni wyleguje się w wannie

co z nimi nie tak?
czy nie czują tego smrodu co ja?

jak to możliwe że zapomnieli
o dniu w którym przyszedłem na świat?!

to niewybaczalne

autor II

kiedy żyłem w lesie malowałem lasy

kiedy żyłem nad brzegiem angielskich jezior
malowałem słońca chowające się
w jeziorach Little Tarn i Windermere

teraz żyję między wami
i jedyne co udaje mi się malować to śmierć

tak jest w istocie:
waszą istotą jest przede wszystkim umieranie

nieustające spalanie
nawet po rozpadzie ciała

tak jest w istocie:
waszą istotą jest przede wszystkim śmierć

„Rupert i synowie”

kiedy farba wyschła razem z bratem nawoskowaliśmy blachę
i lśniący szyld przytwierdziliśmy nad wejściem do sklepu

pamiętam: mój pierwszy klient zamówił dwa funty mąki
i ćwierć funta moich ulubionych słodkich karmelków

mijały lata: ukochani rodzice martwi
(epidemia cholery w 1933 roku)
mój młodszy brat martwy
(lotnik w bitwie o Anglię)

nie mogłem dłużej tego znieść:
wszedłem po drabinie
i wymazałem z szyldu „synowie”

traktowaliście mnie źle
nieczuli mieszkańcy Ledbury

kpiliście z mojej bezdzietności i kawalerstwa
plotkowaliście o rzekomej skłonności do mężczyzn
a kiedy mijałem was na ulicy
unikaliście mego wzroku

z obrzydzeniem wspominam wasze
zwierzęce zwyczaje:

dopiero co wyszliście z objąć ojca i matki
a już rozwieraliście uda albo wchodziliście w czyjeś ciało

czy tak trudno było wcześniej zapytać:
przepraszam czy można?
czy przypadkiem nie przeszkadzam?

klientów z roku na rok było coraz mniej
aż w końcu sklep zbankrutował

umarłem w samotności pochowano mnie
na cmentarzu świętego Michała

o mieszkańcy Ledbury:
czy naprawdę nie wiedzieliście
że w moim sercu zamieszkiwała wciąż
moja matka mój ojciec i mój brat?

Krzysztof Lipowski

WSZYSTKO GAŚNIE, MATOWIEJE...

Nocą głos morza jest inny.
Dochodzi z ciemności.

Życie we dwoje odkłada się niewidzialnym słojem jakby we wnętrzu drzewa. To, co ważne, skrywa się pod bruzdami kory. Kory z zewnątrz nierównej i porowatej, bo to ona przyjąć musi na siebie deszcz, śnieg i mróz. Każdego roku drzewo to wzmacnia się ciemnym i jasnym słojem.

Dopiero w chwili przecięcia odsłania się całość.

*

W sypialni było jeszcze ciemno.

Gdy się obudził, spoglądał na światło, które przedzierało się przez szczeliny w okiennicach. Przypomniawszy sobie, że w nocy rozpuściła się burza. Krople deszczu uderzały mocno o szybę i nie pozwalały zasnąć. Wstał z łóżka i zamknął okiennice. Teraz leżeli jeszcze w ciemnościach. Dwa ciała. Blisko. Obok siebie. Tak, że z łatwością mógł usłyszeć jego miarowy oddech. Chłopczyk spał. Niekiedy tylko głośnie westchnięcia, jakie wydawał z siebie, świadczyły o niedawnych przeżyciach.

Tego ranka wszystko się przełamało. Telefon zadzwonił jak zawsze – nieoczekiwanie i głośno. Drzwi sypialni były zamknięte i dość dużo czasu musiało upłynąć, nim wreszcie wstał z łóżka. Myśl, by nie podchodzić, pojawiła się tylko na chwilę. Telefon wciąż dzwonił. O tym, co się stało, informował go rzeczowy i spokojny głos kobiety. A on stał dłuższą chwilę w ciszy, aż wreszcie po drugiej stronie usłyszał pytanie: „Halo, czy pan mnie słyszy?”. „Tak, słyszę”. Skłamał, bo przecież tak naprawdę nic już nie słyszał. Mimo to stał wciąż w przedpokoju ze słuchawką przy uchu. Jakby się bał, że gdy odłoży ten czarny przedmiot, to przerwie połączenie ze światem żywych. Więc stał wciąż w tym samym miejscu i czuł, jak zdziwienie dociera do najdalszych zakamarków jego ciała. Po raz pierwszy poczuł, że zetknął się z czymś nieodwracalnym, czego nie umiał nazwać, a co było tajemnicze i groźne. Gdy próbował o tym myśleć, miał wrażenie, że kurczy się w sobie. Że to, czego doświadczył, przetrasta go. Jedynie jakiś strzęp pytania kołatał w nim długo: „Ale dla czego? Dlaczego?”

Wieczorem M. długo nie mógł zasnąć w swoim łóżku. I gdy już sądził, że może zostać sam z myślami, usłyszał uderzenia dziecięcych nóg o płytki podłogi. Chłopiec szybko wsunął się pod kołdrę i przytulił do niego.

„Tato, boję się sam”. Jakiś czas mały leżał w milczeniu, jakby nasłuchiwał dalekich głosów.

„Opowiedz mi bajkę na dobranoc. Tak jak mama”.

„Dzisiaj na pewno mi się nie uda. Może jutro”.

„A mogę spać z tobą?”

„Tak, możesz tu zostać”. Mały kiwnął głową.

„A jutro? Co będzie jutro?”

„Jutro może być lepiej niż dzisiaj”.

„A mama przyjdzie do nas?”

„Nie. Ona już nie przyjdzie”.

„Bardzo bym chciał, żeby była”.

„Ja też bym chciał”

„Jesteśmy sami?”

„Tak, jesteśmy sami”.

Obserwował, jak małe oczy wpatrują się w niego. Jak próbują dowiedzieć się czegoś więcej, przeniknąć przez niezrozumienie, które przyszło nieoczekiwanie ze świata dorosłych. Miał wrażenie, że chłopiec znów zacznie płakać. I że będzie to szloch, który nawet jemu nie uda się szybko powstrzymać. Szloch nieprzerwany, bez chwili wytchnienia i odpoczynku. I gdy już usta chłopca zdawały się lekko wykrzywiać i gdy małe ręce zacisnęły się w pięści, objął go ramieniem i przytulił do siebie. W gęstych jasnych włosach poczuł zapach narzanego słońcem powietrza.

Zmęczenie chłopca było jednak silniejsze. Obserwował, jak powieki kilkakrotnie unoszą się, za każdym razem opadając coraz wolniej, jak para małych oczu przygląda się jego twarzy. Po chwili słyszał już tylko miarowy oddech dziecka. Poprawił pidżamę na małych plecach i przykrył chłopca kołdrą. Długo jeszcze siedział w ciszy. Po raz kolejny sami oczekiwali nocy.

Przypomnił sobie swój sen.

Śniło mu się, że siedzi na dworcowej ławce. Na peronie nie było nikogo. Przez megafon zapowiedziano przyjazd pociągu. Widział, jak koła parowej lokomotywy wtaczają na peron rząd ośnieżonych wagonów, mimo że tego dnia było dość ciepło i nawet świeciło słońce. Chwycił bagaż i podszedł do wagonu. Nikt nie wysiadał. Spojrzał w okna – w przedziałach także nie było nikogo. Nie mógł odnaleźć drzwi, by móc wejść do pociągu. Szybko podbiegł do następnych.

Tych także nie było. Spojrzał bezradnie na dworcowy zegar. Jednak godzina odjazdu się zgadzała. Usłyszał trzask i dostrzegł, jak w jednym z okien ukazała się twarz konduktora. „Niech pan da spokój!” – śmiejąc się, krzyczał konduktor. Dziwna to była twarz. Były w niej oczy, które sprawiały wrażenie, że niczego już nie widzą. Nie zdążył jednak o tym pomyśleć, gdy wagony ruszyły z miejsca. W ostatnim momencie w jednym z okien zobaczył żonę. Siedziała z głową przytkniętą do szyby, patrząc na niego smutnie. Zaczął biec i nawet coś głośno wołał. Jej twarz oddalała się szybko. Coraz szybciej. Został sam na peronie. Dopiero teraz spostrzegł, że na ławce siedzi ich sześciolatek syn. Gdy podszedł, chłopiec spytał: „Tato, czemu chciałeś odjechać beze mnie?” Razem patrzyli na odjeżdżający pociąg. „Chodź, pójdziemy do domu” – powiedział. „Ale czemu chciałeśjechać beze mnie?” – powtórzył chłopiec. Udawał, że nie słyszy pytania. Czuł, jak łza ścieka wolno po policzku. Razem schodzili w mrok dworcowego tunelu.

Gdy się obudził, dotknął ręką miejsca, na którym ona zawsze leżała. Było puste.

Odsunął kołdrę i wstał z łóżka. Usiadł obok na krześle i długo przyglądał się śpiącemu. Szczupłe ciało leżało zwinięte w kłębek. W świetle lampy widział jedynie jasną głowę i białe stopy wystające spod kołdry. Na tym niewielkim fragmencie łóżka skupiało się teraz całe jego życie. Jak wtedy, gdy pierwszy raz zobaczył chłopca na szpitalnym łóżku. Każdemu spojrzeniu na niemowlę towarzyszyły wówczas zdziwienie, radość i lęk. I gdy myślał o wydarzeniach w swoim życiu, gdy szereg różnych obrazów z przeszłości przewijał się wolno przed jego oczami, to dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył swojego syna, zapisał się mocno i wyraźnie w pamięci. Tego dnia mógł bez trudu nazwać kolejne stacje ich wspólnej przyszłości. Wszystko zamykało się wtedy w małej dłoni, która leżała na szpitalnym łóżku. To dziwne, ale zapamiętał także chłód szyby, przez którą spoglądał na nich oboje.

W ciszy nocy godziny upływały niepostrzeżenie. Zdawały się przechodzić ciemną barwą przez na wpół oświetlony pokój.

Siedział bez ruchu, słysząc miarowy oddech śpiącego dziecka i tykanie ściennego zegara. W pewnej chwili wstał z krzesła i zatrzymał wahadło. Znieruchomiał, drżało jeszcze chwilę, jakby chciał ponownie wejść w dawny rytm odejść i powrotów. Wreszcie zastygło i zawisło w jednym miejscu.

Obfitość czasu napawała go lękiem. Miał go teraz dużo i w nadmiarze. Nocne godziny już docierały do niego z przyszłości. Jeszcze

bezsztaltne i trudne do określenia, wносиły jednak z sobą pustkę przysłych dni i nocy. Wydawało mu się, że wciąż na nią czeka. Że za chwilę rozlegnie się dzwonek i usłyszy znajome kroki. A ona otworzy drzwi i jak zawsze przejdzie szybko przez hall, by postawić w kuchni torbę z zakupami. Więc wydaje mu się, że powinien czekać. Że wyjechała na krótko i niebawem powróci.

Terminy, spotkania, liczne obowiązki biegły wciąż jeszcze po bocznym torze. On zaś siedział przy kuchennym stole i przyglądał się ciemnemu wnętrzu sypialni. Zwykle, kiedy wchodził rano do kuchni, parzyła już kawę i kroił chleb. A on siadał na krześle, powoli uwalniając się od snu. W jego wspomnieniach odchodziła po raz kolejny. Po raz kolejny pamięć wyświetlała zapamiętane obrazy, które oczekiwały na krótką chwilę błysku, by się pojawić. Ostatni film przesuwiał się już wolno. Klatka po klatce, docierając do momentu, w którym stoi na korytarzu ze słuchawką telefonu przy uchu. Rozmowa już się zakończyła, a on stoi wciąż w jednym miejscu, nie mogąc wykonać kroku.

Czasem jakiś obraz nieruchomiał i trwał dłuższą chwilę nieporuszony. I była to najczęściej jej twarz z profilu. Znow widzi ją, jak się uśmiecha lub siedzi na sofie i trzyma M. na kolanach. Oboje rozmawiają ze sobą, drocą się i przekomarzają. Wyraźny rysunek jej ust. Rankiem jej twarz w naturalnym kolorze, dopiero później pojawiała się delikatna szminka o barwie miedzi. Są też włosy, które dotyka. Czuje ich miękkość, przesypując w dłoniach. I nawet dobrze pamięta to uczucie, które towarzyszy ich dotykowi. Pewien rodzaj zdziwienia rozrzutnością natury, tą nieprzebraną ilością nitkowatych ciemnych kosmyków. Jest też zapach. Zapach jej włosów, który miesza się z zapachem pościeli, i ma w sobie pewien rodzaj zmysłowej łagodności. I gdy jej postać ułożyła się z rozbitych fragmentów wspomnień, gdy stanęła przed nim mocno, wyraźnie i blisko na wyciągnięcie ręki, czuł, że to właśnie było najtrudniejsze. Cisnęło się do oczu i przeszkadzało oddychać.

Wciąż zdumiewał go widok przedmiotów. Jej przedmiotów. Zdawały się na nią czekać. Drewniana skrzynka na kosmetyki z wymalowaną różą na wieczku i kuchenny nóż pamiętały jej dotyk. Przerzucony przez oparcie krzesła pulower miał w sobie jeszcze jej ciepło i zapach. Tak jak ciało zastygłe w milczeniu. I było w tym oczekiwanu przedmiotów coś wzniosłego, coś, czego nie rozumiał.. Dopiero teraz dostrzegł, że przedmioty także czekają.

Wszystkie wydarzenia okazują się być teraz ostatnie. Ostatni wieczór. Poranna rozmowa. Zamknięcie drzwi i odgłos milknących kroków. Cisza.

„Czy mama już poszła?”

„Tak, poszła”.

Chłopiec zawsze zadawał to pytanie z chwilą, gdy tylko zamknęła drzwi. Jakby się upewniał, że od tego momentu są już sami. Jak zawsze siedział na sofie. Był jednak czujny i z chwilą, gdy słyszał trzask, odwracał głowę od telewizora i pytał: „Czy mama już poszła?”. Tego ostatniego dnia malec spojrzał na niego tak jakoś dziwnie. Z przestachem. To wtedy właśnie podszedł do syna i powiedział: „Pojechała do pracy. Wróci po południu”.

*

Z sypialni dobiegł go głos dziecka. Kiedy wszedł do środka, chłopiec siedział na parapecie i próbował coś wypatrzyć przez szczeliny w okiennicach. „Chodź, ubiorę cię”. Mały podawał ręce, by sięgnąć piżamę. Ubierał chłopca w milczeniu.

„Czy mama już nie wróci? Chciałbym, żeby ona była”.

„Ja też”.

„Ale ja chciałbym, żeby ona była”.

„Ona jest z nami wtedy, kiedy o niej myślimy”.

„Teraz też?”

„Teraz też”.

W kuchni M. jadł kromkę chleba posmarowaną czekoladową masą. Dopiero teraz spostrzegł, że siedzi na jej krześle.

*

Należało pożegnać to ciało.

Gdy zbliżali się do miejsca, dostrzegł oparty o drzwi rower. Kobieta, która miała odprawiać różaniec, zdążyła otworzyć pomalowaną brązową farbą drzwi kaplicy. Siedziała na małej ławce z nogami wysuniętymi do przodu i paliła papierosa. Gdy podeszli, poderwała się szybko spłoszona. „Ach, to pan”. Nic nie odpowiedział. Weszli do środka i stanęli przy trumnie. Pani wyciągnęła książeczkę do nabożeństwa i zaczęła głośno się modlić. „Miałem być wcześniej” – pomyślał. „Chciałem być wcześniej” – powtórzył prawie głośno. W niewielkiej salce zaczęli gromadzić się ludzie. Ktoś przyniósł długą różę i położył ją na nogi zmarłej.

Stał obok niej. „Znow jest nas troje” pomyślał. Spojrzał na małego. Chłopiec siedział na krześle zapłakany. „Chodź”. Chwycił go za rękę i wyszli z kaplicy. „Mama pewnie by nie chciała, żebyś tu cały czas siedział i płakał”. Przed wyjściem rzucił jeszcze spojrzenie na różę.

*

„Dziś w nocy padał śnieg.

Wiem, bo spałem bardzo krótko. I był to ciężki sen. Taki, który nie daje wypoczynku. Wstałem z łóżka i stanąłem przy oknie. Płatki pierwszego śniegu były ciężkie i opadały wolno na ziemię. Przez moment pomyślałem, że mógłbym cię obudzić. Że moglibyśmy razem obejrzeć padający śnieg na tle ciemnej nocy. Niczym karta z sennej księgi o bieli i czerni. Już miałem podejść do łóżka i nawet otwierałem usta, by po cichu ci to powiedzieć. Powiedzieć tak jak zawsze, gdy chciałem, byś się obudziła. W przeszłości wystarczyło, że stanąłem blisko i słyszałem, jak oddychasz we śnie. Po chwili otwierałaś oczy. Zawsze wydawało mi się, że nawet gdy śpisz, nie odchodzisz ode mnie zbyt daleko. We śnie jesteśmy najbardziej samotni. Otworzyłem okno. Chłód wtargnął do pokoju. Osiadł na pościeli. Nocne zimno szybko wypełniało wszystkie zakamarki naszego domu”.

*

Rankiem wszedł do pokoju. Promienie słońca próbowały wcisnąć się do wnętrza. Usiadł w najciemniejszym miejscu. Widział, jak M. siedzi w ogrodowej piaskownicy i przesypuje łopatką piasek. Na stole w kuchni wciąż leżał rysunek, na którym widniał przywiązany do drzewa pies. „To ja, a to mama” – powiedział wczoraj przy kolacji M. Obserwował teraz, jak ręka chłopca podnosi do góry czerwoną plastikową łopatkę. Jak nieruchomieje na chwilę w powietrzu, niepewnie waha się, w którą stronę przesypać piasek. I trwa to krótko. I gdy zobaczył, że ręka M. przechyliła się na lewą stronę, podjął decyzję. Struga drobnych ziaren opadała teraz wolno na dżinsowe spodnie chłopca, gromadząc się już po tamtej stronie życia.

W przedszkolu M., ujrawszy go, podbiegł szybko. Podniósł chłopca do góry i szepnął mu do ucha: „Teraz idziemy się ubrać. Nie będziesz już chodził do przedszkola.” Pomógł małemu zdjąć papcie i założyć buty. Wyjął wszystkie jego rzeczy z szafki i włożył do torby.

„Jesteś teraz ze mną”.

„Tak tato” – powiedział chłopiec.

„Zawsze będziemy już razem”.

W domu wyciągnął z szafy podróżną torbę. Zaczął do niej pakować ich rzeczy. M. biegał wokół torby, po chwili usiadł na niej.

„Wyjeżdżamy dzisiaj?”.

„Tak, dzisiaj. Pożegnałeś się już z Olą?”

„Nie. A co mam jej powiedzieć?”

„Powiedz jej, że wyjeżdżasz”.

„A gdy zapyta dokąd jedziemy?”

„To powiesz jej, że nie wiemy”

„Nie wiemy?”

„Tak, nie wiemy”.

*

Mężczyzna przeciskał się przez ciasny, wagonowy korytarz. W ręku trzymał niewielką torbę. Tuż za nim podążał mały chłopiec, ze spojrzeniem utkwionym w szary płaszcz idącego przodem. Chłód wieczoru wciskał się do środka przez uchylone okna. Niekiedy podmuchy zimnego wiatru były tak silne, że chłopczyk odwracał twarz od szyby.

Idący przodem zatrzymywał się niekiedy przed drzwiami prowadzącymi do przedziału i przyglądał się znajdującym się w środku pasażerom. Większość z nich była odświętnie ubrana. Był późny sobotni wieczór i w przedziałach było niewiele osób. Twarze siedzących były nieruchome i blade, niektóre sprawiały wrażenie zastygłych woskowych figur.

Mężczyzna z dzieckiem zatrzymał się przed jednym z przedziałów, wreszcie zdecydował się wejść do środka. Niewielka żarówka u sufitu ledwie oświeślała podróżnych. Tuż przy oknie siedziała kobieta, której twarzy nie mogli dostrzec. Usiedli, zajmując przeciwległy rząd drewnianych siedzeń. Chłopczyk zdjął buty i szybko położył się na siedzeniu. Mężczyzna wyjął z walizki czarny, marynarski sweter i okrył nim dziecko. Przyglądał się kobiecie, która siedziała naprzeciwko. Jej twarz skrywała wciąż okienna zasłona. Widział jedynie szyję i kosmyk ciemnych włosów. Pozostałą część ciała opinał elegancki szary kostium. Przyglądał się szczupłym dłoniom i próbował wyobrazić sobie, jak naprawdę wygląda. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu jakiegoś dziwnego i bliżej nieokreślonego powtórzenia, które stało się teraz udziałem jego i chłopca. W nocy z soboty na niedzielę jechali wszyscy w jednym przedziale, unoszeni przez miarowy stukot kół.

Nad ranem pociąg zatrzymał się na stacji. Dłuższą chwilę nikt nie wysiadał, wreszcie w ostatnim wagonie otworzyły się drzwi. Ktoś zszedł wolno po ośnieżonych stopniach. Gdy stanął na peronie, odstawił bagaż i obrócił się w stronę pociągu. W ciemnym otworze stał mały chłopiec. Mężczyzna chwycił go i ostrożnie postawił na peronie. Gdy wagony ruszyły, szli jeszcze kilka kroków wzdłuż peronu, wpatrując się w okno jednego z przedziałów. Obaj przeszli przez pusty dworzec. Był wczesny ranek i odgłos ich kroków rozbrzmiewał nie naturalnie głośno.

Weszli w pustą ulicę, która łagodnym łukiem zakręcała w lewo. Rzędy kamienic stały w równym szeregu. Okna, w których nie znać już było życia, były przesłonięte ciemnym papierem. Sklepowe okiennice pomalowane były szarą farbą i zdawały się być od dłuższego czasu zamknięte. Jedynie szyldy zdradzały dawne przeznaczenie.

Po przejściu przez owalną bramę znaleźli się na podwórzu. Na ławce siedział stary człowiek w poniszczonym płaszczu. Odwrócił głowę w ich stronę. Było coś niepokojącego w tej starczej twarzy, którą zapamiętał dobrze z dzieciństwa. Złapał mocniej chłopca za rękę i obaj przyspieszyli kroku.

Stanęli przed masywnymi, drewnianymi drzwiami. Chwycił oburącz dużą zardzewiałą klamkę i nacisnął. Otoczył ich zapach wilgoci i pleśni. Ich nogi z trudem pokonywały teraz drewniane stopnie. Głuchy odgłos butów uderzających o podest schodów odbijał się od ścian. Wydawało mu się, że w ciszy panującej na schodowej klatce słyszy daleki szum morza. Tak jakby woda podmywała elewację tego starego domu. Zaczął przyglądać się uważnie miejscu, w którym się znaleźli. Szary tynk, popękany w niektórych miejscach, zdobiły zetlałe wzory kwiatów. Cienkie nitki pajęczej sieci zwisały z rur dawnej gazowej instalacji.

Wchodzili po drewnianych schodach na górę, mijając po drodze kolejne drzwi. Na niektórych widniały metalowe tabliczki z napisem. Przybliżył głowę, próbując coś odczytać. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie pamięta już liter. Zauważył też, że nie dostrzega konturu przedmiotów, że linia szerokiej, drewnianej opaski okalającej drzwi, staje się coraz bardziej niewyraźna, jakby zamazana.

I gdy znużeni wstępowali na kolejne piętro drewnianej klatki, gdy po raz kolejny musieli zwolnić kroku, by na moment odetchnąć, dostrzegli uchylone drzwi. Nim weszli do mrocznej, wąskiej sieni odruchowo spojrzął z lękiem na syna, na jego jasne włosy. Zmęczeni nocną podróżą szli teraz wolniej, ostrożnie stawiając kroki. W pewnym momencie poczuł, że jest sam. W ciemności nie mógł już odnaleźć ręki chłopca. Zaczął powtarzać głośno jego imię tak, jak czynił to czasem we śnie. Słyszał jedynie swój własny głos odbijający się od wysokich ścian. „Mielśmy iść przecież razem. Do końca” – powiedział cicho do siebie.

Przeszedł szybko korytarz i znalazł się w niewielkim pokoju. Przypomnił sobie, jak w dzieciństwie chodził z matką do starego domu z cegieł, który znajdował się na końcu ich rodzinnego miasta. Jak wchodzili do mrocznej i wilgotnej sieni, ledwo rozpoznając zarysy przedmiotów. Pomieszczenie oświetlała niewielka stojąca lampa

z zielonym abażurem. Pamiętał, że wisiał tam stary obraz, któremu przyglądał się zawsze uważnie. Było to płótno, na którym nie mógł już niczego rozpoznać. Malowidło pociemniało, a niewielkie płyty farby odklejały się już od powierzchni. Matka rozmawiała z kimś cicho, prawie szeptem. I gdy później myślał niekiedy o śmierci, gdy częściej niż zwykle zasiedzał się w fotelu i zapatrzył w jakiś przedmiot, miał przed oczami obraz ciemniejącego płótna, na którym kolory gasną i matowieją, aż wreszcie całość wygląda niczym przypadkowy fresk z niedbałymi śladami pędzla.

„Czy to już wszystko?” zapytał sam siebie, stojąc w półmroku. Jego oczy już niczego nie mogły dostrzec. Przez moment wydawało mu się, że rozpoznaje ich głosy. Tak jakby oboje byli gdzieś blisko. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Trwało to jednak chwilę. Wszystko zagłuszał teraz jednostajny szum morza, który wzmagał się i przybierał na sile.

Po raz pierwszy poczuł, że jest bezpieczny.

Wojciech Owczarski

SEN I TOŻSAMOŚĆ

I

Coraz powszechniej deklarowane poczucie rozchwiania czy rozmycia tożsamości dzisiejszych Polaków przyczyn ma z pewnością mnóstwo. Być może nie najmniej ważną z nich jest – powszechny w Polsce – stan permanentnego niewyspania... Od roku 1989, kiedy to złapaliśmy wreszcie wiatr w skrzydła, pozostajemy w nieustannym biegu, w pogoni za straconym cywilizacyjnie czasem. Nie sprzyja to, rzecz jasna, trosce o wypoczynek. Śpimy krótko i nerwowo, coraz częściej zarywamy noce i walczymy z sennością wszelkimi możliwymi używkami. A gdy organizm w końcu odmówi posłuszeństwa, zapadamy się w otchłań kamiennego letargu, w którym z reguły nic nam się nie śni. Po czym wyrывa nas z niego dynamiczna melodia budzika w nieodłącznej komórce. Cierpimy więc nie tylko na brak snu, ale i na chroniczny niedobór marzeń sennych. A nie trzeba być biegłym w psychoanalizie, by wiedzieć, że dla życia duchowego oznaczać to może katastrofę. Na domiar złego, pozbawieni jesteśmy naturalnych procesów zasypiania i budzenia się, kiedy to związek z rzeczywistością stopniowo się rozluźnia i można delektować się powolnym przechodzeniem do innej formy istnienia, lub gdy powraca się, równie powoli, do stanu zwanego jawą. To właśnie te procesy – czego za chwilę postaram się dowiedzieć – odgrywają ważną rolę w kształtowaniu się tożsamości, to one mają niemały wpływ na to, czy wiemy, kim jesteśmy.

Nonszalancja Polaków wobec snu, szczególnie widoczna ostatnio, w czasach wzorowanego na kulturze zachodniej wyścigu szczurów, ma jednak swoje głębsze, historyczne korzenie. Generalny ton polskiej kulturze od dawna nadawał imperatyw heroicznego czynu, dokonywanego na jawie, w pełnej mobilizacji świadomych władz umysłu. Na dowód takiego stanu rzeczy dałoby się ułożyć pokaźną antologię literackich wypisów – od romantyzmu do dziś. Obfitująca w nieszczęścia Historia wymagała od nas nieprzerwanego niemal stanu czuwania. Mocnym snem cieszyć się mogli pozbawieni sumienia konformiści lub, w najlepszym wypadku, bezmyślni maminsynkowie. Prawdziwi Polacy nie spali, spiskując albo cierpiąc męczarnie. W dobrym tonie była bezsenność, bladeść, podkrążone oczy i wczę-

sna śmierć – najlepiej z ręki wroga albo ostatecznie na suchoty. Rumiane, gładkie oblicza wyspanych lekkoduchów budziły zazwyczaj obrzydzenie. Od spokojnego „snu sprawiedliwych” zawsze wyżej ceniliśmy „długie nocne rodaków rozmowy”.

Z tych właśnie powodów nigdy nie rozwinęła się na dobre nocna strona polskiej kultury. Mimo zafascynowania polskich romantyków odmiennymi stanami świadomości (wśród których marzenie senne odgrywało rolę szczególną), mimo późniejszych kontynuacji tychże zainteresowań (zwłaszcza w dobie modernizmu) – nie byliśmy w stanie naprawdę docenić korzyści, które niesie dobrowolne i bezinteresowne zanurzenie się w świecie onirycznej wyobraźni. Noc kojarzy się Polakom nieodmiennie z czasem złowrogim i ponurym, z okresem, który trzeba za wszelką cenę czymś wypełnić, jakoś przeczekać, zakrzyczeć pijackimi dysputami lub rozpaczliwą zabawą do białego rana. Nie bez przyczyny utarły się w naszym języku takie wyrażenia jak „noc paskiewiczowska” czy „noc stanu wojennego”. Czarowny i magiczny „sen nocy letniej” wydaje się naszej mentalności całkowicie obcy. (*Czarowna noc* Mrożka wcale nie jest, jak wiadomo, czarowna). Zamiast metafizycznej „podróży do kresu nocy” inicjujemy co najwyżej sentymentalne podróże na Kresy. Nie ulega wątpliwości, że stosunek Polaków do marzeń sennych nacechowany jest lekceważącym pobłażaniem. Od wszelkiej refleksji nad przekazem płynącym ze snu zdecydowanie bliższe jest nam przysłowie: „sen mara, Bóg wiara”.

Wszystko to musiało, rzecz jasna, zemścić się na naszej kondycji. Uporczywe odcinanie się od nocnej aktywności duszy musiało doprowadzić do stanu, w którym tożsamość Polaków jawi się jako powierzchowna i niepewna. Nie mieliśmy bowiem okazji (ani ochoty) „przespać się” z naszymi problemami.

Nie zamierzam dowodzić, że dzisiejsze kłopoty z tożsamością (nie tylko Polaków przecież) da się rozwiązać dzięki analizie snów. We śnie, jak wiadomo, integralność podmiotu często wydaje się jeszcze bardziej zagrożona niż na jawie. (Wedle Bachelarda, we śnie przestajemy być podmiotem: „Są w nas dwa ośrodki bytu, ale ognisko ośrodka nocnego jest rozmyte, nie skupia się w jednym punkcie. Nie jest to »podmiot«”¹. Toteż „marzyciel nocy nie może wyrazić swego *cogito*. Marzenie senne jest marzeniem bez marzyciela”²). Chciałbym jedynie zasugerować, że bacniejsze zwrócenie uwagi na relacje między nocną a dzienną formą aktywności może znacząco pomóc w próbie uchwycenia kapryśnego i błakającego się na bezdrożach „ja”.

II

Ponieważ tak zwany „dyskurs tożsamościowy” toczy się w dzisiejszej humanistyce na najwyższych obrotach, nie ma potrzeby przypominać jego specyfiki. Nie ma też sensu rozwodzić się nad – doświadczanym mniej lub bardziej boleśnie – kryzysem podmiotowości. Genezę, przebieg i skutki tego kryzysu kongenialnie opisał Charles Taylor w swej budzącej podziw monografii³. Warto byłoby natomiast, przechodząc z poziomu dyskursu na poziom wyobrażenia, prześledzić dzieje zmieniających się, fantazmatycznych przedstawień podmiotu. Warto by zapytać nie tyle o to, jak idea podmiotu ujmowana była w refleksji filozoficznej, lecz – jaki obraz podmiotu wylaniał się z ludzkiej wyobraźni. Rozróżnienie jest, rzecz jasna, subtelne, gdyż refleksji od wyobraźni radykalnie oddzielić nie sposób. Chodziłoby raczej o przesunięcie akcentu, o skupienie się na obrazowym aspekcie ewoluujących przeświadczeń. Żeby jednak fantazmatyczne dzieje podmiotu przedstawić, trzeba by napisać rozprawę zbliżoną (bogactwem źródeł i rozmiarami) do książki Taylora. Na potrzeby naszych rozważań ograniczmy się zatem do obserwacji najprostszych. Otóż trudno zaprzeczyć, że wyobrażenie podmiotu sukcesywnie ulegało przemianom w kierunkach, którym można by dać miano decentralizacji i rozrzedzenia: od „twardego” ośrodka znajdującego się w centrum „ja”, substancjalnego rdzenia, wypełniającej wewnątrz esencji, poprzez byt amorficzny i nieciągły, zaprzeczający opozycji wnętrza i zewnątrz czy centrum i peryferii, strukturą przypominający sieć bądź tkaninę, aż po „mgławicę” niwelującą pojęcie granic⁴. Podkreślimy, że owa ewolucja wyobrażeń obejmuje swym zasięgiem wszystkie możliwe formy manifestowania się podmiotu. Niemniej to właśnie sny i marzenia na jawie wydają się punktami newralgicznymi, ponieważ to właśnie w nich „dyskurs tożsamościowy” odnaleźć może najbardziej pożywny materiał. Sny bądź wizje stanowią wszak niejako naoczną ilustrację przeświadczenia o niekoherencji, rozrzedzeniu czy decentralizacji podmiotu, zarazem jednak – przeżycia oniryczne bywają okazją do „wglądu” przynoszącego doświadczenie scalające.

W snach i marzeniach sytuacja podmiotowej nieokreśloności objawia się na wielu poziomach. Do najważniejszych z nich należy z pewnością napięcie między czynnikiem świadomym i nieświadomym. W koncepcji Freuda marzenie senne rodzi się jako kompromis między tymi czynnikami. „Autorem” snu nie jest ani świadome „ja”, ani nieświadome życzenie (choć to ono właśnie pełni rolę siły napę-

dowej), lecz coś, co Freud nazywa „pracą marzenia sennego”, a co jest efektem starcia życzenia z „cenzurą”⁵. Oczywiście istnieją koncepcje zakładające integralność śniącego podmiotu. Wedle Calvina Halla „śniący jest sam autorem scenariusza, reżyserem i aktorem”⁶, zaś Medard Boss, twórca opartej na filozofii Heideggera Daseinanalizie, w ogóle zaprzecza istnieniu nieświadomości i dostrzega „ciągłość między ego snu a ego na jawie”⁷. Nietrudno jednak spostrzec, że sama konieczność zapewnienia o takiej ciągłości wynika z powszechnego poczucia jej braku.

Problematyczność marzącego czy śniącego podmiotu ujawnia się także w napięciu między czynnikiem osobistym i kolektywnym. Jungowska hipoteza nieświadomości zbiorowej zakłada, że źródło snów bądź wizji artystycznych wypływa niekiedy z obszarów ponadindywidualnych, ze skarbcza mitów będących wspólnym dobrem całej ludzkości. Nie znaczy to przecież, by sam Jung w swych interpretacjach lekceważył rolę nieświadomości indywidualnej czy doświadczeń życiowych śniącego. Jeśli jednak przyjmujemy istnienie snów i wizji archetypowych, wówczas pytanie o to, kto (lub co) jest ich podmiotem, okaże się wyjątkowo trudne.

Kolektywny czynnik marzeń sennych każe myśleć o rozróżnieniu między tym, co archetypowe, i tym, co historyczne. Na gruncie filozofii Jungowskiej kwestię tę powiązać można z problemem historyczności archetypu. Jak wiadomo, Jung nie sformułował ostatecznej i wyczerpującej definicji tego pojęcia, dlatego też pytanie, czy archetyp jest absolutnie pozaczasowy i niezmienny, czy też podlega przemianom w procesie historycznym, pozostać musi otwarte⁸. Wychodząc poza sferę koncepcji Junga, zagadnienie archetypu i historii umieścić trzeba w kontekście zasadniczego dla filozofii ostatnich dziesięcioleci sporu o esencjalizm. W interesującej nas dziedzinie byłby to spór o to, czy treści snów bądź wizji, powtarzające się w doświadczeniach wielu osób, społeczeństw i kultur, pochodzą z jakiegoś całkowicie uniwersalnego rezerwuaru „praobrazów”, w które gatunek ludzki został raz na zawsze (biologicznie?, transcendentnie?) „wyposażony”, czy też stanowią refleks doświadczeń historycznych. Czy, przykładowo, powszechnie występujące sny o lataniu należą do królestwa „odwiecznych” marzeń wyznaczających „istotę” ludzkiej psychiczności, czy utrwalają się – i zarazem ulegają ewolucji – jedynie dzięki tradycji przyswajanej sobie (i jednocześnie modyfikowanej) przez kolejne pokolenia?

Jeszcze inaczej powyższe kwestie oświetlić może problem kreatywności marzącego podmiotu. Rodzi się bowiem pytanie, jak pogo-

dzić romantyczną koncepcję snu i wyobraźni jako sił twórczych, rewelatorskich, wykraczających poza rzeczywistość zastaną – z poglądami myślicieli dwudziestowiecznych, lokalizujących materiał snu czy wizji a to w biografii śniącego, a to w składnicy treści kolektywnych, a to w dziedzictwie kulturowym. Konflikt ten nie toczy się jedynie między romantycznym idealizmem a psychologicznym (czy psychoanalitycznym) empiryzmem, lecz ujawnia się także, co najciekawsze, w obrębie tego ostatniego. Bo przecież i Freud, i Jung, i bodaj każdy z liczących się twórców nowszych technik psychoterapeutycznych, zdają się dostrzegać w snach obszar szczególnie wartościowej aktywności twórczej człowieka – aktywności, która pozwala przełamać impas życia codziennego i pchnąć je na nowe, uzdrawiające tory. (Kreatywne właściwości snu najdobitniej podkreślał Erich Fromm, twierdząc iż we śnie „możemy być mniej inteligentni, mniej mądrzy i mniej obyczajni, lecz możemy także okazać się lepsi i mądrzejsi niż w życiu na jawie”⁹.) Podmiot marzenia sennego wymyka się zatem opisowi również i z tego powodu, że wydaje się rozpięty pomiędzy koniecznością repetycji (wspomnień, przeżyć, mitów, archetypów) a postulatem oryginalności.

Paradoksalnie jednak kreatywny aspekt snu i marzenia sprawia, że cogito marzyciela – pomimo wszystkich kłopotów z jego uchwyceniem – zyskuje szansę, by objawić się samemu sobie. Taylor dowodzi, że to właśnie dzięki wyobraźni twórczej możliwy jest „rezonans osobisty”. Wszelkie poznanie (w tym również samopoznanie) nie dokonuje się bowiem inaczej niż w akcji kreacji. Akt ów towarzyszy epifanii, w której – twierdzi Taylor – podmiot współtworzy to, co poznaje. (Taylorowskie pojmowanie epifanii wykorzystał Ryszard Nycz w swej koncepcji „literatury jako tropu rzeczywistości”¹⁰). W poetyckich wizjach i w snach należałoby zatem poszukiwać nie tyle klasycznego psychoanalitycznego „wglądu”, ile epifanicznego samostanowienia; nie tyle poznania „istoty” rzeczy, ile jej aktywnego konstituowania.

George Poulet rozpoczynał swoje analizy od znalezienia „punktu wyjścia” – sposobu, w jaki interesujący go pisarz „formułuje swoje cogito”¹¹. Otóż wydaje się, że marzenie senne stanowić może najdogodniejszy „punkt wyjścia” do opisu wyobraźni, a w ślad za nią – tożsamości człowieka. Bo przecież to nie pisarz „formułuje” własne cogito. Cogito „formułuje się” samo, a sen jest tego najlepszym świadectwem.

III

Żeby zilustrować, w jaki sposób cogito „formuluje się” we śnie, zajmę się teraz – w charakterze przykładu – trzema fragmentami poetyckimi, które można by nazwać epifaniami przebudzenia.

Zacznę od Mickiewicza, a ściślej mówiąc – od zakończenia słynnego snu drezdeńskiego, który nawiedził poetę w 1832 roku i doczekał się zapisu w wierszu *Śniła się zima...* Oto końcowy fragment:

Przebudziłem się – z obliczem ku niebu,
Z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu.
Sen mój był cichy – lży jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch, i jażminu,
I Gór Albańskich, i róż Palatynu –¹²

Pomimo przebudzenia, sen zdaje się nadal trwać. Podmiot na jawie nie odcina się od podmiotu marzenia sennego. Przeciwnie, jest z nim całkowicie tożsamy. Co więcej, to właśnie marzenie senne uformowało podmiot dzienny – to, kim jest podmiot po przebudzeniu, zostało bez reszty ustanowione we śnie. W aspekcie temporalnym kluczowe jest tu słowo: „jeszcze” (lży „jeszcze płynęły” i „jeszcze wionęły”), wskazujące, że epifania przebudzenia zwraca się wstecz, ku przeszłości, ku minionej (choć dla podmiotu wciąż obecnej) wizji sennej. Ta wizja (a w zasadzie dwie wizje, zimowa i letnia), która nie da spokoju zarówno samemu Mickiewiczowi¹³, jak i wielu pokoleniom egzegetów jego dzieła¹⁴, właściwie nie tyle się kończy, co urywa, pozostawiając śniącego w poczuciu skrajnego przygnębienia. Oto nadlatuje „wojsko czarne:/ Sosny i lipy, piołuny i cząbry,/ Świadczyć przeciwko mnie –”. Nie wiadomo, co orzekłby ów sąd, gdyby sen rozwijał się dalej. Śniący jest jednak pełen najgorszych przeczuć, gdyż chwilę przedtem wyznaje:

I przypomniałem nagle wszystkie błędy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jej i szczęścia, i nieba niewarte.

Jean-Charles Gille-Maisani, czytając Mickiewicza po Jungowsku, uznaje „wojsko czarne” za projekcję Cienia i konkluduje, iż „poety jeszcze nie stać na w pełni świadome zmierzenie się z ciemnymi stronami swej osobowości”¹⁵. Nie wnikając tu w znaczenie snu drezdeńskiego, pozostajmy przy obserwacji, że depresyjne emocje towa-

rzyszające zakończeniu wizji sennej określają również stan śniącego po przebudzeniu. Leży on wszak „z rękami na krzyż, jakby do pogrzebu”, po policzkach płyną mu łzy – i trudno przypuścić, by były to, jak chce Leszek Zwierzyński, łzy oczyszczające. Wedle Zwierzyńskiego, w końcowym fragmencie wiersza „występują [...] wszystkie elementy symboliki teologicznej związanej z chrztem. [...] Bardzo wymowny jest w kontekście tej teologii chrztu obraz »złożenia poety do grobu« zaznaczony w wierszu. Łzy są tu znakiem skruchy, oczyszczają, lecz zarazem przemieniają i odradzają »pokutnika«”¹⁶. Ponieważ tezy o odrodzeniu śniącego nie dałoby się wywieść z jego relacji, Zwierzyński decyduje się na ryzykowny koncept: „To najgłębsze oczyszczenie – prawdziwa *metanoia* – odbywa się jakby poza świadomością: ostatni element marzenia sennego poety to lęk przed »czarnym wojskiem«, budzi się zaś on już ze łzami, obmyty i odrodzony – już po ukrzyżowaniu i złożeniu do grobu. Wszystko dokonało się w dziedzinie snu najgłębszego – bez marzeń sennych, poza wejrzeniem ludzkiego rozumu. Podkreśla to tajemnicę odrodzenia, zanurzenie w niebycie podobnym śmierci, i zaznacza ontyczny charakter dokonanej przemiany”¹⁷. Otóż śniący nie budzi się „już” ze łzami, lecz – jak sam podkreśla – „jeszcze” ze łzami. Te łzy musiały mu więc towarzyszyć we śnie. Nie było zatem żadnej przemiany, odrodzenia ani oczyszczenia. Nie było Bachelardowskiego „snu najgłębszego – bez marzeń sennych”. A już na pewno nie było ukrzyżowania ani złożenia w grobie. Pomiędzy snem a stanem czuwania zachodzi tu ciągłość niczym niezłamana. Sen przynosi depresyjne poczucie winy, które trwa nadal po przebudzeniu i znajduje wyraz w mowie ciała (ułożonego „j a k b y do pogrzebu”). Maisani myli się sądząc, że „poeta zachowuje w pamięci tylko przyjemne strony snu: zapach róż i jaśminu”¹⁸. Paradoksalny obraz łez, które „wionęły świeżym zapachem”, wskazuje na to, że w pamięci przebudzonego mieści się cały sen, w całej swej złożoności. A jeśli mimo to wywołuje on uczucia jednoznacznie negatywne, można przypuścić, iż owe „przyjemne strony” (Góry Albańskie, róże Palatynu) zdradzają istotnie, jak pisze Zwierzyński, „obecność raju”¹⁹, tyle że... raju utraconego. Tej utraty, jak wiadomo, powetować sobie nie sposób. Doświadczona we śnie, ciążyć będzie poecie po kres jego dni.

Przyjrzyjmy się teraz początkowemu fragmentowi *Elegii prowincjonalnej* Różewicza. Utwór ten pochodzi z tomu *Pięć poematów. Wiersze z lat 1948–1949*. Cytowany fragment nosi tytuł *Przebudzenie*:

Przebudzony nagle nie wiesz
kim jesteś dopiero stajesz się
dochodzisz do siebie i oto
widzisz że nie jesteś w drodze
Nim dokładnie odczytasz
widok umowny za oknem
wiesz wszystko²⁰.

Z punktu widzenia poetyki nie będzie nic odkrywczego w stwierdzeniu, że epifania Różewicza od epifanii Mickiewiczowskiej różni się diametralnie. Istotna wydaje się natomiast świadomość, że chodzi o różnice w obrębie tego samego procesu, w którym *cogito* konstytuuje się na granicy snu i jawy. Różewiczowska *Elegia* rozpoczyna się zgola nieelegijnie, gdyż, wbrew tradycji gatunku, nie zwraca się ku przeszłości, lecz lokuje się w czasie teraźniejszym. Przebudzenie nie jest wspomnieniem snu. Przeciwnie – okazuje się negacją pamięci, a nawet tożsamości. Ja nie dysponuje wiedzą ani o swoich losach we śnie, ani przed zaśnięciem. Tożsamość budowana jest od nowa („dopiero stajesz się”), choć w trakcie tej budowy podmiot odnajduje kontakt ze sobą sprzed przebudzenia („dochodzisz do siebie”). W tym krótkim fragmencie przedstawiony został błyskawiczny proces powrotu świadomości: od „nie wiesz/ kim jesteś” do „wiesz wszystko”. Nie jest to jednak po prostu rekonstrukcja. *Cogito* „formuluje się”, powiedzieć można, aktywnie, a nie tylko powraca do znanej sobie formy. Zgodnie z obserwacją Taylora, w epifanii przebudzenia podmiot rozpoznaje, a jednocześnie kreuje własny wizerunek. Najistotniejsze wydaje się tu właśnie napięcie pomiędzy „stawianiem się” a „dochodzeniem do siebie”. O ile sen drezdeński Mickiewicza trwał „jeszcze” po przebudzeniu, o tyle Różewicz odcina doświadczenie przebudzenia od przeszłości i od przyszłości przysłówkami „dopiero” i „nim”. Wszystko dokonuje się teraz „oto”, bez gwarancji ciągłości z tym, co było, i z tym, co będzie. W takim duchu rozumieć można stwierdzenie: „widzisz że nie jesteś w drodze”. Bycie w drodze oznacza przecież sukcesywność i linearność wydarzeń, zakłada spójność podmiotu percypującego zmieniające się krajobrazy. Tymczasem podmiot Różewiczowski jest tej spójności pozbawiony, a jego samoświadomość – po przebudzeniu – ustanawia się wbrew prawu linearności: „Nim dokładnie odczytasz/ widok umowny za oknem/ wiesz wszystko”. Samowiedza pojawia się przed „odczytaniem”, nie jest ufundowana na wysiłku poznawczym, nie rodzi się wskutek uporządkowania wspomnień, wrażeń czy obserwacji. Zresztą widok za oknem okazuje się „umowny”, nie stanowi wiarygodnego punktu od-

niesienia. A w każdym razie – stanowi go w nie większym stopniu niż rzeczywistość oniryczna. Cogito „formuluje się” zatem w obliczu snu, który zakłóca tożsamość, a jednocześnie pozwala odbudować ją w nowej postaci.

Widać to w dalszych częściach poematu, pełnych migawkowych, luźno ze sobą powiązanych (luźniej niż zazwyczaj w twórczości Różewicza!) obrazów, mogących uchodzić za reminiscencje marzeń sennych. Oto „poborowi na drewnianych koniach”, „dziewczyny w drewnianych sukniach”, „anioł w drewnianej koszuli”, który na dodatek „jest kwadratowy”. Wyobrażenie drewna i drzewa powraca obsesyjnie, choć – jak we śnie – nie krystalizuje się wokół niego żadne wyraźne znaczenie: „żywi i umarli/ są jak pudełka tekturowe/ jak piramida z drewnianych klocków”. Nawet „wspomnienie o przyjacielu/ jest tak bezbarwne/ jak wspomnienie o/ lasce która zginęła w poczekalni”. I gdy już chcielibyśmy powiązać fantazmat drewna z elegijnym tematem śmierci i przemijania (wszak także ciotka „mówi/ już mi bliżej do nieba jak do ziemi/ na trumnę nawet nie będzie”), to nagle pojawiają się obrazy przeczące takiemu związkowi: „W dzień rozmawiamy tkliwie/ z drzewami które się karmią światłem/ ale w nocy zostawiamy drzewa/ na pastwę deszczu który jest/ monotony/ [...] Chłop tu raz wjechał/ z furką drzewa zablądził ot tak/ dzieci mówiły z wielką powagą koń”. W całym poemacie obrazy wyłaniają się „ot tak”, i nawet jeśli uznać je za narzucające się arbitralnie wspomnienia z „prowincjonalnej” przeszłości, to z pewnością zostały onirycznie przetworzone. Bo chyba tylko we śnie „żona jest jak ręka lewa/ albo sufit albo gwiazda”. I tylko we śnie pojawia się „uliczka bez rąk/ i nóg uliczka bez głowy”, a „Konduktor przykładu/ dwa palce do daszka domku/ w którym mieszkają zabawki”.

Spośród tych nieokreślonych żadnym porządkiem obrazów cogito wyłania się kilkakrotnie. W introdukcyjnym *Przebudzeniu* przywdziewa gramatyczną formę „ty” („Przebudzony nagle nie wiesz/ kim jesteś”). We właściwej niejako części poematu zrazu manifestuje się wyraziście, na modłę romantycznego indywiduum zdecydowanie odróżniającego się od pogardzanych mas: „Jakże chce mi się śmiać z tych/ którzy nie widzieli czerwonego/ dywanika nad moim łóżkiem/ a mówią życie życie/ [...] oto ja który poznałem/ prawdę zakrytą przed wami/ poznałem złą tajemnicę/ rozwieszoną między/ ścianą a moim obliczem”. Potem jawi się w defensywie, wycofując się i tracąc pewność siebie: „ale kto odgadnie że uciekam/ kiedy biorę bilet od kasjera/ który ma twarz za kratą”. Wreszcie pozwala już tylko domyslać się swojej obecności w postaci chłopca, który „siedzi/

z rozchylonymi ustami/ wskazuje i nazywa po imieniu/ pyta dlaczego/ dlaczego”.

W onirycznej elegii Różewicza cogito „formuluje się” wciąż od nowa. A najciekawsza jest nie tyle jego labilność, niespoistość czy dezintegracja (to w końcu przypadłości dość powszechne), ile zawisłość od świata snów i gotowość do coraz to nowych przebudzeń. W tym sensie *Elegia prowincjonalna* okazuje się znakomitym „punktem wyjścia” do studiowania Różewiczowskiej wyobraźni, niezmiennie sytuującej się w przestrzeni między niepokojem a recyklingiem.

Ostatnia epifania, na którą chciałbym tu zwrócić uwagę, pochodzi z późnego wiersza Czesława Miłosza. W tomiku *To* (z roku 2000) znalazł się utwór pod tytułem *Obudzony*:

W głębokiej starości, z pogarszającym się zdrowiem, obudziłem się w środku nocy i wtedy tego doznałem. Było to uczucie szczęścia tak olbrzymiego i doskonałego, że w życiu minionym istniały tylko jego zadatki. I to szczęście nie miało żadnych powodów. Nie usuwało świadomości i nie zniknęła przeszłość, którą w sobie nosiłem razem z moją zgryzotą. Teraz nagle została włączona jako potrzebna część całości. Jakby jakiś głos mówił: „Nie martw się, wszystko odbyło się tak, jak być musiało, zrobiłeś, co tobie było wyznaczone i nie musisz już myśleć o rzeczach dawnych”. Spokój, który czułem, był spokojem zamknięcia rachunków i łączył się z myślą o śmierci. Szczęście po tej stronie było niby zapowiedź tego samego po drugiej stronie. Zdawałem sobie sprawę, że otrzymuję dar nieoczekiwany i nie mogłem pojąć, dlaczego spadła na mnie ta łaska.²¹

Jeśli w wypadku Mickiewicza przebudzenie okazało się jedynie usankcjonowaniem sytuacji podmiotu rozpoznanej we śnie, a w epifanii Różewiczowskiej obudzony podmiot stał przed koniecznością – ale i szansą – nowego samookreślenia, to u Miłosza przebudzenie staje się absolutnym dopełnieniem, drogą do osiągnięcia „całości”. Szczęście i spokój zjawiające się „w głębokiej starości” to raczej punkt dojścia niż punkt wyjścia, choć dla badacza wyobraźni Miłoszowa epifania stanowić może dogodny punkt odniesienia, jako że zdaje się antycypowana, a w każdym razie pożądana przez poetę od samego początku, czego liczne dowody da się odnaleźć w jego bogatej twórczości. Zauważmy ponadto, że integrujące doświadczenie przebudzenia zwraca się tu nie tylko ku przeszłości, która „nie zniknęła”, ale i ku przyszłości, chciałoby się powiedzieć – ku przyszłości eschatologicznej. „Zamknięcie rachunków” jest jednocześnie „zapowiedzią” szczęścia „po drugiej stronie”. Owo mistyczne poczucie spełnienia odbierane jest jako „łaska”, „dar nieoczekiwany”. Nie po-

jawia się w wyniku żmudnej duchowej pracy, wysiłku samodoskonalenia, wymuszonej ascezą wewnętrznej przemiany. Zjawia się nagle, „w środku nocy”. Bo pisarz – powtórzmy – nie „formuluje” swojego cogito. Cogito formuluje się samo, na przecięciu snu i jawy.

IV

Te trzy przykłady z poezji polskiej nie mówią nic zgoła ani o tożsamości Polaków, ani o polskiej specyfice tożsamościowych problemów. Dowodzą jednak, jak sądzę, niebagatelnego wpływu snu na „utwierdzanie się w jestestwie swoim”. Żeby naprawdę zrozumieć polską kulturę, zarówno tę minioną, jak i najnowszą, trzeba by z całą powagą zainteresować się snami Polaków. Trzeba by z mozołem odtworzyć „sennik polski”. Byłby to projekt dla dużej grupy badaczy – dla antropologów, kulturoznawców, psychologów, socjologów, historyków literatury. Projekt, o jakim nie śniło się dotychczas polskim filozofom.

PRZYPISY

- 1 G. Bachelard, *Poetyka marzenia*, przeł. i oprac. L. Brogowski, Gdańsk 1998, s. 169.
- 2 Ibidem, s. 33.
- 3 Zob. Ch. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej*, przeł. M. Gruszczyński i in., oprac. T. Gadacz, wstęp A. Bielik-Robson, Warszawa 2001.
- 4 Zob. W. Kalaga, *Mgławice dyskursu. Podmiot, tekst, interpretacja*, Kraków 2001.
- 5 Zob. S. Freud, *Dzieła*, t. I, *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1996.
- 6 O. Vedfelt, *Wymiary snów. Istota, funkcje i znaczenie marzeń sennych*, Warszawa 1998, s. 153.
- 7 „Nawet przy krańcowych przemianach ego – komentuje Vedfelt – np. w szmatę do podłogi lub w kogoś o wiele lat młodszego czy starszego, stwierdził on [Boss], że poczucie ego – poczucie, że to jestem ja – zostało we śnie zachowane”. Ibidem, s. 170.
- 8 Warto tu przypomnieć myśl Eliadego, który twierdził, że „każda istota historyczna nosi w sobie znaczną część człowieczeństwa sprzed Historii. [...] Sny, sny na jawie, obrazy tęsknot, pożądań, zapalów itp. – wszystko to siły, które przenoszą istotę ludzką, historycznie uwarunkowaną, w świat duchowy nieporównanie bogatszy niż zamknięty świat »chwili historycznej«”. M. Eliade, *Sacrum, mit, historia. Wybór esejów*, przeł. A. Tatarkiewicz, wybór i wstęp M. Czerwiński, Warszawa 1993, s. 25–26.
- 9 E. Fromm, *Zapomniany język. Wstęp do rozumienia snów, baśni i mitów*, przeł. J. Marzęcki, Warszawa 1994, s. 38.
- 10 Zob. R. Nycz, *Literatura jako trop rzeczywistości. Poetyka epifanii w nowoczesnej literaturze polskiej*, Kraków 2001, s. 43–47.
- 11 G. Poulet, *Ramuz*, przeł. W. Kroker, w: *Szkola Genewska w krytyce. Antologia*, wybór H. Chudak i in., przedmowa M. Żurowski, Warszawa 1998, s. 189. „Osoby choć trochę obeznane z moim sposobem uprawiania krytyki – pisze Poulet na tej samej stronie – wiedzą, że przystępując do pracy nad jakimś autorem w pierwszym rzędzie szukam czegoś, co nazwę jego punktem wyjścia. Punkt wyjścia, załączek myślenia o sobie i myślenia w ogóle,

miejsce, w którym autor lub jego bohater wkracza w coś, co okaże się nową egzystencją, ma dla mnie zawsze głęboki sens. Kiedy więc, zazwyczaj nieoczekiwanie, natrafiam na jeden z takich fragmentów opisujących wysiłek samopoznania, zdaje mi się, że oto wszystko się rozpoczyna, że odsłania się przede mną jakaś prawda pierwsza, że właśnie w tym momencie przed autorem lub tym, kto go zastępuje, otwiera się przygoda duchowa mająca, czasami w sposób wyłączny, o k r e ś l i ć jego przyszłość”.

12 A. Mickiewicz, *Dzieła*, t. I, *Wiersze*, oprac. C. Zgorzelski, Wydanie Rocznikowe, Warszawa 1993.

13 Przy wierszu *Śniła się zima...* poeta umieścił adnotację: „Miałem sen w Dreźnie 1832, marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiany. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz, 1840, przepisuję dla pamiątki”.

14 O wierszu *Śniła się zima...* pisali między innymi: R. Bluth, *Psychogeneza „Snu w Dreźnie”*, „Przegląd Współczesny 1925, nr 37 i 39, przedruk w: idem, *Pisma literackie*, oprac. P. Nowaczyński, Kraków 1984; J. Przyboś, *Czytając Mickiewicza*, Warszawa 1956, s. 233–238; J.-C. Gille-Maisani, *Adam Mickiewicz poète national de la Pologne. Etude psychanalytique et caracterologique*, Montreal 1988, druk po polsku w wersji skróconej w roku 1987 oraz w wersji niepełnej pt. *Adam Mickiewicz. Studium psychologiczne. Od dzieciństwa do „Dziadów” części trzeciej*, przeł. A. Kuryś, K. Marczeńska, Warszawa 1996, s. 350–359; M. Piasecka, „*Śniła się zima...*” *Sen – wiersz – egzystencja*, „Pamiętnik Literacki” 1987, z. 1, s. 127–133; A. Litwornia, *Nad tekstem Mickiewicza „Śniła się zima...”*, „Pamiętnik Literacki” 1998, z. 2, s. 29–58; L. Zwierzyński, *Wyobrażenia akwaticzne Mickiewicza*, Katowice 1998, s. 47–52; W. Owczarski, *Mickiewiczowskie figury wyobraźni*, Gdańsk 2002, s. 203–211.

15 J.-C. Gille-Maisani, *op. cit.*, s. 359.

16 L. Zwierzyński, *op. cit.*, s. 51–52.

17 Ibidem, s. 52.

18 J.-C. Gille-Maisani, *op. cit.* Pomińmy już logiczną kwestię: jak poeta mógł opisać coś, czego nie zachował w pamięci...

19 L. Zwierzyński, *op. cit.*

20 T. Różewicz, *Poezja*, t. I, Kraków 1988.

21 Cz. Miłosz, *To*, Kraków 2000.

Marek Gajdziński

ZAPISKI LONDŃSKIE**(2)****W AUTOBUSIE**

Zdarza się tak, że na styku kultur, brytyjskiej z polską na przykład, stare, oklepane dowcipy nabierają nowego znaczenia, i, by nie być gołosłownym, przytoczę tu taką podsłuchaną w autobusie rozmowę:

– Myślę o tym, żeby otworzyć interes – mówi chłopak do siedzącej obok niego dziewczyny.

– W Polsce? – pyta dziewczyna.

– Nie, tutaj. Bo wiesz, w Anglii niedawno wprowadzono nowe prawo – z wcześniejszej ich rozmowy wyniosłem, że chłopak dosyć długo już tu mieszka, ona natomiast dopiero przyjechała i teraz on, ten zorientowany, ciągle jej, niezorientowanej, jak dziecku różne rzeczy tłumaczy, co to ta Anglia jest i tym podobne – że można chować w ogródkach.

– Skarby? – ona ze śmiechem. – To rzeczywiście byłby dobry interes, chodzić po ludziach i mówić im, że pokażesz, gdzie i jak zakopać skarb w ogrodzie, żeby nikt niepowołany nie znalazł.

– Jakie skarby, no co ty. Kto tu ma skarby, recesja przecież. Zmarłych chować można.

– A przedtem co z nimi robili?

– Też chowali, ale normalnie, na cmentarzu. A teraz można u siebie w ogrodzie.

– No i co?

– No i ludzie zaczną chować, bo to taniej, wiadomo, za parcelę płacić nie trzeba. A jak jedno taniej, to zaraz rośnie ochota, żeby na czymś jeszcze zaoszczędzić.

– Na księdzu?

– Na księdzu to oczywiste, ale co to dla mnie za interes... Choć – przerwał na chwilę, jakby o czymś intensywnie myślał. – O tym jeszcze, szczerze mówiąc, nie myślałem.

– To o czym myślałeś? – pyta dziewczyna, raczej z grzeczności niż z prawdziwego zainteresowania.

Chłopak na to, ścisząc głos:

– O trumnach.

– O trumnach? Jak to?

– No bo widzisz, taka solidna, drewniana trumna to w dzisiejszych czasach majątek kosztuje. I drewno się w dodatku marnuje. A teraz jest przecież taka tendencja, żeby oszczędzać surowce.

– To jak, bez trumny?

– No co ty, to by było nie po bożemu. No i ja, co ja bym mógł z tego mieć?

– A bo ja wiem?

– No widzisz. Nie, ja myślę, rozumiesz – znowu ścisza głos – o produkcji trumien z papieru, albo kartonu, takich prostych, jednorazowych.

– O! – okrzyk zdziwienia wyrywa się z ust dziewczyny.

– Tak, tak, na masową skalę, zobaczysz, tak żeby w Safewayu i w tym, w Tesco sprzedawali, złożone ładnie, w gustownym opakowaniu.

I tak sobie długo jeszcze o tych sprawach gaworzyli, mniejsza jednak o dokładną tego gaworzenia treść, no bo gdzie ten zapowiedziany dowcip, który miał nabrać nowego znaczenia, ktoś zaraz zapyta. Więc że zaraz będzie, odpowiem, cierpliwości trochę.

– A pamiętasz tego grabarza – pyta w pewnym momencie chłopak – co go kiedyś na cmentarzu u ciebie spotkaliście? On by się do tego nadał.

– Umarł – odpowiada dziewczyna.

– Umarł? Szkoda – mówi chłopak, zamyśla się i nagle podejmuje z ożywieniem: – A wiesz, co tutaj w Anglii grabarz dostaje, jak umrze, rentę czy emeryturę, jak myślisz?

Ona zastanawia się jakiś czas, w końcu mówi niepewnym głosem:

– Rentę?

– Cha, cha! – chłopak na to – zastanów się, po co mu renta, jak nie żyje.

– To, znaczy się, emeryturę, tak?

AUTOBUSY SĄ JAK DZIECI – SPAJAJĄ ŚWIAT

Podróż londyńskim doubledeckerem to dla mnie podróż sentymentalna, z widokami i wspomnieniami. Zwłaszcza podróż na górnym pokładzie, na jednej z dwóch pierwszych kanap, gdzie oko, nieograniczone żadnymi przeszkodami, błądzi swobodnie po mijanych par-

kach, rzekach, domach, sklepach, napisach, samochodach, sylwetkach i twarzach, a myśl przyjmuje bądź odrzuca, albo zachowuje do dalszego przetwarzania, wywołane widokami wspomnienia, wspomnienia związane z innymi, dawnymi tego rodzaju przejażdżkami, albo jakiegokolwiek inne, na przykład wspomnienie Sary, którą Christopher znalazł zapłakaną w pobliżu przystanku autobusowego na Lower Regent Street, kiedy wyszedł za nią po tym, jak ona nagle wyszła z ich wspólnego spotkania w gronie przyjaciół w restauracji, nie mogąc znieść beztroskich żartów na temat matek, żeby je na przykład razem z ciotkami i innymi takimi „zamknąć w czymś na kształt wielkiego zoo, zbudowanego obok Serpentine”, w Hyde Parku, w powieści Kazuo Ishiguro zatytułowanej *Kiedy byliśmy sierotami*. Sara, patrząc na znajdujący się po przeciwnej stronie ulicy przystanek, przypomina sobie, jak sama podróżowała kiedyś ze swoją matką, jak w dzieciństwie spędzała z mamą dużo czasu w autobusach. „Jeśli okazywało się, że przednie siedzenia na górze są zajęte, natychmiast wysiadałyśmy i czekałyśmy na następny autobus. Spędzałyśmy tak całe godziny, jeżdżąc po Londynie, oglądając wszystko, rozmawiając i pokazując sobie różne rzeczy. Uwielbiałam to.” Ale Christopher nic nie wie o urokach podróżowania londyńskimi autobusami, kiedy Sara pyta go o to, przyznaje, że raczej jeździ taksówkami albo chodzi pieszo, bo „trochę się boję londyńskich autobusów – mówi – wydaje mi się, że jeśli do któregoś wsiądę, wywiezie mnie dokądś, dokąd nie chcę jechać, a potem resztę dnia stracę na szukaniu drogi powrotnej”. Jednak pod wpływem impulsu wywołanego kolejnym wspomnieniem Sary, która mówi, że teraz rozumie, że matka tak dużo podróżowała z nią autobusem, bo była już wtedy bardzo chora i nie miała siły na inne zabawy, Christopher proponuje, żeby wsiąść i pojechać, bo „trochę się boję sam jeździć autobusami, a ponieważ ty jesteś kimś w rodzaju weteranki, mam wreszcie okazję”, i tak też robią, ona mu pokazuje, jak to się robi, ale nie na tym przystanku, tylko na innym, przy Haymarket, tak by pozostawieni w restauracji przyjaciele nie widzieli, że robią coś takiego. „Kiedy wspieliśmy się po schodach na górę, Sara okazała dziecięcą radość, stwierdziwszy, że przednie siedzenia są wolne i zaraz potem już na nich siedzieliśmy, kołysząc się, gdy autobus sunął ociężale w stronę Trafalgar Square”, a potem przez Strand, Chancery Lane, High Holborn, Greys Inn Road, i tak dalej, w nieznane, patrząc, rozmawiając, milcząc, myśląc, pogrążając się w najprzeróżniejszych wspomnieniach. Christopherowi przypomina się wtedy pewne zdarzenie z dzieciństwa, kiedy mieszkał z rodzicami w Szanghaju i kiedy był świadkiem najpierw ich kłót-

ni, a potem długiego okresu, kiedy ze sobą nawzajem nie rozmawiali i kiedy, zaintrygowany tym wszystkim, zapytał Akirę, swojego japońskiego przyjaciela, czy jego rodzicom też zdarza się ze sobą nie rozmawiać, ten tak mu odpowiedział: „Mama nie rozmawia z tatą, kiedy on w biurze. Mama nie rozmawia z tatą, kiedy on w toalecie”, po czym „ryknął idiotycznym śmiechem, przewrócił się na plecy i zaczął wymachiwać nogami w powietrzu”. Christopher się jednak nie poddawał tak długo, aż usłyszał bardziej poważną odpowiedź: „Wiem, czemu przestają. Christopher, ty nie dość Anglik. (...) Tak samo u mnie. Mama i tata czasem przestają rozmawiać, bo ja nie dość Japończyk”. I dalej wyjaśnia, że to normalne, że rodzice przestają ze sobą rozmawiać, kiedy są bardzo niezadowoleni z zachowania swoich dzieci, tak bardzo niezadowoleni, że nawet nie mają ich siły zwyczajnie skarcić, tak głęboko ich zachowaniem rozczerowani, a potem powtarza coś, co usłyszał kiedyś od pewnego mnicha, że „my, dzieci, jesteśmy jak sznurki łączące ze sobą poszczególne listewki. Często tego nie dostrzegamy, ale to właśnie my, dzieci, spajamy nie tylko rodzinę, lecz cały świat. Gdybyśmy nie robili tego, co do nas należy, listewki spałyby i rozsypały się po podłodze”.

LONDYŃSKA TUBA

Na metro Anglicy nie mówią metro, metro to określenie francuskie, podobnie jak i metr jako jednostka miary jest francuski, Anglicy mają przecież swoje stopy. Ale nie mówią stopa na metr, ani nawet trzy stopy, co byłoby mniej więcej odpowiednikiem jednego metra. Nie mówią tak dlatego, że, po pierwsze, francuska nazwa metra nie ma nic wspólnego z metrem do mierzenia [?], po drugie dlatego, że mówią inaczej. Jak? „The underground” mówią, bo to pod ziemią jest przecież. Albo, językiem bardziej potocznym, „the tube” mówią, czyli tuba.

„I am struck by the way people behave on the Tube. They look at each other beadily and inquisitively, and something goes on in their thoughts which must be equivalent to the way dogs and other animals, when they meet, sniff each other's arses and nuzzle each other's fur.” Graham Swift.

Bond Street Station.

Na stacji Bond Street, w wagoniku metra linii Jubilee, pani mówi przez głośniki: „Tu stacja Bond Street, przesiadka na Linie Centralną albo na zakupy w Selfrydzu.”

BLACK CAB

A taksówki? Dziwne te taksówki, myślę, i że dlaczego nie można siedzieć z przodu, obok kierowcy? Wydany w 1834 roku akt prawny określał różne przepisy obowiązujące wynajmujących konie i powozy. Mówi się w nim między innymi, że obok kierowcy musi być wystarczająco miejsca, by zmieścić na nim belę siana. Siano dziś niepotrzebne, ale akt najwyraźniej nadal obowiązuje. W tym samym dokumencie określono minimalną wysokość pojazdu – miała ona być taka, by każdy dżentelmen mógł swobodnie wejść do środka i usiąść bez potrzeby zdejmowania cylindra z głowy. Dokument zwie się *Hackney Carriage*, a nazwa ta wywiedziona nie od dzielnicy Londynu Hackney, lecz od słowa *hackney*, które oznacza, a raczej oznaczało, konia do wynajęcia.

ADRES: KURCZAKI 12, LONDON. KOD POCZTOWY: EC2

Spacerując po Londynie wymyślam sobie z nudów, oczywiście, podobno najciekawsze pomysły przychodzą człowiekowi do głowy z nudów właśnie, coś, co nazywam naprędce quizem londyńskim. Oto pierwsze jego pytanie:

Który z londyńskich budynków o uznanej wartości historycznej został zbudowany na kurczakach?

I po kilku stronach odpowiedź:

Dom taki zbudowany został w czasach wiktoriańskich i stoi do dziś w londyńskim City, w niemal bezpośrednim sąsiedztwie budynków Bank of England i Mansion House, i o krótki rzut beretem od londyńskiej Giełdy. Wyróżnia go nie tylko drobiowa lokalizacja, ale, a może przede wszystkim, wspaniała – nie, nie wspaniała, interesująca raczej, fasada. Dlaczego nie wspaniała? Bo słowo to nie pasuje do czegoś, co trudno na pierwszy rzut oka zauważyć. Trzeba się bowiem w tę fasadę pierwszej z zainteresowaniem wpatrzeć, by zdać

sobie sprawę z tego, co ona przedstawia. Ba, nawet wpatwienie się może tu nie wystarczyć, patrzącym pierwszy raz wyłonić się mogą bowiem jakieś nie za bardzo zrozumiałe scenki rodzajowe, których nie będą w stanie z niczym konkretnym skojarzyć, w żadnej historycznej rzeczywistości osadzić. Potrzebne więc będzie jakieś w tej mierze pouczenie, na przykład słowa jakiegoś przypadkiem napotkanego miłośnika (proste, lecz wymagające odrobiny szczęścia), wynajętego w tym celu przewodnika (proste, lecz wymagające uiszczenia odpowiedniej opłaty), albo samodzielne poszukiwania w książkach czy internecie (również proste, lecz wymagające własnego wkładu pracy), czy też słowa niniejszym czytane (najprostsze). Ze słów tych dopiero dowiemy się bowiem, że fasada przedstawia cztery ważne dla City historyczne sceny. Cztery sceny, bo cztery piętra, łatwo zapamiętać (parter pomijamy, bo na parterze nie ma niczego interesującego, przynajmniej dla patrzącego z zewnątrz). Sceny z lat, licząc od góry do dołu, następujących: 1546, 1551, 1660, 1844. Sceny przedstawiające cztery odbyte w tych właśnie latach ważne wizyty królewskie w City. Pierwsza, u samej góry, to ceremonia koronacji Edwarda VI. Druga przedstawia Elżbietę I wraz z jej orszakiem. Panel trzeci wieczni wjazd do Londynu Karola II podczas tego, co przeszło do historii jako Restoration (29 maja 1660). Ostatnia, najniższa, płaskorzeźba przedstawia królową Wiktorię, która przybyła do City, by dokonać uroczystego otwarcia budynku Giełdy (Royal Exchange).

No dobrze, zapyta przytomny czytelnik, ale co to wszystko ma wspólnego ze wspomnianymi na wstępie kurczakami? Niewiele, odpowiem, oprócz drobiowej lokalizacji. Budynek stoi bowiem na ulicy Poultry, co po polsku znaczy „drób”, stoi więc, rzecz można, przy odrobinie wyobraźni, na kurczakach właśnie, co każdy sam sprawdzić może, wysiadając z metra na stacji Bank i udając się z niej w stronę katedry Świętego Pawła, czyli przechodząc króciutką Mansion House Street (sam Mansion House zostawiając po lewej) i wchodząc w jej przedłużenie, w ulicę Drobiową, by wspomniany budynek znaleźć zaraz na początku, po prawej ręce, pod numerem 12.

TEKST – ZE WZGLĘDÓW NIEKONIECZNIE RELIGIJNYCH – NIEKOMPLETNY

W krajach arabskich często i gęsto widuje się domy niedokończone, z charakterystycznymi, klującymi niebo drutami, które kiedyś być

może zalane betonem, staną się ścianami kolejnego piętra budynku. Póki co, taki niedokończony budynek stoi i stoi i nikomu to nie przeszkadza. Dlaczego? Brak pieniędzy, materiałów budowlanych, czy raczej jakiś ukryty za tym zamysł? Sami Arabowie tłumaczą to często względami podatkowymi – niedokończony dom nie jest domem w pełnym tego słowa znaczeniu, nie trzeba więc na razie płacić za niego podatku. Rzadziej spotykałem się z tłumaczeniem względami religijnymi – „Doskonałość jest wyłącznym udziałem Allacha i grzeszne jest wszelkie ludzkie ku niej dążenie”, napisano gdzieś lub powiedziano, dawno temu, może nawet w samym *Koranie*.

Przykład takimi właśnie, sakralnymi, względami podyktowanej niedoskonałości znaleźć można w londyńskim City, przy Aldwych (w miejscu, w którym Aldwych łączy się z idącą od Holborn ulicą Kingsway), w budynku znanym jako Bush House. Budynek ten, zaprojektowany przez amerykańskiego architekta Harveya Corbetta, powstał w roku 1935. Powstał, ale nie do końca – choć na pierwszy rzut oka może się wydawać jak najbardziej skończonym, wypieszczonym wręcz do różnych najdrobniejszych szczegółów obiektem. Bardzo dokładne jednak oględziny pozwalają dostrzec, że jedna z kolumn frontowych różni się nieco od reszty w rzędzie. Brak jej mianowicie kilku zdobień w szczytowym zwieńczeniu, co bezpowrotnie zakłóca harmonię całego budynku. Dlaczego jednak amerykański architekt posłuszny był nakazom *Koranu*? A może był to pomysł właściciela budynku, kimkolwiek by on był – lub nie był? O tym, niestety, nie mam pojęcia, wierny bowiem jestem tej samej zasadzie (choć niekoniecznie z religijnych wynikającej w tym wypadku przekonania), wedle której nie tylko dom, ale i jego opis czy też do niego komentarz, albo w ogóle, tekst wszelki, również nie może być doskonały, musi pozostawać, w jakiejś przynajmniej mierze, niekompletny...

W ZAUŁKU UDŻCA DZICZYNY KOBIETA

W Zaułku Udżca Dżiczyzny kobieta (dziewczyna, dziwczyna) stojąca nago pod wyłączonym prysznicem, trzymająca oburącz przed sobą kurę głową w dół, kura trzepocze skrzydłami, na początku energicznie, potem coraz wolniej i wolniej, aż wszelki ruch całkowicie zamiera, tylko resztki krwi kapie jeszcze na podłogę, pod stopy kobiety, z miejsca, w którym głowa kury łączyła się niegdyś z korpusem, wszystko to w galerii, która swoją nazwę wzięła od ulicy, przy której jest położona, choć kto wie, czy nie było na odwrót, i pełna nazwa

i adres brzmią teraz tak: Galeria Udziec Dżiczyzny, ul. Udziec Dżiczyzny, w Londynie (Haunch of Venison, Haunch of Venison Yard, London W1, w sąsiedztwie stacji metra Bond Street, czynne codziennie, z wyłączeniem niedziel, w różnych godzinach (Mon–Wed & Fri: 10am–6pm; Thur: 10am–7pm; Sat: 10am–5pm), wstęp wolny.

W ALBIONIE BIERZE SIĘ NA LEWO

To prawda, w Wielkiej Brytanii generalnie jeździ się po lewej stronie jezdni. Ale są wyjątki, jak słowo *generalnie* sygnalizuje. Ja przynajmniej znam jeden taki wyjątek, a mianowicie Savoy Hotel przy ulicy Strand w londyńskim City. Do paradnego wejścia do hotelu prowadzi podjazd o nazwie Savoy Court, wyłożony po bokach licznymi tablicami upamiętniającymi świetną historię hotelu, a przedtem Pałacu Savoy – cały łańcuszek wielkich właścicieli tego przybytku, od Henryka III po królową Eleonorę. I to właśnie na tym podjeździe obowiązuje ruch prawostronny, zupełnie jak w reszcie Europy. Obowiązuje, mógłby kto zapytać, ale jak, z jakiej mocy? Ano z mocy uchwały, podjętej przez posłów Izby Gmin brytyjskiego parlamentu. Dlaczego? Nie mam pojęcia. Ale mogę sprawdzić. I kiedyś z pewnością to uczynię.

Dlaczego Anglicy, jakby na przekór całej reszcie Europy, pielęgnują lewostronny ruch? To ciekawe pytanie, na które zaskakująco niewielu ludzi zna odpowiedź. A podobno jest ona bardzo prosta. Wystarczy bowiem, po pierwsze, dysponować odpowiednio głęboką pamięcią, by przypomnieć sobie, że ruch lewostronny był niegdyś rzeczą naturalną i powszechnie obowiązującą, choć może jeszcze nie w czasach młodości króla Edypa, z czego wyniknęły, jak wiadomo, określone konsekwencje. Ruch lewostronny nasuwał się w sposób oczywisty już w takim, powiedzmy, średniowieczu, bo jakże inaczej mieli się miąć rycerze, by nie trącać się zwisającymi im po lewicy mieczami? Po drugie natomiast wystarczy zadać sobie pytanie, kto mógł mieć wystarczającą władzę i pomysłowość, by to naturalne, odwieczne prawo zmienić? A kto w ogóle najwięcej w prawodawstwie namieszał, że użyję takiego kolokwializmu tutaj? Oczywiście Napoleon. Po trzecie wreszcie, wystarczy znowu przypomnieć sobie, że Brytania była jedynym chyba państwem, które Napoleon podbić próbował, lecz na którym odgłosów kroków tego „największego przechodnia dziejów”, jak nazywa go Wierzyński, nigdy nie słyszano.

Napisałem podobno – że podobno odpowiedź jest prosta. Dlaczego podobno? Ano dlatego, że sam nie jestem jej pewny, nie wiem do końca, jak to z tym Napoleonem i ruchem drogowym było, bo słyszałem też inne na ten temat opinie, no i znam też pewien ustęp z pewnej książki, z którego by wynikało – ale zostawmy na chwilę na boku to, co ma wynikać, przytoczmy pierwszej ów ustęp. A wcześniej jeszcze słowo na temat samej książki: Autor: Krystyn Lach-Szyrma. Tytuł: *Anglia i Szkocja. Przypomnienia z podróży roku 1820–1824 odbytej*. Dedykacja: „jaśnie oświeconemu Księciu Konstantemu Czartoryskiemu w dowód uszanowania i wdzięczności”. I wreszcie rzeczony ustęp:

„Są pewne rzeczy u tych wyspiarzy, które tak są znamienne i nie stałe, że mijają jak moda: lecz są także inne, które tak w nich zakorzenione, że zdają się wszystkimi ich postępami kierować. Takimi są porządek i metodyczność w ich sprawach. Na wszystko jest u nich pewna pora: na życie w stolicy, na życie na wsi, na śniadanie, obiad, wizyty, spacer, nawet na kupowanie wstążek.” I tu jeszcze trochę na ten temat, i dopiero kawałek dalej tak: „Ta regularność, którą, jako miałem często sposobność widzieć, dokazuje cudów wewnątrz domów, zaprowadzona jest i zewnątrz. Woźnicy wolno tylko brać się na jedną stronę; a gdyby uchybieniem naraził innego na szkodę, winien mu ją nie tylko wynagrodzić, lecz nadto zapłacić karę pieniężną, że śmiał łamać przyjęty porządek. Chodzący piechotą mają na ulicy także swoją stronę, spotykając się z kim, trzeba się brać na lewą stronę. Przypominam przypadek, który mnie samemu z tej okoliczności wydarzył się. Miałem zwyczaj, którego dotąd nie odstępuję, że mijając się z kim na ulicy, kiedy jedną wezmę stronę, już się jej trzymam i przez to daję czas innemu wziąć się na przeciwną, zamiast tańcowania naprzeciwko siebie menueta. W ciągu pobytu w Edynburgu szedłem jednego dnia za miastem na odludnym wcale miejscu i potkawszy się z majtkiem, trzymałem się mego sposobu omijania się, a że przybruk był wąski i szedłem przy murze, stanąłem przy nim dając majtkowi miejsce, któreby by mnie mógł ominąć. Lecz on stanął także przy murze i tak obydwa, jak gdyby dziwując się nad sobą, wlepiłszy w siebie oczy. Z początku nie wiedziałem, co to miało znaczyć, postanowiłem upór przeprzeć uporem i jeszcze mocniej oparłem się o mur. W końcu majtek odzywa się: »Nie z tej strony panu iść«. Wtedy zrozumiałem, o co szło, i nie chcąc zaprzeczać mu tak słusznego prawa, dałem mu przejść między mną a murem.”

No dobrze, ustęp ustępem, ale co z niego wynika? Zwróćmy uwagę na zawarte w podtytule daty – z podróży roku 1820–1824 odbytej. A więc po Napoleonie już, po jego klęsce (co skądinąd dziwić nie powinno, wcześniej bowiem, za Napoleona i jego wojen, taka podróż nie byłaby chyba możliwa). Jeśli więc Krystyn kilka lat po Napoleonie mówi o tym, że w Polsce to rzecz niesłychana, żeby nie tylko woźnica, ale i pieszy miał swoją stronę do brania się na, to twierdzenie o nowym, napoleońskim porządku w europejskim ruchu drogowym można chyba postawić pod znakiem zapytania?

Patrząc na przejeżdżające lewą stroną ulicy samochody, myślę jeszcze o tym przechodniu Wierzyńskiego, dlaczego niby miałyby być największym? W jakim sensie największym? I że warto przypomnieć sobie na przykład obraz Francisca Goyi zatytułowany *Rozstrzelanie powstańców madryckich 3 maja 1808 roku* albo jakiś inny z cyklu *Okropności wojny*, by nieco bardziej trzeźwym okiem spojrzeć na tego bałwochwalczo w Polsce szczególnie hołubionego kaprała. I że ciekawe też, dlaczego w Polsce właśnie, gdzie niby jest on taki popularny, nie ma ulic ani placów imienia jego, teraz, kiedy nie działa już strzegąca rosyjskich interesów cenzura? To znaczy, może gdzieś tam nawet i są, takie ulice i place, ale na pewno nie ma ich wiele, no i nie są to miejsca znaczące, bo ja, który znam kilka przynajmniej miast polskich, nie znam ani jednego, czy to nie zastanawiające?

A na temat Napoleona w Warszawie udało mi się znaleźć w Internecie taką wypowiedź: „Do 1945 plac przed hotelem Warszawa nosił imię placu Napoleona – dziś pl. Powstańców Warszawy. Obecnie jedyną ulicą Napoleona Bonaparte w Warszawie jest maleńka uliczka w Falenicy, przy granicy miasta z Józefowem, tam, gdzie jak w przysłowiu »diabeł mówi dobranoc«. Wstyd i hańba!” Cóż, najwyraźniej nie wszyscy tak myślą.

Krzysztof Kornacki

AWERS I REWERS. DWIE WIZJE SPOŁECZNEJ HISTORII PRL

W 2003 roku Dariusz Gajewski przeciętnym filmem *Warszawa* wygrał gdyński festiwal. Jeśli do dziś coś pamiętam z tego obrazu, to zagubionego powstańca warszawskiego – z białą-czerwoną opaską snuje się po współczesnej stolicy dotknięty amnezją. Obrazek był oczywiście symboliczny – sugerował brak pamięci historycznej rodzimej kultury (w tym polskiego kina) na początku nowego tysiąclecia. Krótko potem diagnoza ta stało się częściowo przynajmniej nieaktualna: otwarto Muzeum Powstania Warszawskiego, władzę w państwie przejęło PiS, a w rodzimym kinie – PISF¹. To pierwsze legitymizowało swoje rządy poprzez politykę historyczną, ten drugi – rozpoczął finansowanie filmów historycznych. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Już w 2007 roku największym wydarzeniem w kinematografii (częściowo tylko artystycznym) był *Katyń*, w 2008 roku festiwal wygrała *Mała Moskwa* (choć werdykt jury był mocno kontrowersyjny). Apogeum obecności tematyki historycznej na ekranie przypadło na rok 2009². Zwycięzcy gdyńskiego festiwalu – *Rewers* i *Dom zły* – nie musieli już liczyć na taryfę ulgową; oba filmy były po prostu najlepsze i nikt „nie czepiał się” werdyktu. Przy okazji dało się słyszeć zbiorowy oddech ulgi (krytyków, jurorów i publiczności): tematyka historyczna nie została sprowadzona (jak to onegdaj często bywało) do martyrologiczno-hagiograficznego schematu (choć akurat Bugajski zrobił wiele, aby jego *General Nil* nie był „akademią ku czci”).

To bowiem, co łączy tak różne tematycznie i stylistycznie filmy, jak *Rewers* i *Dom zły* (a w tle także *Wszystko co kocham* Jacka Borcucha oraz – słabsze – *Mniejsze zło* Morgensterna, *Operacja Dunaj* Jacka Głomba, *Ile waży koń trojański?* Juliusza Machulskiego), to uspołecznienie historii PRL: chodzi o to, aby częściej, niż to było w przeszłości, zamiast historii Polski prezentować historię Polaków. Jeszcze w połowie lat dziewięćdziesiątych Jerzy Szacki, przy okazji sporu o dziedzictwo PRL, pisał: „Potrzebne są przeto dwie różne historie PRL: historia polityczna, opowiadająca o tym, co działo się z systemem politycznym, i historia społeczna, traktująca o tym, jak żyło społeczeństwo, poddane jego ciśnieniu, ale zajęte nade wszystko swymi »małymi« sprawami. Oczywiście, całkowite rozdzielenie tych

dwóch historii nie jest możliwe. Niezbędne wydaje się jednak podjęcie próby oddzielenia projektu ideologicznego i jego realizacji od rzeczywistego działania społecznego żywiołu. Do tej pory historia PRL to niemal wyłącznie historia polityczna i ideologiczna”³. Od momentu napisania tych słów historiografia w wielu miejscach nadrobiła tę zaległość (dość wspomnieć choćby serię wydawniczą *W krainie PRL*), natomiast kino czyniło to sporadycznie; tak było np. w wypadku *Cwału* Zanussiego (1996 rok), *Kronik domowych* Wosiewicza (1998 rok) czy *Tam i z powrotem* Wójcika z 2001 roku. Symptomatyczne zresztą, że film Wójcika – bardzo solidnie zrealizowany dramat sensacyjny utkany z realiów Polski gomułkowskiej (nieustępujący *Małej Moskwie*) – umknął wtedy uwadze mediów i publiczności.

REWERS, CZYLI AWERS

Rewers jest filmem wielowymiarowym; to cecha dzieł nietuzinkowych. Obraz Borysa Lankosza i Andrzeja Barta stanowi *novum* w zakresie aktywizowania obszarów historycznych do niedawna „uproszczonych”, a ważnych dla historii społecznej. W tym przypadku



Dwie wersje plakatu *Rewersu* w reżyserii Borysa Lankosza

chodzi o dwie kwestie: rodzinę i seks. „Historia polityczna – pisał Szacki, do którego odwołam się po raz ostatni – bywa, w rzeczy samej, nieciągła, historia społeczna – nie. Chyba, że społeczeństwo uległo rozproszaniu lub zagładzie, co u nas, na szczęście, się nie zdarzyło. Zauważmy nadto, że nasze społeczeństwo składa się w niemaliej części z ludzi, przez których biografie nie biegną żadne głębokie cięcia. Ani powstanie PRL nie było dla nich końcem świata, ani jej upadek nie jest jego początkiem. Mogły to być dla nich dramatyczne i obfitujące w konsekwencje przeżycia, ale nie takie przecież, które zrywałyby główne wątki biografii, toczącej się nade wszystko na poziomie życia codziennego, które w pewnym sensie jest zawsze tak samo »normalne«: ludzie rodzą się, bawią, uczą i pracują z większym lub mniejszym powodzeniem, pobierają się, mają dzieci, robią mnóstwo rzeczy, nie uczestnicząc w żadnych wielkich wydarzeniach i myśląc o polityce niezbyt intensywnie nawet wtedy, gdy się ich usilnie do tego namawia. To być może bardzo źle, ale między innymi właśnie dzięki temu są oni społeczeństwem, a nie partią polityczną. Zdrowy instynkt każe im zachować odpowiednie proporcje pomiędzy zainteresowaniem małą historią, w której sami uczestniczą, a wielką historią toczącą się na poziomie państwowym”⁴.

Rewers opowiada o historiach prywatnych, których narracji nie rwą najbardziej nawet dramatyczne wydarzenia polityczne (wojna, stalinizm) – życie trwa, wątek biografii snuje się bez przerwy. Trzy bohaterki (babka, matka i córka) i Arkadek (wnuczek, syn i brat w jednym) stracili wprowadzić męża, dziadka lub ojca, stracili przedwojenną kamienicę i aptekę, ale nie stracili życia i wiary w rodzinę. By to ocalić, by stworzyć przyzwoite warunki bytowe, bohaterowie gotowi są na mimikrę, sięgają po strategię przystosowania, nakładają barwy ochronne. Ich stosunek do nowych porządków jest zresztą różnorodny, uzależniony od metryki – babcia (Anna Polony) ocenia nowy ustrój najbardziej negatywnie; matka (Krystyna Janda) negatywną ocenę równoważy opiniami, w których więcej optymistycznej frazeologii osoby odpowiedzialnej za rodzinę niż prawdziwej wiary. Sabina zaakceptowała kompromis, więcej – wydaje się nawet zadowolona z pełnionej funkcji, choć nie tyle z powodów ideologicznych, co artystycznych (szacunek dla poezji) oraz... erotycznych (nieuświadomiona w pełni fascynacja dyrektorem, jako mężczyzną). Najdalej na współpracę poszedł Arkadek malujący portrety komunistycznym dostojnikom (wyrzuty sumienia zalewa alkoholem; pewnie też na zasadzie kompensacji własnego udziału w socrealistycznej chwalebnej we współczesnej partii filmu malować będzie makabreski). Ko-

biety oceniają jednak zachowanie Arkadka pozytywnie: dzięki niemu mają większe mieszkanie i inne korzyści przysługujące nomenklaturowcom. Ale nie tylko komunistyczny reżim przegrał z walorami życia rodzinnego, także wcześniejszy wojenno-patriotyczny zryw nie wytrzymał ich naporu: tuż przed wybuchem Powstania matka zamknęła Sabinę i Arkadka w piwnicy, ominął ich więc „czas wielkiej rzeźby”,

nie przespali go z „głową ciężką na karabinie”. Pomimo że domownicy zachowują wyraźny dystans wobec zbiorowych uniesień, to nie tracą sympatii zarówno autora, jak i widza. Być może ich postawa Ketmana – neutralizowana rachitycznym oporem (wątek polykanej monety) – nie wystarczyłaby dla ocalenia bohaterów w planie zbiorowych emocji, gdyby nie wszystko to, co zdarzyło się potem – zabójstwo i okoliczności ukrycia ciała funkcjonariusza UB. To wtedy wybucha prywatne powstanie państwa Jankowskich, ich „domowa” wojna z komunizmem, którą wygrywają.

Rewers jest filmem, który ożywia ponadto rzadko podnoszony (a jeśli już, to od niedawna) aspekt społecznej historii PRL; konkretnie zaś – relacje erotyki i polityki. Sabina pragnie komunistów. Pożąda ich dosłownie, czemu twórca daje wyraz już w pierwszej scenie, gdy kobieta świecącymi oczami obserwuje w kinie nagie torsy maszerujących w pochodzie mężczyzn; potem zaś, gdy nieopacznie staje się świadkiem biurowego seksu swojego szefa z sekretarką; lub gdy przed lustrem zadziera krótką spódniczkę łyżwiarki figurowej, w której cały „dział poezji” (same kobiety) został przyodziany na okoliczność pierwszomajowego pochodu; w końcu, gdy pozwala się rozdziewiczyć Bronkowi. Przypadki sercowych i/lub zmysłowych podbojów funkcjonariuszy policji politycznej lub TW znane są już dziś nie tylko historykom (najsłynniejszym było tutaj chyba małżeństwo Pawła Jasienicy). Po temat ten sięga także polskie kino; dość przypomnieć *Rysę*. Film Michała Rosy, po sensacyjnym prologu (tropienie prawdy o mężu, rzekomym TW), podryfował w rejony dramatu psychologicznego, ograniczając się do klinicznego studium choroby psychicznej, jako reakcji bohaterki na (być może jedynie domniemaną) prawdę.



Trzy bohaterki *Rewersu*: babcia (Anna Polony), matka (Krystyna Janda), córka (Agata Buzek), fot. Syrena Films



Ubek Bronisław (Marcin Dorociński) uwodzący Sabinę w *Rewersie*, fot. Syrena Films

I choć *Rysa* wpisała się w strategię „prywatyzacji historii”, to film Lankosza wydaje się ciekawszy: nie odbierając wiarygodności psychologicznym (a właściwie – psychofizycznym) motywacjom bohaterki, otwiera się na wyraźną metaforę władzy jako uwodziciela.

Rewers jest bowiem filmem niecodziennych dla polskiego kina porównań. Kod polityczny rodzimej historii współgra tu z uniwersalnym kodem miłosno-erotycznym. Ubek Bronisław (Marcin Dorociński) to alegoria represywnego systemu politycznego, stosującego jednak – częściowo przynajmniej skuteczne – strategie uwodzenia. Tak było z nowo zainstalowaną władzą ludową – drapowała się w szaty wyzwoliciela (scena uratowania Sabiny), obiecywała troskę nad zniewoloną ojczyznę oraz miłość do jej obywateli. Seks nowej władzy z Polakami pozornie miał znamiona gwałtu, faktycznie zaś, przy całej swojej brutalności, nie spotkał się (jak w filmie) z kategorycznym sprzeciwem. Uwiedzenie nie pozostało jednak bez konsekwencji. Ze związku zrodziło się dziecko; lub innymi słowy: „dziedzic i dziedzictwo”.

W planie fabularnym spółka Lankosz/Bart pokusiła się o dość ryzykowne rozwiązanie – Sabina namówiona przez nestorki urodziła syna ze związku z Bronisławem, choć wcześniej taka myśl przejmowała ją odrazą.

Sądząc po jego (syna) zachowaniu, kochała go bezgranicznie. Ważniejsza jednak od psychologicznej wiarygodności jest tutaj symboliczna „wartość dodana”: po pierwsze – podkreśla ona absolutną dominację (tryumf) relacji macierzyńskich (rodzinnych) nad politycznymi; po drugie – układa się w historiozoficzną metaforę dotyczącą dzisiejszego statusu PRL i oceny jej dziedzictwa. Nie można wyprzeć się Polski Ludowej tak, jak nie można wyprzeć się dziecka zrodzonego z uwiedzenia, nieledwie gwałtu. Nawet jeśli jest on „bękartem diabła” (autorzy delikatnie podrzucają w filmie sataniczny trop: sprawa monety, o której schowku żadna „siła diabelska” nie mogła wiedzieć, a Bronisław wiedział). Także współczesność III RP w *Rewersie* prezentowana jest z wyraźną intencją do uogólnienia. Za czas akcji wybrano Zaduszki (wiadomo jak ważne dla polskiej kultury, w tym także rodzimego kina, by przypomnieć film Konwickiego z 1961 roku pod takim tytułem); tradycję niepodległościową wspomina się dziś oficjalnie (scena na cmentarzu i świeczki w podziemnych kazamatach), tradycję PRL – wstydliwie i pokątnie (świeczka pod „człowiekiem z marmuru” przy najważniejszej budowli PRL – Pałacu Kultury). Tym światelkiem dla budowniczych Polski Ludowej Bart i Lankosz wyraźnie dopominają się także o ich pamięć, a może nawet absolucję.



Akcja *Rewersu* w dwu planach czasowych wymagała żmudnej charakterystyki Agaty Buzek, fot. Syrena Films



Księgowy (Adam Woronowicz), kandydat na męża Sabiny w *Rewersie*, fot. Syrena Films

Novum Rewersu polega także na formalnym opracowaniu tematu, choć poetyka obrazu Barta i Lankosza (bardziej tego drugiego) jest niejednorodna (co trzeba niestety zapisać na minus tej realizacji). We współczesnej partii film przypomina dramat psychologiczny (lub to, co Andrzej Bart nazwał „białą tragedią”, obecnie silniej w scenariuszu, który ukazał się także w formie książkowej), w partii stalinowskiej

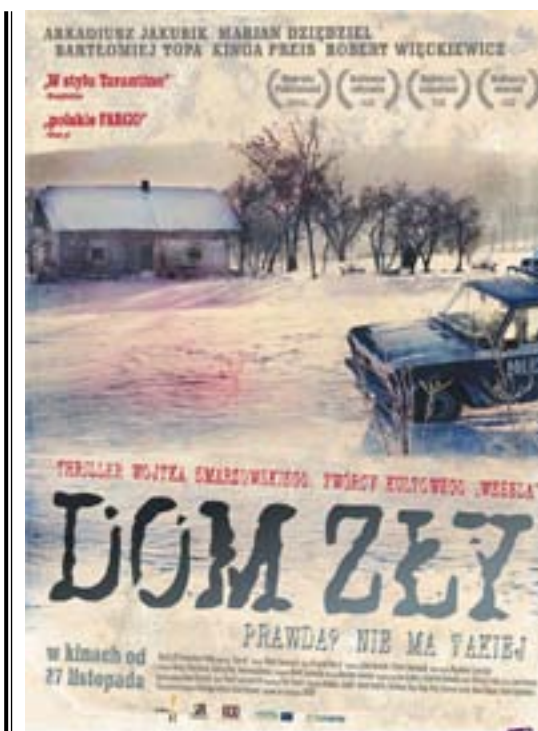
zaś odwołuje się do różnych odmian gatunkowych komedii: komediodramatu, komedii obyczajowej i czarnej. Wbrew temu, co sugerował w wywiadach reżyser, tonacja buffo obecna jest od początku filmu. Oto już w prologu pojawiają się charakterystyczne, lekko przerysowane postaci: panna z dobrego domu (nieśmiała i zakompleksiona okularnica) oraz dwie zabawne w swoich podchodach nestorki rodu próbujące wydać ją za mąż; wśród kandydatów zaś – księgowy (brawurowo zagrany przez Woronowicza). Zarówno starania kobiet, jak i scena z buchalterem sugerują obyczajową farsę mieszczańską. Z kolei postać nowego „wieszczka”, Marcelego Wodzickiego, jest lekko groteskowa. Druga część wątku dziejącego się w przeszłości to już jednak czarna komedia, makabreska: głośno wyrażony żal Sabiny z powodu niedoskonałości trucizny; troskliwie podana umierającemu Bronkowi poduszeczka, rozpuszczanie ubeka w wannie, pakowanie kości denata do futerału od skrzypiec itp. – tego nie można traktować do końca serio. Chwilę potem jednak, we współczesnej partii zaduszkowej, twórca wymusza na nas tonację dramatyczną, kończąc zresztą całość rozdzierającą piosenką Niny Simon.

Rewers może przynieść radość tym, którzy gustują nie tylko w humorze o makabrycznej proveniencji (przyznać trzeba – dziś dość spopularyzowanym), ale także tym, którzy lubują się w pastiszach. Bo bez wątpienia ów pastiszowy charakter przebija z filmu. Wizualna czarno-biała konwencja odsyła do angielskich pierwowzorów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Jest tu także obecna – przez postać Bronka w charakterystycznym prochowcu i okoliczności, w jakich się pojawia – delikatna sugestia *film noir*. Warszawiacy zobaczą w nim pewnie także nawiązania do *Złego* Tyrmanda. Prezentowa-

ny w czołówce powszechnie rozpoznawalny (ale dziś już historyczny) znak zespołu filmowego „Kadr” sugeruje z kolei filiacje z „polską szkołą filmową”, zwłaszcza z kinem Andrzeja Munka, choćby przez groteskowo-komediowe potraktowanie historycznej traumy.

DOM ZŁY, CZYLI REWERS

Dom zły obezwładnia profesjonalizmem filmowej roboty. Mistrzowskie są scenariusz i reżyseria. Mało kto w rodzimym kinie potrafi napisać opowieść, której fabularny schemat byłby tak misterny. Film Smarzowskiego operuje bowiem narracją zwielokrotnioną, zarówno gdy chodzi o równoległe (i treściowo zbieżne) prowadzenie wątków akcji (z synchronizacją dwóch zabójstw – syna Dziabasa w akcji z roku 1978 oraz porucznika z partii o cztery lata późniejszej), jak również budowanie kilku wymiarów akcji w tym samym ujęciu. To ostatnie dotyczy przede wszystkim partii filmu z roku 1982: na pierwszym planie dominują czynności prokuratorskie w ramach wizji lokalnej (przesłuchiwanie Środonia), w tle zaś (często dosłownie w inscenizacji w głąb kadru) dzieją się wydarzenia, których uważna obserwacja pozwala zrekonstruować szczegóły morderstwa porucznika Mroza. To fabularne podwojenie (czy potrojenie) oznacza także konieczność powtórnego obejrzenia filmu. Dopiero przy drugim oglądzie odtworzymy działania prokuratora i policjantów, poczynając od wędrówki do stojącej w oddali „Wołgi”, w której siedzi miejscowy partyjny cadyk. To on najpewniej oznajmi prokuratorowi swoją decyzję: porucznika Mroza trzeba usunąć, zbyt wiele wie o malwersacjach w okolicznym PGR, więc – gotowy jest z tej wiedzy



Plakat *Domu złego* w reżyserii Wojtka Smarzowskiego



Bartłomiej Topa jako Mróz w *Domu złym*, fot. Film It / SPI Int'l Polska

zrobić użytek. Spiskowcy uporzukują więc zabójstwo porucznika. Przyda się do tego dowód rzeczowy, nóż, którym Środoń wyciągał z pośladka zdesperowanego porucznika zaszyty tam esperal. Morderstwa Mroza dokona najprawdopodobniej rosły milicjant Woźniak, a to właśnie on był świadkiem wyciągania preparatu. Tylko na pozór Smarzowski zainscenizował to nieoczekiwane wej-

ście Woźniaka do pokoju w celu stworzenia klimatu zakłopotania, zażenowania widokiem, w którym jeden mężczyzna pochyla się nad tyłkiem drugiego. Ważniejsze, że Woźniak zapamięta nóż w rękę Środonia (ten ostatni zostawi na nim odciski palców). Chwilę później ten sam nóż znajdzie się w piersi Mroza; podejrzenie może paść tylko na jedną osobę – oskarżonego (sfilmowanego zresztą, gdy pochyla się nad ciałem zabitego porucznika). Koncentrując się na pierwszym planie akcji, przeoczyć możemy także działania Woźniaka, który w szafce w sieni szuka pliku z dokumentami (lewymi fakturami) obciążającymi establishment. Obserwując drugi plan, zrozumiemy, skąd nagle złość ubranego po cywilnemu policjanta (tego od paszportów) – najpewniej poinformowano go o planowanym zabójstwie Mroza.

Wielowymiarowość narracji nie objawia się jednak tylko w głębinowej inscenizacji. W czasowej konstrukcji narracji filmu pojawia się kilka flashbacków (krótkich retrospekcji nieuporządkowanych w ciąg chronologiczny i przyczynowo-skutkowy), z których widz może, jeśli chce, wydedukować logikę ukrytych wydarzeń. Dotyczy to przede wszystkim historii siekiery. Obserwując jej losy, można rzeczywiście dojść do wniosku, że Środoń coś kombinował (o co podejrzewa go prokurator). Widzimy bowiem, jak w partii z 1978 roku wchodzi do pokoju Dziabasów i w ciemnościach kilkakrotnie uderza narzędziem. Sądzić można, że rozbija tym sposobem skrytkę w podłodze, by wyciągnąć ukryte tam pieniądze – ale sposób, w jaki dokonuje zamachu siekierą, oraz miejsce, w które trafia (wyższe niż poziom podłogi), pozwalają domniemywać, że zamachnął się na małżeńskie łóżko (stąd pewnie też informacja prokuratora podczas wizji lokalnej o posiekannej przez siekiere pościeli). Środoń nie zamordował przez przypadek – w tym samym czasie Dziabasów nie było w łóżku, zabijali bowiem

w sąsiednim pokoju swojego syna (w mylnym przekonaniu, że mordują zootechnika). Przy takim odczytaniu rozrzuconych w narracji filmu tropów jedno jest jasne – zootechnik był zdolny do morderstwa. W planie moralnym nie okazał się więc lepszy od Dziabasów. To ważne, cały bowiem świat Smarzowskiego – ze skromniami wyjątkami – unurzany jest w moralnym błocie.

W nowatorski sposób reżyser posługuje się także rozdźwiękiem pomiędzy narracją werbalną i obrazową, w tym figurą kłamstwa narracyjnego: często bowiem słowna opowieść bohaterów (Środonia czy Dziabasa) stoi w sprzeczności z tym, co prezentuje nam obraz (tytułem przykładu: Dziabas informuje Środonia o aferze z podpalaniem stodoły, o tym, jak z synem szli – w domyśle „dzielnie” – gasić pożar; tymczasem kamera pokazuje ich pijanych na tle palącej się stodoły). Chciałoby się tutaj dodać: i tak dalej, i tym podobnie, to tylko bowiem część z narracyjnego wyrafinowania filmu. Jest to obraz, w którym informacje o losach bohaterów są ukryte (jak w filmie Michaela Haneke pod tym samym tytułem) i tylko od aktywności widza zależy, ile z nich odkryje, a ile pozostanie tajemnicą. Wyrazy uznania należą się Smarzowskiemu także za reżyserię: opisywaną umiejętność inscenizowania drugich planów oraz świetne prowadzenie aktorów (alkoholowe upojenie to zawsze wyzwanie dla odtwórcy).

Autor *Domu złego*, umieszczając akcję w przeszłości Polski Ludowej, wykreował, chcąc nie chcąc, jej wizję. Dwa plany czasowe akcji filmu tłumaczą się na podstawowym poziomie sensacyjną intrygą: kilka lat musiało pewnie upłynąć, by milicja dotarła do zbiegłego Środonia. Gdy przed ponad dekadą Smarzowski zaczynał (wraz z Łukaszem Kośmickim) pisać scenariusz filmu, o tym drugim wątku narracji (wizji lokalnej) myślał bardzo luźno. Akcja miała koncentrować się głównie wokół jesienno-wieczornego z końca lat siedemdziesiątych⁵. Później dopiero rozbudował wątek śledczy i dodał konkretne daty, jak łatwo zauważyć – daty historycznie nietuzinkowe (1978 i 1982 rok). Ich wy-



Dziabasowie (Kinga Preis i Marian Dziągwał) oraz zootechnik Środoń (Arkadiusz Jakubik) w czasie balangi w *Domu złym*, fot. Film It / SPI Int'l Polska

bór nie pozostaje bez konsekwencji znaczeniowych, gdyż czas zawarty pomiędzy dwoma biegunowymi datami znamionuje niezwykła dynamika procesu historycznego. Czas ten wielu z nas chciałoby pamiętać jako okres zmiany psychospołecznej, wzrostu postawy obywatelskiej, może nawet moralnej modernizacji społeczeństwa. Czy w obrazie Smarzowskiego widać jakkolwiek ewolucję? Czy istnieje różnica pomiędzy wewnętrznym uposażeniem bohaterów w roku 1978 i 1982? Nie ma żadnej; w obu momentach historii to samo: kradzieże, przemoc, brudny seks i wóda (dwie równoległe sceny kolejki po alkohol). Może przyczyn należy szukać w specyfice miejsca, Bieszczad, najdalej oddalonych od centrum? Ale przecież w Mostach w Szczecińskim agresja i społeczna degrengolada były te same. Może w okresie 1978–1982 trwał gdzieś w „Polsce A” czas gromkich słów i ideałów, walki o prawa pracownicze i wolność, ale w świecie Smarzowskiego nie ma po szerszych procesach społecznych ani śladu. Społeczeństwo PRL uległo degrengoladzie, której nic nie cofnie⁶.

Trudno wyciągać dalekosiężne wnioski, mając za materiał porównawczy jedynie dwie kinowe fabuły Smarzowskiego. Wiele jednak wskazuje na to, że pod pozorami diagnoz historycznych (*Dom zły*) i socjologicznych (*Wesele*) kryje się uniwersalna (ahistoryczna) skłonność autora do naturalizmu i turpizmu. Mniej szlachetna interpretacja sugerowałaby zaś także inteligencką ksenofobię. Ale po kolei.

Smarzowski, co widać na pierwszy rzut oka, stosuje w swoim kinie hiperbole. Oba jego długometrażowe filmy kinowe posługują się przesadnią, choć *Dom zły* w stopniu dalece większym. Jest to hiperbolizacja zła, świat obu jego filmów jest monstrualny. Reżyser i scenarzysta w jednej osobie przeszacowuje ludzką biologię („dół materialno-cielesny” w rozumieniu

Bachtina), którą widzi na sposób turpistyczny. Człowiek jest organizmem wydalającym: kał, wymiociny, ślinę, krew i gazy. Ludzie w kinie Smarzowskiego są spotworniali: grube baby, brzydkie mordy, psujące się zęby (lub ich brak eksponowany w szczerym uśmiechu idioty), przygarbieni faceci o twarzach rzezimieszków itp. Jednostka ulega najprymityw-



Środoń pod oknem Dziabaskowej w *Domu złym*, fot. Film It / SPI Int'l Polska

niejszym instynktom seksualnym, które musi zaspokoić natychmiast, bez erotyki (jeśli pod tą ostatnią rozumieć kulturę seksu). Środoń w *Domu złym* bezceremonialnie kwituje romantyczne zaloty Dziabaskowej: „Dałaś mi dupy. Jak masz tak gędzić, to wypierdalaj”, po czym puszcza bąka (podobnie stosunki seksualne wyglądają w *Weselu*). Ludzie są agresywnymi egoistami; rzadko kiedy osiągają pułap świadomości, w dużym stopniu dlatego, że są permanentnie pijani. Jeszcze rzadziej pułap samoświadomości – dlatego drobinami sympatii obdarzamy takie postaci, jak Środoń (narracja pierwszoosobowa spoza kadru w początkowej partii *Domu złego*) czy bohaterów granych (skądinąd znakomicie) przez Mariana Dziędziela, ojca w *Weselu* i Dziabasa w *Domu złym*. Obaj (zrujnowani) patrzą przed siebie niewidzącym wzrokiem, co jest sugestią ich wewnętrznego przebudzenia. „Makbetyczne” dylematy Dziabasa (świadomość fatalnego zbiegu okoliczności i rozlanej rodzinnej krwi) skłaniają go do zniszczenia jawnie absurdałnego świata – zabicia żony (to ona, jak można przypuszczać, namówiła do morderstwa Środonia) oraz samobójstwa.

Dla podkreślenia defetystycznej diagnozy dotyczącej natury ludzkiej wprowadza Smarzowski wątek porażki „jedyne sprawiedliwe”. Zarówno Jana Steca (zootechnika), jak i porucznika Mroza szybko wchłania ludzkie bagno. W spotworniałym świecie pozostaje tylko się upić na umór; działania naprawcze są niemożliwe.

Smarzowski zresztą nie tylko ontologizuje zło poprzez hiperbole, ale delikatnie je umetafizycznia – stąd przestawny szyk w tytule czy długie kończące film ujęcia zdejmowane z kranu, który unosi się ponad światem przedstawionym. Ostatni obraz filmu sugeruje spojrzenie demiurga: narratora, autora, ale może także jakiegoś Absolutu. W *Domu złym* w kierunku kamery (oka Boga?) leci butelka rzucona przez milicjanta. Przypadek, a może wyraz wściekłości na obojętność tego, który patrzy z dystansu (jak u Breughla)? Mimo wszystko te metafizyczne ślady są ledwie sugestiami. Kino Smarzowskiego wyżywa się bowiem głównie w domenie negatywnej antropologii – poprzez konstrukcję postaci i jej zachowania⁷. Ludzki humus



Oszalały Dziabas w *Domu złym*, fot. Film It / SPI Int'l Polska

wspiera zaś dodatkowo scenograficzna oprawa. Już w *Weselu* jedną z najbardziej sugestywnych scen (i jednocześnie zapadających w pamięć) był wybuch szamba obryzgującego weselnych gości. W *Domu złym* (w partii z 1978 roku) jest także samo błoto i ruina (Smarzowski wspominał, że to aura przyczyniła się do tak dużej ilości błota na planie, ale jego nadmiar przywitał z satysfakcją).

Twórca potwierdzał powyższy opis: „Co ja mam zrobić, że brzydota mnie intryguje, a zło wydaje się ciekawsze od dobra?”⁸. Byłbym skłonny uznać tę motywację (każdy może być nihilistą), gdyby nie podejrzenie, że w parze z antropologicznym pesymizmem idzie niechęć do bohatera plebejskiego. Warto bowiem podkreślić, że swoje traktaty *conditio humana* Smarzowski ogranicza do polskiej prowincji i postaci, których trudno określić inteligentnymi, nawet jeśli nominalnie takie zawody pełnią (patrz: prokurator czy sekretarz partyjny). W cytowanym już wywiadzie Smarzowski oznajmiał: „Mógłbym pewnie nakręcić film o inteligencji i bez wódki, żeby udowodnić światu, że potrafię, ale po co?”. Dla mnie taki film byłby bezcenny – może odpędziłbym od siebie podejrzenie, że hiperbolizacja Smarzowskiego jest nie tylko częścią jego antropologicznej wizji, ale także inteligentkiej ksenofobii, niechęci zarówno do ludzi niewykształconych, „nieinteligentów”, jak i zbiorowych aspektów ich działań (za takie uznać można także wydarzenia Sierpnia '80, nad którymi autor, jak wspominałem, mechanicznie przeskakuje, a nawet prowokacyjnie je obśmiewa w zbiorowej scenie stania za wódką). Czy nie jest to postawa klerka, który przyczyn zła szuka jak najdalej od swojej warstwy społecznej?⁹ Z niecierpliwością czekam na następne jego filmy.

Dom zły wpisał się, podobnie jak *Rewers*, w strategię prezentacji społecznie wyprofilowanej historii PRL. W *Rewersie* społeczeństwo – a właściwie to, co w poprzednim systemie zwano „podstawową komórką społeczną” – zwyciężyło z politycznym systemem, bohaterowie zachowali człowieczeństwo. W *Domu złym* komunizm pokonał Polaków; choć w tym drugim przypadku istnieje podejrzenie, że niezależnie od czasu akcji, politycznego systemu i ideologii, degradacja byłaby nieunikniona – u Smarzowskiego bowiem zło w człowieku tkwi bardzo płytko pod skórą.

PRZYPISY

¹ Dla niezorientowanych rozwijam skrót: Polski Instytut Sztuki Filmowej.

² Obok *Katynia* między innymi: *Jutro idziemy do kina*, *Mała Moskwa*, *General Nil*, *Historia Kowalskich*, *Popiełuszko*, *Miasto z morza*, *Mniejsze zło*, *Operacja Dunaj*, *Wszystko, co kocham*, *Rewers*, *Dom zły*, *Ile waży koń trojański?*; ponadto seriale TVP: *Tajemni-*

ca twierdzy szyfrów i *Czas honoru*. Przeszłości PRL dotyczą także *Rysa*, *Tatarak* i *Enen*; pamiętać trzeba również o „aktywnym tle” w postaci amerykańskiego filmu *Dzieci Irenej Sendlerowej*. Miarą zainteresowania tematyką historyczną jest fakt, że nawet komercyjny TVN zaangażował się w produkcję fabularną, produkując film *General. Katastrofa na Gibraltarze* (w ślad za nim zaś 4-odcinkowe widowisko telewizyjne), wcześniej zresztą poprzedzony serią fabularyzowanych dokumentów z cyklu *Wielkie ucieczki*. Na rok 2010 przygotowywane są kolejne filmy z akcją odwołującą się do najnowszej historii Polski.

³ J. Szacki, *Dwie historie*, [w:] *Spór o PRL*, red. M. Fik et al., Kraków 1996, s. 74.

⁴ *Ibidem*, s. 73–74.

⁵ Po pierwszych lekturach przyjaciele Smarzowskiego wskazali na zbieżność fabuły z *Niespodzianką* Karola Huberta Rostworowskiego – stąd obecność tej książki w walizce Środonia.

⁶ Warto przy okazji dostrzec, że Smarzowski uderza w mit Bieszczad, tak ważnych dla Polaków lat osiemdziesiątych. Tam właśnie wielu z nich szukało schronienia przed nocą stanu wojennego.

⁷ I w tym właśnie, a także w absurdalnych prawach rządzących światem przedstawionym oraz estetyką przemocy (a nie w powierzchownych nawiązaniach do *Fargo*) filmy Smarzowskiego bliskie są twórczości braci Coen.

⁸ *Woda, Polska i Dziedziel*. Z Wojciechem Smarzowskim rozmawiał Robert Ziębiński, <http://www.newsweek.pl/artikuly/wydanie/o/woda--polska-i-dziedziel,49149,3> (10.01.2009).

⁹ Warto przypomnieć, że w pierwszym swoim filmie/teatrze telewizyjnym – *Małżowina* z 1998 roku. Marcin Świetlicki, grający postać kryptonimowaną literką „M”, w wyniosłym oddaleniu opisywał zapijaczonych sąsiadów, zżymając się jednocześnie na ich prostaczę bełkot.

Ludwik Filip Czech

TABU i inne wiersze

Tabu

Dzieci są tabu i nie wolno ich krzywdzić
dlatego słusznie piętnuje się podstępnych dewiantów
sadystów uwodzicieli i podobną swolocz

Ale sprawy przybierają obrót kryminalny
gdy taki kilkuletni Mason
wbiega o światło do twojego pokoju
i krzyczy żebyś naprawił komputer
bo jego Czerwony Wojownik ciężko ranny
umiera
a wyczerpał już limit żyć

Zabiłbyś gdybyś wiedział że to legalne
sprzedał na wolnym rynku
oddał do sekty
przebrał za Jelonka Bambi i wywiózł do lasu
w sezonie polowań

Niepotrzebni

Obok ścieżki którą chodzę na grzyby
Jest ogromny dół zwirowiska
Przypomina mi o czystkach etnicznych
Bośni Serbii Hercegowinie

Kiedyś nawet zszedłem na samo dno
ale już nie odważyłem się położyć

Czasami czuję się jednym z grona niepotrzebnych
i pomyślałem że ktoś mógłby skorzystać z okazji

Przewaga

Tak się dziwnie złożyło że przeżyłem kilku przyjaciół
o których myślałem że będą nieśmiertelni

Wymienie tylko trzech –
Zdzisław Augustyn malarz
Wielki Marek Grandt
i Jasiu Jubiler
który na własną śmierć zapracował

Ten ostatni miał zresztą szczęście
bo nie musiał myć nóg
które wylizywał mu jego szorstkowłosey
foksterier

Na ich groby przychodzę z miłością
I dyskretnym poczuciem przewagi

Diagnoza

Wczoraj po raz pierwszy zgubiłem się w lesie
którego meandry znam od dziecka
Jerzy powiedział że to mogą być początki
Alzheimera

W radio bardzo młody urolog
przestrzegał mężczyzn po czterdziestce
że zagraża im przerost gruczołu krokowego

dlatego powinni się domagać
od swojego lekarza pierwszego kontaktu
wkładania palców w odbyt

Jeżeli dodać zator płucny
tętniaka mózgu
i wiek mojej matki
to od dziesięciu lat żyję na wulkanie



Z plaży w morze. Orłowo, fot. Andrzej T. Żak

Adam Wiedemann

UCHO W ROSOLE (2) SACRUM / PROFANUM 2009: PALIMPSEST

Ten stan podekscytowania, jaki towarzyszy festiwalom, występom znanych artystów, podziwiam dzielnych ludzi, którzy to mają mimo upływu lat. Ja sam jestem już widocznie stary, moje komórki zmarniały, wszędzie widzę człowieka zajmującego się swoją robotą, nawet nieważne, czy dla kasy, choć oczywiście tak. Wyborów artystycznych dokonujemy w młodości, później je tylko podtrzymujemy, co prawda coraz umiejętniej, no i mamy z tego pewien coraz to lepszy (duchowy) profit, z którego jednak nie potrafimy już korzystać. Za to, że 18 lat temu przystąpiłem do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Ukraińskiej przy UJ, dostałem niedawno pudełko cygar, z których jedno teraz palę (piszę to, paląc cygaro!) – nie wiem, czy dobrze to na mnie wpływa, ale o takim cygarze 18 lat temu mogłem tylko marzyć (swoją drogą, nic jeszcze wtedy nie paliłem, nawet trawy!). Jak również o tym, że po raz czwarty wystąpi przede mną Reinbert de Leeuw, którego po raz pierwszy widziałem (jak dyryguje) też 18 lat temu, pierwszy raz będąc w Holandii, w tamtejszym Concertgebouw. Widzę go więc i niby słucham (utworów jakiegoś Andersona, który wydaje mi się kompozytorskim bubkiem), a tak naprawdę to przypominam sobie, jak 2 lata temu dyrygował w Warszawie symfonią Mykietyna (wtedy to po raz pierwszy byliśmy z Michałem razem w filharmonii: Michał w diademie; wyglądał jak debil, a ja jak drugi przy nim, ale znosiłem to dzielnie, „no bo czego się nie robi dla miłości?”), jak 5 lat temu dyrygował pieśniami Birtwhistle’a do słów Celana w Lincoln Center, a ja brylowałem przed nowojorskimi dziennikarzami muzycznymi jako dziennikarz muzyczny z Polski, o której nie mieli bladego pojęcia, no i w tym Amsterdamie, kiedy jeszcze był szczupły, żwawy, w kraciastym garniturku, a ja w za luźnych spodniach, chudy jak szczapa i tak nieszczęśliwy, że zakochałem się w synu farmerów (u których pracowałem przy kwiatkach), który zaprosił mnie na dyskotekę, ale z nim nie poszedłem, bo nie miałem golarki (czy są jeszcze możliwe tego typu nieszczęścia?). Siedzę zatem, wspominam, czwarty utwór tymczasem dobiega już końca i trzeba jechać na następny koncert. Specjalny autobus wiezie nas

do Huty, w nim – księżna Ada, która wieki temu, w akademiku, puszczała mi Mahlera z czarnych płyt, jedziemy zatem miło sobie rozmawiając, potem grają Harveya, jest to już stary pan, kulejący, o lasce (przybył na festiwal osobiście), słucham go – wstyd się przyznać – po raz pierwszy w życiu, pierwsze trzy utwory podobają mi się nadzwyczaj, czwarty – najdłuższy i najsławniejszy – wprawia mnie w błogą bezmyślność, mam przy sobie ukochanego chłopaka i niech tak zostanie na zawsze. Huczne oklaski stawiają nas jednak przed kolejnym problemem: specjalny autobus co prawda przywiózł, ale już nie odwozi, i jak tu dostać się do domu (Norymberskiego)? Na szczęście spotykamy wujka Wafę, który przyjechał na ten koncert specjalnie samochodem z Katowic i oferuje się nas podwieźć, acz tylko w granicach swojej trasy, bo rano ma rozprawę. Nie przewidziałem, że nowy węzeł komunikacyjny został już uruchomiony, znienacka znajdujemy się gdzieś prawie za miastem, a ściślej przy ulicy Lublańskiej, gdzie kiedyś mieszkała Maria i miała w pokoju fortepian bez nóg, leżący na boku, na którym mimo wszystko próbowałem coś grać. Jest to w cholerę daleko, znajdujemy jakiś przystanek, ale żaden nocny z niego nie kursuje, idziemy zatem pieszo, z początku nieźle przestraszeni i nawet nie trzymamy się za ręce, bo tereny mijamy dzikie, zarośnięte chaszczami, z których nagle może wyskoczyć jakiś nieokreślony byt. Stopniowo jednak robi się nam weselej, coś tam śpiewamy, coś sobie opowiadamy, znienacka wylania się pensjonat Tadzia Płatka, dyrygenta, i po chwili jesteśmy już w domu (Norymberskim), gdzie padamy na łóżko i śpimy jak zabici.

Następnego dnia trzeba kupić bilety do Słowenii, mnie je kupuje dziweczyna z Willi, a ja mam kupić Michałowi, okazuje się jednak, że dla takich jak on skończyły się zniżki i wychodzi to potwornie drogo, Michał posępnym tonem mówi, że bym nie kupował, i nie kupuję. Obydwu jest nam smutno, że pojedę sam, a on zostanie sam, koncerty są dwóch pomniejszych kompozytorów, spotykamy na nich za to Bogdana, z którym niegdyś zdawaliśmy razem egzamin u Stali, a potem pisaliśmy do siebie długie mejle, kiedy byłem w Iowa. Bogdan (obecnie dziennikarz radiowy, prawdziwy, etatowy) zachwyca się Michałem, niebawem opisze go na swoim blogu jako osobę „anielsko dobroduszną” (he, he!) i „diabelnie inteligentną” (no cóż, ale czy nie jest to przypadkiem źródłem cierpień?), poza tym atakują nas różne panie, różni panowie, wyglądamy na znawców muzyki współczesnej, udzielamy więc wielu wypowiedzi po polsku i po angielsku. Po drugim koncercie (Knussen: jak zwykle szereg krótkich, ładnych, nieodróżnialnych utworów) Bogdan pokazuje nam, skąd odjeżdża-

ją nocne, wracamy więc do domu (Norymberskiego) bez przeszkód, wyjąwszy towarzystwo pijanego osiłka, który natrętnie dopytuje się, jak jest banknot po angielsku, a my w stresie zapominamy, że tak samo, jak po polsku.

Następnego dnia jemy obiad u Pani Stasi, która zyskała aprobatę Michała, odkąd przestał być wegetariańcem. Zamówił sobie gołąbki, ale po pierwszym miał już dosyć, więc drugiego kazał sobie zapakować, budząc tym popłoch pań kelnerów, przekonanych, że chodzi o reklamację. Koncerty tym razem nad wyraz ekscytujące, najpierw Birtwhistle, którego *Cortege* i *Secret Theatre* to jednak znakomitości i zawsze robią wrażenie swoim „scenicznym” upostaciowaniem (niestety, te dobre utwory przetykane były jakimś z dupy aranżacjami muzyki renesansowej), a Atherton wystąpił w tej samej koszuli w wielkie grochy, w której rok temu tak pięknie dyrygował *Głosami* Henzego. W specjalnym autobusie tworzymy już wesołą gromadkę: my, Bogdan, księżna Ada. Przy muzyce Benjamina ponownie wzruszam się, płytę z jego utworami dostałem 11 lat temu, w okresie mojej grabowskiej depresji, do recenzji, i nie zrecenzowałem, w związku z czym mam ją do dziś (zrecenzowane trzeba było odsyłać do redakcji), wtedy to był kompozytor taki sobie, a dziś – jak pięknie się rozwinął! Koncert zaczął się od *Trzech miniatur*, wykonywanych solo przez hinduskiego skrzypka, którego twarz – jak mi się wydawało – emanowała jakimś dojmującym smutkiem. „Co za wyniosły palant” – stwierdził Michał podczas oklasków. (Taka drastyczna różnica zdań? Między nami?) A potem już same rozkosze, *Viola, Viola* na dwie altówki, wydobywające z siebie symfoniczną pełnię brzmienia i zwłaszcza *At First Light*, doskonała muzyczna ekfaza obrazu Turnera. Mała opera o szczurach co prawda trochę za bardzo pod wpływem Andriessena, ale wszelkie braki nadrabiała postawna pani alt w dresowych spodniach na gumce, a pani sopran w balowej sukni swoim dziecinny wdziękiem przypominała Karolinę Olczedajewską, matkę mojej chrześnicy. Tego wieczora mijala druga rocznica naszego z Michałem związku, więc kupiłem mu na stoisku płytę z kameralistyką Olgi Neuwirth, a sobie parę innych, Bogdan też sporo nakupił, więc potem pół nocy spędziliśmy na przegrywaniu tych płyt, Bogdanowych dla nas i naszych dla Bogdana, a potem kochaliśmy się.

No i następny dzień, ostatni. Z rana poszedłem do Bunkra spotkać chłopców od muzyki (Kubę i Veikko), a Michał został w domu, bo chciał pracować. Zjadłem coś u Chińczyka, a on odgrzał sobie spakowanego gołąbka. Kiedy wróciłem do domu (Norymberskiego), wił się z bólu: gołąbek mu zaszkodził. W szufladce w kuchni znalazłem

krople żołądkowe, które trochę pomogły, a wizyta Madzi z buteleczką żołądkowej wódki pomogła tym bardziej, mogliśmy iść na koncert Ferneyhough, który zapowiadał się najciekawiej, ale mnie dręczył już reisefeber, a Michałowi burczało w brzuchu, więc jakoś tak przemknęła mimo nas ta muzyka piękna i trudna. Wróciliśmy do domu (Norymberskiego) na pożegnalne piwko, trochę się całowaliśmy, było to nasze ostatnie czułe pożegnanie. Pobieglem z plecakiem na tramwaj, wsiadłem do pociągu, pociąg ruszył, a mnie ogarnął jakiś potworny smutek, smutek jak gdyby ostateczny, choć skąd niby miałbym wtedy wiedzieć, że jak wrócę, to wszystko już będzie inaczej, że nas już wtedy nie będzie.

ŻYCIE Z ZADĘCIEM (2) NO END STORY

Z „krakowskim gdynianinem” Przemysławem Dyakowskim, od blisko pół wieku wirtuozem gry na saksofonach sopranowym i tenorowym, rozmawia Zbigniew Gach

Zbigniew Gach: Z twoich opowieści można wnioskować, że u progu kariery, czyli w jeszcze w okresie krakowskim, skłaniałeś się zarówno w stronę jazzu, jak i muzyki tanecznej?

Przemek Dyakowski: Wielu jazzmanów na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dorabiało w różnych konfiguracjach estradowych, żeby przeżyć. I to bez żadnego wstrętu. Jeśli chodzi o mnie, to udzielałem się, głównie latem, między innymi w Zespole Gitar Hawajskich, prowadzonym przez iluzjonistę Jana Ławrusiewicza, pseudo RAMIGANI. Solista tej formacji Adam Bylica sprytnie zasuwał na sprowadzonej z zagranicy, profesjonalnej „łyżwie”, wydobywając z niej wszystkie zawijasy typu: auua-auua-uaaa! I nie były to podgrywajki do potańcówek, tylko poważne koncerty. Mieliśmy, jako muzycy, do dyspozycji – obok białych koszul i muszek – służbowe czerwone marynarki, choć niedopasowane rozmiarami, bo rękawy okazywały się albo za krótkie, albo za długie (i wtedy trzeba je było podwijać).

Zbigniew Gach: Ilu was występowało w tym „hawajskim” ansamblu?

Przemek Dyakowski: Chyba z sześciu. A jako wokalistki stawały przed mikrofonem na przemian Hanka Konieczna lub Danka Rinn, obie krakowianki. Jeździliśmy po miasteczkach i wsiach Małopolski, dając koncerty albo w tak zwanych klubokawiarniach, albo w remizach strażackich. Któregoś razu przyszło nam grać nawet w stodole, przy czym dwa samochody – przez otwarte wrota – dawały oświetlenie na scenę zbitą z nieheblowanych desek.

Zbigniew Gach: Co szczególnie pozostało ci w pamięci z tamtego barwnego okresu?

Przemek Dyakowski: Rok 1960 i pracowite wakacje w Tęgoborzu nad Jeziorem Rożnowskim, gdzie grałem do tańca w zespole używającym

szylidu Piwnicy pod Baranami, a mieszkającym z ratownikami obok stancyi żeglarskiej. Któregoś razu przyjechał i posłuchał naszego występu znany kompozytor Jerzy Abratowski, prywatnie mąż wschodzącej gwiazdy estrady, młodziutkiej piosenkarki Ludmiły Jakubczak (w 1960 roku wylansowała między innymi słynny przebój *Gdy mi ciebie zabraknie*, ze słowami Kazimierza Winklera, ale rok później zginęła w wypadku samochodowym, mając ledwie 22 lata). Zaangażował nas do kilku koncertów, toteż zagraliśmy wspólnie z nim, jako pianistą, w Krynicy Górskiej, Starym Sączu, Nowym Sączu, Piwnicznej i Żegiestowie. W ten sposób zarobiliśmy dodatkową forszę, ale krótko mogliśmy się nią cieszyć.

Zbigniew Gach: Urząd podatkowy?

Przemek Dyakowski: Przymusowa ściepa.

Zbigniew Gach: ???

Przemek Dyakowski: Gdy po tygodniu, nieźle umęczeni, wróciliśmy w nocy do stancyi w Tęgoborzu, gamoń kontrabasista, zamiast od razu znaleźć kąt dla swojego wielkiego instrumentu po wyjęciu z nyski, położył go na trawie. Minutę później kierowca nyski, cofając po ciemku, z impetem wjechał na kontrabas, który przerobił na zapalki. Cóż było robić, musieliśmy się solidarnie zrzucić na nowe pudło.

Zbigniew Gach: Terenowe objazdy koncertowe zdarzały się jedynie w okresach letnich?

Przemek Dyakowski: Nie tylko. Równie ciekawie bywało np. w karnawale, gdy Estrada Krakowska zapewniała zespołowi przejazd „stonką” z piecykiem-kozą stojącym pomiędzy siedzeniami (rura oddymiająca sterczała przez dach).

Zbigniew Gach: Czym była „stonka”?

Przemek Dyakowski: Produkowanym w Jelczu tak zwanym autobusem zastępczym, czyli kabiną do przewozu osób na podwoziu samochodu ciężarowego STAR (kilkanaście lat później zbliżony patent, ale produkowany już w Osinach pod Częstochową, otrzymał nazwę osinobusu).

Zbigniew Gach: Skąd skojarzenie ze stonką?

Przemek Dyakowski: Zewnętrzne poszycie kabiny pasażerskiej było wykonane z blachy, a boczne listwy odbojowe – z drewna. Dwukolorowe malowanie tych elementów kojarzyło się z popularnym w tamtych czasach pasiastym szkodnikiem.

Zbigniew Gach: Mnie by się bardziej kojarzyło z warchlakiem, czyli z młodziutkim dzikiem w „piżamce”.

Przemek Dyakowski: Warchlak nie był takim ulubieńcem ówczesnej komunistycznej propagandy, jak stonka – rzekomo podrzucana do Polski na spadochronach przez Amerykanów, żeby szkodziła nadwiślańskim ziemniakom. Na szczęście, naród potrafił ten idiotyzm wychwycić i odpowiednio wydrwić.

Zbigniew Gach: Wróćmy do zimowych przejazdów. Ktoś mi mówił, że użyczano muzykom również obszernych służbowych kozuchów?

Przemek Dyakowski: Jak najbardziej. Bo w tamtych czasach, gdy temperatura od grudnia do lutego całymi tygodniami trzymała się w okolicach minus 10–15 stopni, a śniegi też bywały okrutne, człowiek musiał się opatulać po czubek nosa.

Zbigniew Gach: Co z instrumentem?

Przemek Dyakowski: Wiadomo, że na wychłodzonym saksofonie trudno dobrze zagrać, dlatego przed koncertem starałem się go zawsze rozmasować i przedmuchać ciepłym oddechem.

Zbigniew Gach: Saksofon, jako instrument metalowy, chyba nie trudno rozgrzać?

Przemek Dyakowski: Metalowy? Owszem. Ale należący do instrumentów dętych drewnianych.

Zbigniew Gach: Przecież gołym okiem widać, że korpus ma wykonany z blachy!

Przemek Dyakowski: Główny element, z powodu którego saksofon zaliczamy do grupy dętych instrumentów drewnianych, to stroik. Czyli sam instrument może być zrobiony z dowolnego materiału, również z metalu lub tworzywa sztucznego, ale jeśli ma drewniany stroik, uznawany jest za drewniany.

Zbigniew Gach: Czym jest stroik?

Przemek Dyakowski: Płaskim kawałeczkiem bambusa z gatunku *Arundo donax*. Stroik przykręca się w ustniku, żeby odpowiednio rozwibrowywał strumień przepływającego powietrza. Podobne zjawisko zachodzi w innych instrumentach drewnianych, jak obój, klarnet czy fagot. Typowy stroik saksofonowy, choć wygląda jak niepozorna drewniana szczapka, jest elementem dokładnie wyprofilowanym, toteż wyróżnia się w nim charakterystyczne elementy, np.:

przyszwę z jęczyzkiem, podstawę, ładę, nakrój, piętke. Rozumny saksofonista przechowuje zapasowe stroiki w specjalnym opakowaniu i utrzymuje w idealnej czystości.

Zbigniew Gach: Gdzie się kupuje stroiki?

Przemek Dyakowski: Najważniejsze wytwórnie, jak Rico czy Vanden, mają tropikalne plantacje bambusów, a rozsyłają swoje wyroby, w wielu odmianach, dosłownie po całym świecie. W Polsce także można je obecnie dostać bez większego problemu, w sklepach muzycznych.

Zbigniew Gach: Ale przed półwieczem...?

Przemek Dyakowski: Zamawiało się takie rzeczy u szczęśliwców jeżdżących za granicę. Choćby u muzyków grających na transatlantyku „Batory”, który zwykle raz w miesiącu przycumowywał w Gdyni, by po niedługim czasie odbyć kolejny rejs do Ameryki.

Zbigniew Gach: Czy zaobserwowałeś u siebie kiedykolwiek taki moment gry na saksofonie, że mogłeś powiedzieć: jestem wreszcie doskonały?

Przemek Dyakowski: Nie. Muzyk rozwija się przez całe życie i wciąż powinien pracować nad udoskonalaniem swojego wykonawstwa.



Muzycy-szczęściarze w latach sześćdziesiątych grali na transatlantyku „Batory”, fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

W dodatku im dalej w czas, tym więcej trzeba ćwiczyć, bo aparat ruchowy i system oddechowy stają się mniej sprawne. Czyli... *no end story* (niekończąca się historia). Gdy instrumentalistę dopadnie choroba i przez tydzień leży bez treningu, to na pierwszej próbie po rekonwalescencji mogą już wyjść na jaw efekty takiego pauzowania. I kolega saksofonista na pewno je wysłyszy.

Zbigniew Gach: Ponoć miłośnicy saksofonu potrafią kwadransami rozprawiać o jego życiu wewnętrznym.

Przemek Dyakowski: Bo każdy saksofon ma oczywiście swój charakter, czyli jest trochę inny od pozostałych. Obecnie bardzo poszukiwane są egzemplarze francuskie i amerykańskie z lat trzydziestych i czterdziestych ubiegłego wieku, które wykonywano jeszcze ręcznie w manufakturach, przy użyciu dobrej blachy, młotka, kowadła i płomieni.

Zbigniew Gach: Jaka musiała być ta blacha?

Przemek Dyakowski: Najlepsze instrumenty powstawały z dźwięcznych stopów, których skład okazuje się równie ważny, jak odpowiednie drewno w instrumentach strunowych. Rodzaje metali oraz ich ściśle proporcje to tajemnica firmy. Na przykład świetne saksofony francuskiego Selmera skończyły się w latach sześćdziesiątych minionego wieku, gdy spłonęła stara fabryka i jednocześnie zmarł jedyny człowiek znający recepturę dawnej blachy (prawdopodobnie z odpowiednią domieszką srebra). Co prawda, Selmer się odbudował i nadal produkuje saksofony, ale one już nie brzmią tak wspaniale, jak tamte starsze. Poza tym, dziś w dużej mierze praktykuje się robotę taśmową, skomputeryzowaną, za pomocą robotów. Podobnie jak w firmie Yamaha, która wytwarza instrumenty perfekcyjnie dopracowane technicznie, czyli łatwe w obsłudze, ale... wydające zbyt „płaskie” dźwięki. Tymczasem w instrumencie potrzebny jest i dobry *sound* (głos), i *soul* (dusza).

Zbigniew Gach: A jeszcze odrębną sprawę stanowi ponoć odpowiednie rozegranie?

Przemek Dyakowski: Wszystko się zgadza. Saksofon-prawiczek jest jakby zatrzaśnięty, niepewny swoich możliwości, dlatego trzeba go traktować z delikatnością, wprowadzając umiejętnie i stopniowo w piękny świat rezonansów i czystej harmonii.

Zbigniew Gach: Niemniej – starsze egzemplarze, znające życie, schrypnięte od grywania po nocnych klubach, pełnych dymu i szemranego towarzystwa, też miewają intrygujące brzmienie.

Przemek Dyakowski: Bo kolejne doświadczenia nadają ich dźwiękom pewnej zadry i chropowatości, a jednocześnie wydobywają treści bogatsze, szersze, bardziej okrągłe, z odzywającymi się czasem alikwotami...

Zbigniew Gach: Czym są alikwoty?

Przemek Dyakowski: Inaczej mówiąc, tak zwanymi przydźwiękami albo przytonami, będącymi wielokrotnościami podstawowej częstotliwości dźwięku, odczuwanymi przez słuchaczy również jako dodatkowe wibracje.

Zbigniew Gach: Twój sterany przez wieloletnie używanie saksofon tenorowy wygląda na taki, któremu udają się podobne sztuczki.

Przemek Dyakowski: Bo to bardzo udany egzemplarz amerykańskiej firmy Conn, model Lady face z lat czterdziestych (na korpusie widnieje ręcznie grawerowana główka kobieca w pięciokątnej ramce). Kiedyś miał złoty kolor, ale teraz w większości miejsc pozostały jedynie wytarte plamy po lakierze. Jednak to nie przeszkadza w graniu i brzmieniu.

Zbigniew Gach: A kiedy wiadomo, że saksofon zaczyna chorować?

Przemek Dyakowski: Najmniejsze odkształcenie mechaniczne może sprawić, że korpus wymaga remontu. Ponadto w mechanizmie klapkowym znajdują się skórzane podkładki, a skóra ma określony czas trwałości. Jeśli stwardnieje, saksofon zaczyna być nieszczelny i wówczas daje się na nim grać tylko z ogromnym wysiłkiem.

Zbigniew Gach: Czyli te podkładki należy czymś smarować?

Przemek Dyakowski: Nie, po prostu trzeba wymieniać.

Zbigniew Gach: Jak się je przytwierdza?

Przemek Dyakowski: Zwykle na klej typu „Kropelka”. Choć najlepiej to robić na podgrzany szelak, bo wtedy skóra od razu odpowiednio się układa.

Zbigniew Gach: Czym jest szelak?

Przemek Dyakowski: Wydzielina z owadów zwanych czerwcami, żyjących w Indiach, na drzewach szelakowych.

Zbigniew Gach: Czy w saksofonie istnieje jakakolwiek możliwość zmiany stroju?

Przemek Dyakowski: Tak. Robi się to ustnikiem, przesuwając go minimalnie w przód lub w tył i tym sposobem wydłużając albo skracać słup drgającego powietrza.

Zbigniew Gach: Rozgadaliśmy się o saksofonie jako nietuzinkowym instrumencie, ale pozwól, że wrócimy jeszcze do progu lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, czyli do czasów, gdy coraz wyraźniej ciążyłeś w stronę jazzu.

Przemek Dyakowski: W Zespole Piwnicy pod Baranami stale grywałem z kilkoma kolegami standardy *dixielandowe*.

Zbigniew Gach: Czym jest *dixieland*?

Przemek Dyakowski: W II połowie XVIII wieku termin ten oznaczał stany USA położone na południe od linii Masona-Dixona. Później, za czasów prohibicji (1920–1933), gdy czarni muzycy na parowcach pływających przez 10 stanów po Missisipi grywali jazz nowoorleański, muzyka ta zaczęła się prześlancowywać na północ, gdzie podchwycili ją także biali Amerykanie. Ich sposób interpretowania jazzu tradycyjnego – gładszy w aranżacjach i oparty w mniejszym stopniu na improwizacjach – nazwano przekornie *dixielandem*.

Zbigniew Gach: A w jaki sposób rozbłyskiwał zespół *dixielandowy* rodem z krakowskiej Piwnicy pod Baranami?

Przemek Dyakowski: Przed kabaretami i po kabaretach – pod muzyczną dyрекcją Zygmunta Koniecznego. Przed kabaretami ogłuszałyśmy zbierającą się publiczność, żeby ją rozkojarzyć i rozmiękczyć, bo nasze przedstawienia nigdy nie zaczynały się punktualnie. Z kolei po kabarecie dawaliśmy czadu dla zasady, co się wszystkim strasznie podobało.

Zbigniew Gach: Wieść gminna niesie, że właśnie ty odkryłeś dla Piwnicy w 1961 roku dwudziestoletnią wówczas Ewę Demarczyk?

Przemek Dyakowski: Ewy nie należało odkrywać, a tylko dać jej szansę wypłynięcia na szersze wody, ponieważ cała była muzyką. Kiedy ją usłyszałem po raz pierwszy, jako solistkę kabaretu studenckiego Cyrulik, od razu zrozumiałem, że to postać zjawiskowa, w dodatku o oryginalnej urodzie i ze świetną dykcją. Niedługo potem uprosiłem Piotra Skrzyneckiego i Zygmunta Koniecznego, żeby obejrzeni jej występ. Oczarowała ich, a jednocześnie bez większych oporów zgodziła się przejść do Piwnicy pod Baranami. Wtedy Zygmunt w ciągu jednej nocy napisał dla niej *Karuzelę z madonnami* do wiersza Mirona Bia-

łoszewskiego, który mu podsunął Piotr – i od tej piosenki zaczęły się wielkie triumfy nowej gwiazdy, krakowianki rodem z Kleparza.

Zbigniew Gach: Jaką była osobowością?

Przemek Dyakowski: Cenila dyscyplinę twórczą. Znała swoją wartość, ale nie zadzierała nosa. Tyle że jej wielomówność czasem wciskała rozmówcę w fotel. Perfekcjonistka, choć jednocześnie w stosunku do ludzi z Piwnicy bardzo koleżeńska. Zdarzyło się nawet, w początkowym okresie współpracy, że pojechała z nami na chałturę do Zakopanego, gdzie zastąpiła chorą koleżankę jako refrenistka.

Zbigniew Gach: Czyli śpiewała w chórk?

Przemek Dyakowski: Nie, nie... Refrenistką nazywało się podówczas piosenkarkę w lokalu rozrywkowym. Czyli gdy graliśmy do tańca, ona rytmicznie wykonywała główną linię melodyczną z tekstem. (W Ameryce tak zaczynał swą karierę choćby Frank Sinatra.)

Zbigniew Gach: A jaka muzyka dominowała wtedy w polskim radiu?

Przemek Dyakowski: Gdy minął okres pieśni stalinowskich, zaczęto nadawać rodzime przeboje – zresztą bardzo przyjemne dla ucha, np. Zylskiej, Koterbskiej, Fogga, Chóru Czejanda (kwartet rewelersów) czy orkiestry Cajmera. Od wiosny 1962 roku rozpoczął działalność Program III Polskiego Radia, którego audycje były skierowane przede wszystkim do ludzi młodych, toteż wśród gatunków muzycznych prezentowanych na jego antenie szerzej prezentowano jazz, polski big bit i zagraniczny rock'n'roll. Tym sposobem zaczęła spadać ranga słuchanego przedtem namiętnie przez polską młodzież Radia Luxembourg – i o to właśnie chodziło socjalistycznym propagandystom.

Zbigniew Gach: *Á propos* socjalistycznych praktyk, czy pamiętasz jakieś zatargi estradowców z cenzurą?

Przemek Dyakowski: Lini melodycznych raczej nie cenzurowano, a ja byłem tylko muzykiem. Niemniej co rusz słyszałem o przepychankach tekściarzy z cenzorami, którzy wszędzie dopatrywali się dwuznaczności. Owszem, zdarzały się sztuczki językowe, lecz bywało i tak, że autor nawet nie przypuszczał, iż napisał coś, co ponoć miało drugie, podejrzane dno. Jedyny plus ówczesnego działania cenzury widziałbym w eliminowaniu tekstów wulgarnych czy obscenicznych, które w tej chwili są normą na koncertach, a nawet w radiu i telewizji.

zji. Najlepiej z omijaniem zakazów cenzorskich radziła sobie publiczność w knajpach, śpiewając – bardziej lub mniej donośnie (zależnie od ilości wchłoniętego alkoholu) – rozmaite rymowanki, podkładane w miejsce oficjalnych słów jakiegoś przeboju. W II połowie lat pięćdziesiątych (a więc już po śmierci Stalina) szczególną popularność zyskał dwuwiersz, którego autorstwo i puszczanie w obieg przypisuje się pisarzowi Markowi Hłasce:

Niech żyje nam towarzysz Stalin,
co usta słodsze miał od malin!

Wkrótce dołożono do powyższej kwestii następną, mianowicie:

Niech żyje nam towarzysz Bierut –
obrońca starców, wdów i sierót!

Zbigniew Gach: W tamtych czasach powtarzano ponoć w zaufanych grupach, że zacznie działać się lepiej, gdy Rosjanie słowo *bierut* zamienią na *dajut*.

Przemek Dyakowski: Ha, haaa..., no właśnie! Tak sobie drwili rodacy, żeby zachować równowagę umysłową, od gór po Bałtyk.

Zbigniew Gach: Jeśli już o Bałtyku mowa, to kiedy ostatecznie zjechałeś do Trójmiasta, by tutaj zakotwiczyć?

Przemek Dyakowski: Latem 1964 roku. Bo przecież od października 1963 roku byłem żonaty z gdynianką Ludmiłą i wypadało mi się trochę ustatkować.

Zbigniew Gach: Czekala na ciebie jakaś praca?

Przemek Dyakowski:

W sensie etatowym – nie. Ale muzycy estradowi rzadko dbają o stałe zabezpieczenie, szczególnie za młodu. U progu lat sześćdziesiątych, podczas krakowskich Juwenaliów, poznałem bardzo fajnych, profesjonalnych muzyków z Trójmiasta. Tę sympatyczną znajomość odświeżyłem podczas



Rok 1966. Od lewej: Bohdan Jopyk, Marek Tarnowski, Wiesław Damiński, Stanisław Cieślak, Przemysław Dyakowski, fot. Roman Lewicki, z archiwum Przemka Dyakowskiego

pierwszej edycji festiwalu studenckiego Jazz nad Odrą (1964 rok), a byli to konkretnie muzycy działający przy gdańskim klubie studenckim Żak. Podczas wspólnego wrocławskiego *jam session*, kiedy na przemian graliśmy i ucztowaliśmy, zapytałem o możliwość zainstalowania się i zarobkowania w Trójmieście. Usłyszałem: „przyjeżdżaj, na pewno coś ci załatwimy”. I dotrzyмали słowa.

Zbigniew Gach: Czyli?

Przemek Dyakowski: Kiedy zjawilem się nad morzem, od razu trafiłem do tygła działających przy Żaku teatrzyków, jak Cyrk Rodziny Afanasjeff „Tralabomba” i kabaret To Tu, w którym brylował ze swoimi prześmiewczymi balladami Tadeusz Chyła. Z tym drugim ugrupowaniem odbyłem wiele występów. Dawaliśmy przedstawienia trzy razy w tygodniu i regularnie otrzymywaliśmy honoraria. Związałem się też z zespołem wibrafonisty Ryszarda Kruzy, grając na wieczorach pod ogólną nazwą *Jazz do tańca*. Na pianinie udzielał się wtedy Andrzej Głowiński, na kontrabasie – Wiesiek Damiński, na perkusji – Bohdan Jopyk, a jako multiinstrumentalista – Włodzimierz Nahorny, który ukończył studia muzyczne w zakresie klarnetu i fortepianu, ale sposobił się też do grania na saksofonie i flecie. W ogóle Żak był wtedy niczym barwna, rozedrgana wyspa w gomułkowskim oceanie szarości. Ludzie walili drzwiami i oknami na wszystkie imprezy, bez względu na ich jakość. A muzyków przewijało się tylu, że musieli staczać boje o miejsca do prób.

Zbigniew Gach: Gdzie w tamtym okresie przemieszkowałeś?

Przemek Dyakowski: Bardzo różnie. Przy dużej liczbie koncertów, a także przy nieuchronnych libacjach, czasem nie opłacało mi się wracać w nocy z Gdańska do Gdyni, zasypiałem więc na materacu rozłożonym w kącie Żaka. Ale generalnie tułałem się po wynajmowanych pokojach w przeróżnych punktach Trójmiasta. Aż do grudnia 1965 roku, gdy moja żona otrzymała ze swojej spółdzielni mieszkaniowej kawalerkę w tak zwanej szafie nad Roxaną.

Zbigniew Gach: Czym była Roxana?

Przemek Dyakowski: Znaną w całej Gdyni kawiarnią przy Skwerze Kościuszki 13 (obecnie funkcjonuje tu Bank Śląski), gdzie pojawiali się zarówno artyści, jak i towarzystwo z półświatka.

Zbigniew Gach: Czyli wiodło ci się coraz lepiej?

Przemek Dyakowski: Po okresie raczej biedniackim, gdy – mieszkając pociągówką, w większych grupach – posilaliśmy się często jedynie makaronem i cukrem, zaświeciło słońce wreszcie i dla nas. Co prawda, jako niezależny saksofonista, wciąż nie chciałem się z nikim wiązać etatowo, natomiast chętnie brałem zastępstwa w knajpach dancingowych, dostając pieniądze i od tego, kogo zastępowałem, i z tak zwanych boków, czyli z koncertów życzeń. Bo muzyk na dancingu grał pod rząd trzy utwory, a potem należał mu się dziesięciominutowy odpoczynek. Była też przewidziana w ramach kontraktu półgodzinna przerwa kolacyjna (jedzenie za darmo). I wszyscy to szanowali. Natomiast głów-



Gdynia, ul. 10 Lutego w latach sześćdziesiątych XX wieku, fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

ny zarobek zaczynał się po skończeniu zasadniczych godzin pracy, gdy zabawa trwała w najlepsze, a orkiestra decydowała się zostać do dyspozycji publiczności. Wtedy zdarzały się grania nawet do 6. rano, przy czym każdy zamawiany utwór musiał jakiś klient opłacić ekstra. Niemal obowiązkowy numer stanowiły *Czerwone maki na Monte Cassino*, ale tego kawałka się nie tańczyło (był zresztą wówczas pieśnią na poły legalną).

Zbigniew Gach: Co jeszcze utkwiło ci w pamięci z pierwszego okresu trójmiejskiego?

Przemek Dyakowski: Pod szyldem zespołu Ryszarda Kruzy otrzymaliśmy wiosną 1965 roku – za pośrednictwem Polskiej Agencji Artystycznej „Pagart” – możliwość wyjazdu na półroczne granie zarobkowe w dwóch czechosłowackich hotelach, najpierw w Ostrawie, a potem w Tatrzańskej Łomnicy. Jako pianista i saksofonista występowałem z nami Włodek Nahorny, który jednocześnie szykował się do udziału w wiedeńskim konkursie jazzowym, gdzie otrzymał potem (w 1966 roku) nagrodę z rąk samego Duke’a Ellingtona. Pamiętam,

że chcąc się dobrze przygotować do tej austriackiej imprezy, wynalazł w ostravskim Grand Hotelu „Praha” nieczynną budkę telefoniczną i tam – za zgodą kierownictwa – codziennie po kilka godzin ćwiczył na saksofonie, dochodząc do niebywalej sprawności technicznej i klezmerskiej wszechstronności.

Zbigniew Gach: Co dokładnie oznacza słowo *klezmer*?

Przemek Dyakowski: Określenie pochodzi z języka jidysz, a wzięło się jeszcze z okresu przedwojennego, kiedy wielu zdolnych muzyków miało korzenie żydowskie. Klezmer to wykonawca potrafiący zagrać – na życzenie klienta – i fragment muzyki klasycznej, i ludowej, i każdy aktualny szlagier. Zresztą, słowo *szlagier* (czyli: przebój) też pochodzi z jidysz.

LICZY SIĘ NIE TYLKO SHOW

Z Wojciechem Kościelniakiem o jego najnowszym gdyńskim spektaklu – *Lalce* Bolesława Prusa – i przygodzie z musicaliem rozmawia Piotr Sobierski

Piotr Sobierski: Nie mogę zacząć od innego pytania jak: skąd Wojciech Kościelniak wziął się w Gdyni? Patrząc na biografię, widać, że Wrocław to pana stałe miejsca pracy i życia.

Wojciech Kościelniak: Do Gdyni trafiłem przez przypadek. Kiedy zacząłem zajmować się spektaklami muzycznymi, zaproponowano mi prowadzenie warsztatów na Famie w Świnoujściu. Tam wspólnie między innymi z Jarkiem Stańkiem i Grzesiem Policińskim przygotowaliśmy spektakle, a nawet bardziej koncerty, które miały być kończącym akcentem festiwalu. Ponieważ to się spodobało, koncerty transmitowano w telewizji. Jedną z transmisji oglądał Maciej Korwin. Zadzwonił do mnie – „widzę, że fajnie współpracuje pan z młodymi ludźmi. Zapraszam do wyreżyserowania u mnie spektaklu”. Mało kto wie, że wówczas, w 1998 roku, Korwin zaproponował mi posadę dyrektora artystycznego Teatru Muzycznego. Odmówiłem, bo nie wyobrażałem sobie wyprowadzki z Wrocławia. Ale było to ogromne wyróżnienie.

Piotr Sobierski: Nim jednak o Gdyni i tutejszych pańskich dokonaniach, chciałbym zacząć trochę od początków w świecie teatru. Zaczynał pan jako aktor teatru dramatycznego. Współpracował pan między innymi z Krystianem Lupą. Skąd więc musical? I do tego już od ponad 15 lat reżyseria.

Wojciech Kościelniak: Jest tak, że bycie w teatrze podzieliłbym na dwa etapy. Pierwszy to aktorski. Nie umiałem się odnaleźć w pracy z zespołem. Czułem, że kłamię na scenie, i nie byłem zadowolony z tego, jak gram. Widziałem znakomitych kolegów, sugestywnych i ostrych. Bywały spotkania z reżyserami, które nie były dla mnie ważne, brałem udział w mało udanych spektaklach i to mnie zniechęciło. Już wówczas na słowo reżyseria serce biło mi mocniej. Byłem wykładowcą szkoły aktorskiej, gdzie zajmowałem się piosenką aktorską. Próbowałem jednocześnie zdawać na reżyserię, ale zawsze terminy egzaminów kolidowały mi z aktorskimi obowiązkami. W międzyczasie we Wrocławiu w Teatrze Polskim zmieniła się dyrekcja. Jacek Wek-

sler sprowadził Wajdę, Lupe, Grzegorzewskiego i Jarockiego. Miałem szczęście z nimi obcować, to magnetyczni twórcy. Nauczyłem się od nich ważnej rzeczy, że należy znaleźć własną drogę. Ich teatry są diametralnie różne, ale łączy ich pasja do teatru. I u mnie to się obudziło. Wiedziałem, że pękne, jeżeli nie zacznę działać w kierunku reżyserii. Zrobiłem ze studentami dwa egzaminy, spektakle śpiewane. Były na tyle udane, że zrobiło się o nich głośno. Z tego powodu Romek Kołakowski, ówczesny dyrektor Przeglądu Piosenki Aktorskiej, zaproponował mi reżyserię recitalu Konrada Imieli *Rybi Puzon*, który po części zresztą był moim pomysłem. To była wybuchowa robota, świetne recenzje, frunęliśmy podczas tej pracy. Rok później robiłem koncert finałowy i dostałem nagrodę Bardiniego. W kapitule sławy, jak Janda, Osiecka... Oni mnie namaścili. Dostałem nagrodę, propozycje z telewizji i innych teatrów.

Piotr Sobierski: Wszystkie dotyczyły teatru muzycznego?

Wojciech Kościelniak: Tak, nikt mi nigdy nie proponował reżyserii spektaklu dramatycznego. Zresztą raczej nie chciałbym takich propozycji. Zbyt daleko jestem od tamtego teatru. Pasjonuje mnie rytm, ruch, to, jak ciało podporządkowuje się rytmowi. Wolę podążać tą drogą.

Piotr Sobierski: W tej chwili jest pan reżyserem. Było już aktorstwo, ale też prowadzenie Teatru Capitol we Wrocławiu. Czy te funkcje są do pogodzenia? Czy artysta może sprawnie zarządzać wielką instytucją, setką ludzi, finansami, a do tego jeszcze tworzyć?

Wojciech Kościelniak: Na moją ówczesną sytuację wpłynęło wiele czynników. Teatr muzyczny znacząco różni się od dramatycznego. Tutaj trzeba panować nad zespołem aktorskim, baletowym, wokalnym, chórem, no i nad całym systemem normalnego zakładu pracy. Kolejna rzecz, trudniejsza, to zmiana formuły z teatru operetkowego na teatr muzyczny. A to wiąże się z przebudową całości, zwolnieniami. W teatrze operetkowym, którego dyрекcję objąłem, było koło 200 osób, wielu nie potrafiło poradzić sobie wykonawczo ze współczesnym musicaliem. Wiedziałem od początku, że mnie nie interesuje robienie operetki, bo chcę robić teatr muzyczny w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. Zresztą władze z takim nastawieniem mnie zatrudniły. Kiedy się za to zabrałem, okazało się, że są prawne pułapki blokujące niezbędne zmiany. Każdy walczył o swoje. Część zespołu, która ze mną przysłała, wspierała mnie, a z resztą przez cały czas byłem w stanie wojny. To mnie wycieńczało. Uważam, że się do tego

nie nadaję. Nie wstydę się tego, co zrobiłem: zmiana finansowania, restrukturyzacja, zmiany regulaminów i przebudowa. To wszystko w większości zrobione zostało za mojej obecności. Ale koszt tych działań był ogromny i uznałem, że muszę zrezygnować.

Piotr Sobierski: Posiadanie władzy nie jest łatwe.

Wojciech Kościelniak: Moją intencją nie było być dyrektorem. Jeżeli mówimy już, że lubimy władzę, to wolę ją mieć jako reżyser. I chyba wówczas jest ona nawet większa – mogę fantazjować, nie muszę trzymać się regulaminów. Chciałem mieć władzę tylko po to, aby stworzyć miejsce dla ludzi, którzy nie mieli swojej siedziby. Przegląd Piosenki Aktorskiej rozbudowywał środowisko ludzi śpiewających, grających, muzykujących. Oni nie mieli teatru i Capitol wypełnił tę lukę. Moim celem było pójść w stronę czegoś nowoczesnego, nie na kolanach do Amerykanów, a z szacunkiem do widza. Ważne, aby nie zapominać o rozumie, liczy się nie tylko show, ale też przekaz intelektualny. Nie chcę traktować widza jak głupka, któremu wystarczy łatwa muzyka, łatwy tekst i inscenizacja, a jeśli do tego wyjdą na scenę trzy półnagie tancerki, to będzie szczęśliwy. Mnie to zawsze żenowało, ja chcę szanować widza, i nawet jak będzie to trudne, to chcę mu dać coś ważnego, a nie coś, co jest łatwe. To jest nieuczciwe, dostałem jedno życie i chcę je dobrze wykorzystać.

Piotr Sobierski: Śmiało można uznać pana za rewolucjonistę polskiego teatru muzycznego. Celowo mówię teatru muzycznego, bo pańska twórczość wymyka się z kategorii musical. Wyjątkowo prezentuje się dorobek z początku wieku – rok 2001 *Sen nocy letniej* w Gdyni i rok 2002 *Kombinat* we Wrocławiu. Czy to był moment przełomowy?

Wojciech Kościelniak: Ja tak tego nie postrzegam. Dla mnie *Kombinat* był ważny, zrobiło się o mnie głośno i była ochota pociągnąć ten kierunek. Może byłbym wyżej notowany... Cieszę się, że poszedłem swoją drogą. Ten koncert ciążył mi jak kapliczka. Był tak fajny, że tylko położyć się do grobu. *Sen...* również bardzo na tak, ale to przy *Hair* powstał pewien sposób myślenia. I oba wspomniane dzieła były tego pokłosiem. Ten czas, kiedy spotkaliśmy się w Gdyni z Możdżerem, Stańkiem i Policińskim, to była erupcja. Codziennie do 4. rano siedzieliśmy w małym hotelowym pokoiku, często około 30 osób, piiliśmy wino i rozmawialiśmy o sztuce. To było cudowne, twórcze i pełne pasji. Wszyscy chcieliśmy tworzyć nową jakość i koniecznie się buntować. A rano o 10. wszyscy stawiali się punktualnie na próbie.



Hair z 1999 roku był pierwszym spektaklem na gdyńskiej scenie zrealizowanym przez trio: Wojciech Kościelniak (reżyseria), Leszek Możdżer (muzyka) i Jarosław Staniek (choreografia). Nie obyło się bez kontrowersji – niektórym politykom nie spodobały się obecne na scenie narkotyki, nagość i nieznaną granicę miłoś. Widzom to jednak nie przeszkadzało, przyjeżdżali na spektakl z całego kraju. Musical okazał się wielkim hitem, fot. Teatr Muzyczny w Gdyni

Hair nas ukształtował. Dzięki temu byliśmy w stanie wymyślić *Sen nocy letniej*, który powstał świeżo po *Hair*.

Piotr Sobierski: Tym sposobem nieuchronnie przechodzimy do etapu gdyńskiego. Nim *Sen...* zrewolucjonizował gdyński, ale i krajowy teatr muzyczny, pojawił się *Hair* – klasyk, hit murowany...

Wojciech Kościelniak: Muszę przeszkodzić. Kiedy zaczęliśmy robić ten spektakl, wszyscy się dziwili. – „Nie dacie rady. Nie ma takiej możliwości”. Na nas ciążył sukces filmu. To, że się udało, że w zmienionej formie spektakl wyjechał na Zachód, że mogliśmy się tym chwalić, to kwestia energii, odporności ludzkiej. Nie było łatwo.

Piotr Sobierski: Spektakl okazał się sukcesem. Tłumy widzów z całej Polski. Pamiętam do dzisiaj autokary z bardzo daleka. Skąd pomysł na współpracę z Leszkiem Możdżerem?

Wojciech Kościelniak: Przez przypadek. Słyszałem o nim wcześniej. Poznaliśmy się, bo był związany z Justyną Szafran, a ja wiedziałem, że ona będzie grała w *Hair*. Wiedziałem, że jest dobrym muzykiem, i podjęliśmy współpracę.

Piotr Sobierski: O ile *Hair* to znany na całym świecie musical, o tyle pana znakiem rozpoznawczym są produkcje całkowicie eksperymentalne, zarówno pod względem formy, jak i treści. Takim pierwszym i zdecydowanie najbardziej ryzykownym produktem był *Sen nocy letniej*. Czy jako sprawca całego zamieszania obawiał się pan tej produkcji?

Wojciech Kościelniak: To było bardzo karkołomne przedsięwzięcie, niewolne od błędów: w nagłośnieniu, tekst był niezrozumiały, spektakl był za długi. Było obciążenie realizacyjne, ale sam kieru-

nek był fantastyczny. Baliśmy się, jak to zostanie odebrane. Czy Szekspir śpiewany będzie brzmiał, czy to będzie komunikatywne, co z konwencją i jak zamienić teatr dramatyczny na muzyczny. Dzisiaj, gdy to wspominam, po zasłyszanych wypowiedziach, uważam *Sen...* za sukces. Miał przecież kolejne realizacje. Ale – pamiętajmy – po premierze był sceptycyzm, Pawłowski w „Wyborczej” nas zjechał, inni mówili bezpieczne OK. Nie raz się przekonałem, że to, w co wierzę, musi mieć swój czas, dojrzeć. Potem robiłem *Sen...* w Krakowie, a ostatnio w Poznaniu – w Teatrze Nowym. Ta wersja jest bliższa widza, jest kwintesencją gdyńskiej realizacji. Nagle zrobiliśmy popularny spektakl, komercyjny sukces.

Piotr Sobierski: Po premierze telewizja pokazała film Sławomira Latkowskiego *Pub 700*. Kulisy powstania spektaklu były aż tak kontrowersyjne? Nie mieliście w gdyńskim teatrze łatwego życia?

Wojciech Kościelniak: To w moim przekonaniu ogromne nadużycie Latkowskiego. On chciał robić film o powstawaniu spektaklu. Byłem z tego zadowolony, bohaterami będziemy my, a przede wszystkim sam spektakl. Okazało się inaczej. Postanowił zrobić film o nas, młodych szalonych twórcach, stawiając z drugiej strony teatr, który nam ucina skrzydła. Na to się nie zgodziłem. Wiedziałem, że teatr dał nam szansę, no bo gdzie na świecie teatr muzyczny podejmuje takie ryzyko? On nie do końca to rozumiał, nie znał realiów teatralnej pracy. Po mojej od-



Trans-opera *Sen nocy letniej* w reżyserii Wojciecha Kościelniaka, z muzyką Leszka Możdżera i choreografią Jarosława Stanka, była rewolucyjnym wydarzeniem w polskim teatrze muzycznym. Premiera 27 października 2001 roku. W rolach głównych Justyna Steczkowska (Hippolita/Tytania) oraz Cezary Studniak (Tezeusz/Oberon), fot. Teatr Muzyczny w Gdyni

mojemu poszedł do Stańka, który również powiedział, że „źle się nie czuje”, a to usilnie starano się nam udowodnić. On szukał tragedii... Trafił w końcu do Leszka Możdżera, który lubił wyrażać swoje obawy. Stał się doskonałym bohaterem. Absolutnie to, co pokazano w filmie, jest nieprawdą. Wszyscy podkreślają fantastyczną atmosferę pracy. Przecież gdyby było inaczej, nie powstałby taki spektakl. Film namieszał, ale nie mieliśmy na to wpływu. Dzisiaj żałuję, że pozwoliłem mu na kręcenie w czasie naszej pracy.

Piotr Sobierski: W Gdyni zawiązała się wówczas grupa Pub 700. Nowe, autorskie podejście do teatru muzycznego było waszym celem. Jak doszło do powstania tej inicjatywy?

Wojciech Kościelniak: Nie umiem powiedzieć, kiedy zaczęła funkcjonować ta nazwa. To zrodziło się od poziomu, na którym w Hotelu Aktora znajdowała się kuchnia. A znajdowała się na poziomie 7, w pobliżu mieszkania Cezarego Studniaka. Stąd ta umowna nazwa. A od kiedy zaczęliśmy uważać ją za nazwę dla formuły ideowej? Zdecydowanie później. Te rozmowy nas ukształtowały, spojrzenie na teatr muzyczny nieoparty na cekinach. Ale nie demonizowałbym tej nazwy. Jako prądu w sztuce tym bardziej.

Piotr Sobierski: Ale może za kilkadziesiąt lat?

Wojciech Kościelniak: Byłoby fajnie, ale jest pokusa, żeby to gloryfikować. To już rzeczy nie do sprawdzenia. Tam była energia, tygiel twórczy. Czas pokaże, na ile były to nowe myśli na temat teatru muzycznego. Czy to było w ogóle coś nowego na temat teatru? Nie odważyłbym się tego tak określić.

Piotr Sobierski: Pub 700 rozpadł się, czy unosi się jeszcze duch waszej ówczesnej gdyńskiej aktywności? Przenieśliście się do Wrocławia, właściwie większość teraz tam działa.

Wojciech Kościelniak: Byliśmy wtedy pełni energii, nikt nie tworzył oddzielnego świata. Musieliśmy być razem, żeby tworzyć, a potem każdy zaczął uciekać w swoją grupę. Nadal się spotykamy, robimy wspólne rzeczy z Gosią Fijałkowską, Cezarym i braćmi Kamińskimi, ale to już nie jest tak, że tulimy się wspólnie, każdy działa na swoje konto. Po drodze były konflikty, dużo zawodów, decyzji, które były niepotrzebne. Z wielu stron. Nikogo o nic nie obwiniam. Do dzisiaj się odzywamy, proponujemy robotę, zapraszamy do współpracy. Jest tak, że ludzki kontakt się wyczerpuje, nic więcej nie mamy sobie do powiedzenia i to jest najlepszy czas na rozstanie.

Piotr Sobierski: Mimo wszystko pan powraca do Gdyni, no i zdaje się, że to tutaj jest pan najbardziej płodny. Oczywiście we Wrocławiu powstają znakomite koncerty PPA, to tam wyreżyserował pan *Operę za trzy grosze*, ale tylko w Gdyni każdy tytuł jest dziełem skończonym, idealnym i zawsze okrzykniętym wielkim wydarzeniem. Tutaj pana miejsce?

Wojciech Kościelniak: Jak najbardziej, tak to postrzegam.

Piotr Sobierski: W jednym z wywiadów powiedział pan: „tu jest najlepszy teatr muzyczny w Polsce, świetny pod względem technicznym i oświeceniowym”.

Wojciech Kościelniak: Za mało powiedziałem. Na pierwszym miejscu powinienem wymienić zespół. Po pierwsze wydawałoby się, że najlepszy teatr powstaje, gdy nie ma zespołu, tylko jest casting. Ale jak nie ma środowiska, które zawsze stoi w kolejce, to z czego wybierać? Tutaj jest sytuacja idealna, Gdynia jest kompletna. Aktorzy stosunkowo mało chałturzą, zarabiają grosze, ale kochają to, co robią, są dyspozycyjni, są wyszkoleni, mają otwarte głowy. A jak spojrzymy na możliwości techniczne, to są one niebywale. Nie chodzi o scenę obrotową, ale o rozmiary, o oddech. Ja uwielbiam to miejsce. Obciążające jest to, że tutaj moje rzeczy są sukcesem. Istnieje obawa, że coś w końcu padnie, ale trzeba dalej robić swoje. Zawsze tak samo się staram i tyle samo jest strachu. Wystawiam duszę na publiczny osąd, jednym to się podoba, inni krytykują. Zawsze są dylematy, ale dobrze robić tak, aby móc z podniesioną głową wyjść i do aktorów, i do publiczności.

Piotr Sobierski: Pomimo fascynacji Gdynią *Francesco* powstawał dla Wrocławia.

Wojciech Kościelniak: *Francesco* powstawał dla Wrocławia, tam zamówiłem tekst i muzykę jako dyrektor. Liczba kryzysów i moje odejście było konsekwencją rezygnacji z tej pozycji. Główne wrocławskie media, ogólnie rzecz biorąc, były wrogo do mnie nastawione, wyczu-

Opracowanie poświęcone spektaklowi *Sen nocy letniej* Kościelniaka (autorstwa Aleksandry Zającz) znajduje się w najnowszej publikacji pod redakcją Jana Ciechowicza *Współczesne formy teatru muzycznego (na świecie, w Polsce, w Gdyni)* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2009). Wielbicieli teatru muzycznego znajdą tutaj też więcej interesujących tekstów.





Francesco, którego premiera odbyła się 29 września 2007 roku, Wojciech Kościelniak zrealizował z kompozytorem Piotrem Dziubkiem, libretto o świętym Franciszku z Asyżu napisał Roman Kołakowski. Na zdjęciu Michał Kocurek (*Francesco*) oraz Andrzej Śledź (ojciec). Fot. Wiesław Czerniawski

wałem bezinteresowne ataki. Krytyka była wielokrotnie mocno absurdalna. I nie chodziło o to, co robię, tylko, że w ogóle jestem. *Francesco* chciałem zrobić. Zgłosiłem się do Romy i do Gdyni. Maciej Korwin po jednym dniu oddzwonił i z wielką radością tutaj przyjechałem.

Piotr Sobierski: Przy *Francescu* nie mogę pominąć kwestii pracy z aktorem. To był pana pierwszy kontakt z zupełnie innym Teatrem Muzycznym w Gdyni, nowe twarze, nowe pokolenie aktorów, którzy w naturalny sposób zastąpili trzon Pubu 700. Widać było, że to nowe otwarcie – powiew świeżości, spokój aktorów. Zdawali się być uskrzydleni.

Wojciech Kościelniak: Nie mogę uciec od tego, że jestem pedagogiem w szkole. Znam przypadki stresu, zahamowań. Wystarczy czasami spojrzeć na aktora i powiedzieć: „nie musisz tak, zrób to inaczej”. Jeżeli człowiek nie jest bity batem, robi to lepiej. Jest powiedzenie: „aktor na scenie nie ma być prawdziwy, tylko szczęśliwy”. Jak będzie szczęśliwy, to rozbierze się do naga, będzie zabijał na scenie, wrzeszczał, będzie jednak wiedział, że robi to po coś, że uwalnia się z niego szczęście. Jeżeli tak się podchodzi do tej pracy, to aktorzy nie są narzędziem, ale samoistnymi twórcami. Nie są marionetkami, które bez celu latają po scenie.

Piotr Sobierski: Czy gdyńscy aktorzy są otwarci na oryginalne, często nowatorskie propozycje? Nie przeszkadza panu musicalowy sznyt i rutyna?

Wojciech Kościelniak: Nie czuję żadnego oporu ze strony aktorów, czuję ogromne zaufanie. To czasami jest deprymujące. Kontra jest czasami zdrowa, a tu cały czas ogromne zaufanie. Moim zdaniem trzeba dobrze wyważyć, co chce się robić. Ja jestem kojarzony z eksperymentem, ale nie mogę z tym zejść za daleko. To musi być zrozumiałe nie tylko dla mnie. Zdrowy jest dialog, jeżeli zacznę mówić zbyt mądrze i bezkompromisowo, zerwę dialog i wyjdzie zaledwie prze-mądrzale. Nie chcę zatracić dialogu z aktorami, a przede wszystkim z publicznością.

Piotr Sobierski: Przy okazji pracy nad *Operą za trzy grosze* wspominał pan słowa Brechta: „sztuka nie ma służyć pięknu, ale rozwiązywaniu problemów społecznych i politycznych współczesnego świata”. Czemu ma służyć *Lalka* Bolesława Prusa?

Wojciech Kościelniak: To słowa, które wypowiedział Brecht. Identyfikowałem się z tym stwierdzeniem tylko na potrzeby robienia spektaklu. Prywatnie nie podzielam tego poglądu. *Lalka* mnie zaintrygowała. Literatura w XIX wieku zajmowała się kondycją człowieka. Kwestie Szumana, Wokulskiego brzmiały wówczas nowatorsko, buntowniczo, obrazoburczo. Dzisiaj mam wrażenie, że zajmujemy się tymi tematami non stop, trudno się tymi prawdami zachwycić. One się trochę zdezaktualizowały. Kocham *Lalkę*, tam są tematy nieprzemijalne. Nie ma tej głębokości co Proust, Mann czy Dostojewski, to, co jednak ma nieprzemijalnego, to pięknie przedstawioną próbę stawania się żywym. Wszyscy nas naokoło pociągają za sznurki, marzymy, żeby być ponad to, wyjść z ram, stać się żywym organizmem. Wokulski chciał wyjść ze swojej sfery. Wiedział, że jedynym światem, którego nie jest w stanie osiągnąć, jest świat arystokracji. Miłość do Łeckiej jest tak ogromna, bo jest właśnie niemożliwa. Niemożliwe nas pociąga, wówczas stajemy się naprawdę wolni, chcemy wejść na wyższy stopień rozwoju. Tak rozumiem *Lalkę* i to będzie osią spektaklu. W dodatku to znakomity materiał do przygody ruchowej. Wiedziałem, że jeżeli tak do tego podejść, to odrobię lekcję z *Lalki*. Każdy umie ubrać aktorów w kostiumy z epoki, dać scenografię imitującą Warszawę i smyczki w tle. Ja nie chciałem wpadać w rozlewistą muzykę. Liczy się bowiem opowiadanie, a nie ilustracja książki. Taka moja *Lalka* może być ciekawa.

Piotr Sobierski: Przy pracy nad *Francesco* razem z Romanem Kołakowskim udaliście się do Asyżu w poszukiwaniu inspiracji, o jakich inspiracjach można mówić w przypadku *Lalki*?

Wojciech Kościelniak: Mnie mało interesuje fresk historyczny, chociażby z tego powodu, że teatr nie ma środków, aby konkurować z obiema realizacjami filmowymi *Lalki*. Nie działa zbliżeniem, scenografią, która musi wtoczyć się na scenę. Mnie interesuje dramat człowieka i to jest materiał na musical. Inspiracją było z pewnością Muzeum Zabawek w Karpaczu. Setki lalek z całego świata, które żyją innym życiem. To nie tylko Barbie, każda inaczej się porusza. A to przecież ruch sceniczny właśnie może być motorem przedstawienia. Teoretycznie odwzorowanie sposobu poruszania się lalki wydaje się bardzo proste, ale i nieco tandetne, więc warto to dobrze wypracować. Moim zdaniem ciekawiej jest pokazać Wokulskiego jako lalkę właśnie, a nie jako postać z epoki w określonych relacjach towarzyskich.

Piotr Sobierski: Jak układa się współpraca z kompozytorem Piotrem Dziubkiem. To już drugi po *Francesco* spektakl w Gdyni, do którego pisze muzykę. Dlaczego właśnie Dziubek? Przygoda z *Moździerzem* zakończona?

Wojciech Kościelniak: Z Piotrem Dziubkiem tworzymy stały duet. To ewoluuje. Muzyka *Moździerza* była pokręcona, dziwna, nieoczywista i to dawało kontrę temu, czego słucha się w teatrze. Zacząłem jednak czuć się jak w pułapce. Piotr uwielbia prostotę, a ta również mnie fascynuje. Ja lubię jedno i drugie. Gdy czuję, że się wyczerpuje układ, to wiem, że trzeba się rozejść. Piotr jest w znakomitej formie twórczej. Jego muzyka do *Idioty* jest znakomita i została bardzo dobrze przyjęta. Do *Lalki* napisał jeszcze lepszą, o zupełnie innym charakterze.

Piotr Sobierski: Czy dyrektor Korwin daje panu całkowicie wolną rękę przy tym spektaklu, przy kompletowaniu obsady?

Wojciech Kościelniak: Powiem tak, zawsze kieruję się castingiem. Nawet jeżeli wyobrażam sobie inną obsadę, to fundamentalna uczciwość powoduje, że każdy, kto przyjdzie na casting, może się pokazać i zdobyć rolę. Korwin daje wolność, czasami podpowiada: „wydaje mi się, że ten człowiek pasuje do roli”. Z chęcią korzystam z podpowiedzi, ale jak mam inne zdanie, to nie ma nacisków. Przeprowadzić uczciwy casting jest bardzo trudno. Straciłem wielu „przyjaciół”,



Plakat *Lalki* zaprojektowany przez Damiana Styra. Premiera spektaklu 27 lutego 2010 roku

których nie obsadziłem w spektaklu. Nie ma dla mnie w tej kwestii kompromisów. Trzeba być uczciwym, wobec siebie, aktorów i widza. Ludzie, z którymi współpracuję, są na tyle inteligentni, że szybko wyczuliby układ. To nie jest szlachetność z mojej strony, to przede wszystkim pragmatyzm. Inne zachowanie jest dobre na krótką metę. Jak się pomyśl z obsadą, to wiem, że to moja wina. Gdybym kogoś obsadził z nadania i zobaczył błąd, to chyba spaliłbym się ze wstydu.

Piotr Sobierski: *Lalka* Bolesława Prusa, wcześniej we Wrocławiu *Idiota* Dostojewskiego. Staje się pan ekspertem od adaptacji wielkiej literatury.

Wojciech Kościelniak: Mnie fascynuje robienie spektakli na podstawie wielkiej literatury. To droga Pubu 700 – teatr nie musi być lekki i przyjemny. Muzyka i śpiew mogą przekazywać każdą mądrość i każdy tekst. Są duże opory wobec oddawania takiej literatury do teatru muzycznego. Utrzymuje się zaściankowe, silne myślenie o teatrze muzycznym. Ludzie chcą oglądać określony ruch, sposób narracji, a zmiana tego budzi agresję. Ale ja chcę to robić inaczej.

Piotr Sobierski: Czy nie korci więc pana zrobienie np. *Krzyżaków*?

Wojciech Kościelniak: Można by próbować, ale chyba na wesoło. O tym tropie Sienkiewicza nie myślałem. Wstępnie jestem umówiony do realizacji *Mistrza i Małgorzaty*, ale nie wiem jeszcze gdzie. Muszę być do tego maksymalnie przygotowany. Wiem, jak chcę to opowiedzieć. To dobry materiał do teatru muzycznego. Marzy mi się również *Czarodziejska góra* Manna, ale raczej na kameralnej scenie, bo to zbyt awangardowy i zamknięty, wręcz transowy spektakl.

Piotr Sobierski: Po co więc nagle ucieczka w musical w czystej formie? *Grease*, który zaczyna pan realizować w Gliwicach po premierze *Lalki*, to tytuł z grupy tych bezpiecznych. Trudno nie zrobić tego dobrze. Ale po co taki tytuł Kościelniakowi?

Wojciech Kościelniak: To, co robię, jest kompromisem tego, co mogę i chcę. Jeżeli dzwoni do mnie dyrektor z Gliwic i mówi o propozycji, to mogę wziąć to lub nie. Jeżeli miałbym inne propozycje w tym samym czasie, to pewnie bym z tego zrezygnował. Teatrów w Polsce nie ma wiele. Roma z założenia obcych nie wpuszcza, Chorzów mnie nie zaprasza. Szanuję sobie teatr, który chce ze mną pracować. W Gliwicach jest inna publiczność niż tu. Tam zrobić np. *Sen...* bym się obawiał. Teraz pytanie, z jakimi ludźmi mam *Grease* zrobić, z jaką aranżacją? Na szczęście to nie jest spektakl kompaktowy, a sam te-

mat bardzo ciekawy. Opowieść o człowieku w wieku, w którym staje się kretyńcem. Zachowując oryginalną energię, można opowiedzieć o ciekawych rzeczach. To można zrobić plastikowo, lekko i przyjemnie, a można opowiedzieć o czymś ważnym i w inny sposób. To mnie w tym pociąga i nie widzę kłopotu, aby o tym opowiedzieć. Trzeba mieć trochę dystansu do siebie i tego, co się robi.

Piotr Sobierski: Czyli wierna kopia broadwayowskiego hitu nie wchodzi w grę?

Wojciech Kościelniak: Byłbym w stanie to zrealizować, tylko że mnie to mało ciekawi. Przykazy z góry o tym, gdzie stać, kiedy podnieść nogę, nie są dla mnie. Ja się do tego nie nadaję. Mam problem z tym, że jak się nudzę, to jestem mało twórczy. Muszę iść o krok dalej. Samodzielnie opowiadać pewne historie.



Z miasta w morze. Orłowo, fot. Andrzej T. Żak

Wojciech Boros

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS „POŁOWY POETYCKIE – GDYNIA 2009”

„**P**ołowy Poetyckie” z niewielkiego przedsięwzięcia, którego pomysłodawcą był – jakżeby inaczej – poeta i były uczestnik działań trójmiejskiej Inicjatywy Poetyckiej „Almanach”, Paweł Baranowski, rozrosły się do rozmiarów przyzwoitego, ogólnopolskiego konkursu i niewątpliwie odnalazły swoje miejsce w gdyńskim pejzażu kulturalnym. Pierwsza edycja była skromna, zorganizowana własnym przemysłem oraz nakierowana na lokalne środowiska literackie. Wówczas chyba nikt do końca nie wiedział, w którą stronę popłyną „Połowy”... Na szczęście dość szybko „wpadły w sieć” Centrum Kultury i dzięki jego wsparciu mają się dobrze. A nawet lepiej.

W „Cafe Strych”, 19 listopada 2009 roku, odbył się VIII Konkurs Jednego Wiersza „Połowy Poetyckie 2009”, który jest zwyczajowo organizowany na dzień przed wręczeniem nagród w konkursie głównym. W szczerze wypełnionej startującymi poetkami, poetami i publicznością kawiarni swoje teksty zaprezentowały 42 osoby. Jury w składzie: Barbara Piórkowska, Paweł Baranowski i Wojciech Boros postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia: pierwszą nagrodę (400 zł) otrzymał tekst Magdy Stępnickiej *** (*wystarczy otworzyć okno*), drugą (300 zł) przyznano Jarosławowi Trześniewskiemu-Kwietniowi za wiersz *nazwać po imieniu*, a dwa równorzędne wyróżnienia (po 150 zł) powędrowały do: Ewy Miłek – *** (*Intelektualne uzależnienie od ciepła*) i Aleksandry Zuzanny Polkowskiej – *Madonno z dzieciątkiem*. Dodatkowo przyznano nagrodę publiczności, ufundowaną przez gospodarza „Cafe Strych” Jakuba Boczkę – przypadła ona w tajnym głosowaniu Hannie Bekiesz.

Uroczyste wręczenie laurów w obydwu konkursach odbyło się 20 listopada o godzinie 19 w „Bohema Jazz Clubie” w Gdyni. Podczas gali, którą poprowadził Krzysztof Dąbrowski, a muzycznie ubogaciły fragmenty spektaklu *Ballady Morderców* (reż. Dariusz Siastacz) w wykonaniu aktorów Teatru Muzycznego w Gdyni, z werdyktem jury (Kazimierz Nowosielski, Bożena Ptak, Iwona Borawska, Paweł Baranowski, Wojciech Boros, Teresa Wojciechowska – sekretarz) pod

przewodnictwem prof. Nowosielskiego mogła zapoznać się publiczność licznie zgromadzona w klubie przy ulicy Waszyngtona. „Tajne” posiedzenie jury miało miejsce 14 listopada 2009 roku na Uniwersytecie Gdańskim – na konkurs wpłynęło 155 zestawów, czyli 465 wierszy. Ostatecznie przyznano 3 nagrody i 3 równorzędne wyróżnienia: pierwsza nagroda (3000 zł) przypadła Urszuli Kulbackiej (godło: „malaga”) z Elku, druga (2000 zł) – Czesławowi Markiewiczowi (godło: „pal się sam”) z Piły, trzecią (1000 zł) przyznano Wojciechowi Roszkowskiemu (godło: „trzy mosty”) z Tykocina, a wyróżnienia (po 500 zł) otrzymały: Małgorzata Borzeszkowska (godło: „elec-tri-city”) z Lęborka, Genowefa Jakubowska-Fijałkowska (godło: „tratwa”) z Mikołowa i Joanna Małgorzata Przybylska (godło: „wyegzaltowane pragnienia zardzewiałej konewki”) z Łodzi. Z nagrodzonych zestawów wybraliśmy do niniejszej publikacji po jednym tekście.

Patronat nad konkursem objęło Radio Gdańsk i gdyński kwartalnik artystyczny „Bliza”. Dotychczasowemu patronowi prasowemu „Połowów Poetyckich” – dwumiesięcznikowi literackiemu „Autograf”, a w szczególności jego redaktorowi naczelnemu, Panu Andrzejowi K. Waśkiewiczowi – serdecznie dziękujemy za kilkuletnią, owocną współpracę.

Pozostaje mi tylko zaprosić wszystkich czytelników na kolejną, IX edycję „Połowów”, planowaną na listopad 2010 roku, a tymczasem proponuję oddać się lekturze nagrodzonych wierszy, bo bez nich nie może się obyć żaden konkurs – przynajmniej poetycki...

VIII OGÓLNOPOLSKI KONKURS „POŁOWY POETYCKIE – GDYNIA 2009”

I Nagroda URSZULA KULBACKA, poczęcie

to jedyna łąka we wsi: podmaka i oblizuje
brzegi rzeki. szukamy suchego miejsca. łęgi
graniczą z kościołem. podobno dzisiaj jest odpust

win, tych wczorajszych, kiedy ojciec przeklinał
nas oboje. sąsiedzi kucali pod drzewami kiedy
krzyczał *zabieraj ten brzuch pękaty jak groch*

*latem. dotykasz pępka i pytasz którądy. lekarze
mówią: po pierwsze zapobiegać. potem będzie
nam do siebie coraz dalej. trzęsawisko zarośnie
kożuchem i wytłumi głosy.*

II Nagroda CZESŁAW MARKIEWICZ, Rzucajcie za mnie. „Bar Mar Twych”

*(...) mieszkańcom piekła należy się
jeden dzień wolnego raz na sto lat.*
Etgar Keret

*jezus chrystus umieranie matki i rzucanie palenia przereklamowane
powiedział na powitanie houellebecq
umówiłem go z białoszewskim na placu aleksandra
oczywiście przy wysypisku śmieci
ogrodzonym murem który wszystkich stawia w pionie*

*kiedy umierają matki wszystko co trzeba jest okey
gdy matki chowają synów powiedzmy jest wojna i jest do dupy
z chrystusem od razu wyszło jakby całkiem inaczej
próbowałem gadaniem przerwać mironowi grzebanie w sensownych
rupieciach*

*michel znajdował tylko jakieś karty chipowe nic do zużycia
natomiast z niemowlęcą naiwnością właśnie rzucił palenie*

*coś trzeba z tym zrobić tym razem pomyślałem tylko ze strachu
najgorsze dopiero się zbliżało trochę nieco od wschodu
pod murem zamiast plutonu egzekucyjnego zbierali się ludzie
po jakąś pewnie cholerę wyłuskiwali cegłę po cegle pojedynczo
im więcej tego wybierali tym mur stawał się i stawał
jak w jakiejś nawet nienajgłupszej piosence o prawdziwej miłości*

*coś trzeba z tym zrobić powiedziałem na głos tym razem
houellebecq nie znał mojego języka białoszewskiemu było wszystko jedno
poza nimi ludźmi pod murem i mną nie było naprawdę nikogo
kurwa ale jestem samotny pomyślałem bez wstydu i wyrzutów sumienia*

mogliśmy przecież dać radę bo łatwiej było ściągnąć mirona na plac tutaj
niż michela na chamowo nasze już po musztardzie
muru i tak nie uratowaliśmy rósł bardziej od tego wydłubywania

moi święci od brzydkich słów przestali wypisywać błogosławione głupoty
na zmianę raz jeden raz drugi i z osobna
rzucają czosnkiem w krzyż na którym milczy główny syn
i dzięki chłopaki że mnie ze sobą wzięliście na to obalanie

III Nagroda WOJCIECH ROSZKOWSKI, bliźniaczka

ceremonię pamiętam jak przez mgłę, potem zostało mi tylko
to zdjęcie, drgające punkty na fakturze papieru i myśli jak cienkie igły
przełykane ze śliną. krótkie spięcia, iskry na końcach nerwów wraz
z dotykiem wślizgiwały się w supły i szramy na jej piersiach i ramieniu,

łagodziły pooperacyjny obrzęk. coś szeptało, że wewnątrz ciała kielkują
skrzydła, rosną i trzepocą, można je było usłyszeć, gdy nikt nie
pozostawał w pobliżu, jakby z tego kokonu za chwilę miał wykluć się
motyl czy nawet niebieski cherubin. żółć i fiolet, opuchlizna pulsowała

i przelewała się w smagłe cienie, w inne obrazy kreślone na odwrocie
fotografii: martwe ptaki w martwych morzach, widok ze skał na zerwany
most. nagły chłodny powiew, nieostre kontury w rannym, szarym powietrzu,
które po potarciu kciukiem okazywały się drobinami ołówkowego grafitu.

któregoś dnia zgubiła mi się siostra, dlatego piszę do ciebie list.
nie patrz teraz przez ramię na smugi w szybach, gdzie przed chwilą
pojawił się zarys postaci. na wszelki wypadek nie czytaj raz jeszcze.
to we mnie ona przechodzi wciąż przez ciała szkliste do światła.

Wyróżnienie MAŁGORZATA BORZESZKOWSKA, Kalwaria w Wejherowie

jakże piękne te wzgórza – mówisz –
schody kamienne,
spękana droga ku świętości
między wysokimi drzewami

patrzysz jak wspinają się tłumy,
feretrony tańczą góra-dół,
prawo-lewo, taniec świętych:
Matka Boska z Kościerzyny wita Najświętszą Panią
z Kartuz, spoceni tragarze boskości pochylają się –
pociągane za sznureczki lalki z teatru cieni,
jak chorągwie fruwią Madonny
pod wejherowskim niebem

prosta jest ścieżka ku odkupieniu
szeroka dość, wyłożona dobrymi intencjami,
oświetlona od świtu do świtu,
w pełni monitorowana

spomiędzy puszek po napojach energetyzujących
papierków po cukierkach
i naderwanych bibułkowych kwiatów,
strażnik miejski wybiera porzucone modlitwy
jak okruchy,
rzuca je gołębiom

te czystsze, w lepszym stanie, chowa do kieszeni
– zapas na inny czas
na zimowy chłód sumienia

jakie złote te wzgórza
z oddali

odkładasz lornetkę

Wyróżnienie**GENOWEFA JAKUBOWSKA-FIJAŁKOWSKA,
Katechetka i słonecznik**

zbiega po schodach na niskich obcasach
(Jezu może przecież na szpilkach)

czysta jak proszek ariel (lepszy niemiecki osiem razy niż polski)

za nią kapryśny zapach (marihuana) mogła w końcu przed snem
zapalić skręta

ociera się między udami miesięczna podpaska

wypluwa parę nasion słonecznika wkłada w usta gumę (do żucia)
zarzuca torebkę na ramię (skrzydło)

przyśpiesza
obok kaplicy Boromeuszek (śpiewają one albo w liceum ktoś)

maluje buźki w szkolnych zeszytach

namawia Weronikę żeby została świętą
nosiła chusteczki do nosa na wszelki wypadek gdy go znów spotka

wraca i pochylają się słoneczniki wszystkie na działkach (za liceum)

katechezę powtarza przed snem jak pieśń nad pieśniami
gorszy się przed snem swoimi snami

modli się żeby szalony Vincent nie przychodził
nie odcinał sobie ucha (ani niczego)

śpi słonecznik czuły między nogami

w drodze do szkoły (w następny poranek) wyrzuca butelkę po brandy

Wyróżnienie**JOANNA MAŁGORZATA PRZYBYLSKA, Łucja J.
z kotem na kolanach słucha najsmutniejszych
piosenek świata**

nie okazałam się kobietą, która cię wyciągnie
z nikotynizmu, choć z wiekiem oraz kolejnym pożegnanym
kotem powinnam nabrać dystansu, rozpamiętuję ten fakt przy
rzewnych melodiach ze składanki „only for lonely hearts”, sama
popadając w nałogi.

z nigellą szukam równowagi i własnej godności. kobiety, która gril-
luje
wołowinę w bakłażanach, się nie zostawia. przy ubijaniu piany
kot ociera się o łydki – szuka ciepła. niech nie przestaje, widzę
ciebie u moich stóp. czy to chore gdy mocno przytulam go do łona?

smutne serca ze starych szlagierów przypominają
o zawałowcach, o ostrzeżeniach na billboardach i paczkach.
wszystko sprowadza się do jednego. nie jestem tą,
dla której rzuca się palenie, ale to ciebie usiłują
zastąpić Kotem.

**VIII KONKURS JEDNEGO WIERSZA
„POŁOWY POETYCKIE – GDYNIA 2009”****I Nagroda****MAGDALENA STĘPNICKA, *****

wystarczy otworzyć okno
a do pokoju wpycha się
czarna wypukłość nieba

jasne kwadraty innych wnętrz
sypią się na głowę jak konfetti
gdy próbuję zasnąć choćby

tym snem o kalafiorach
bez poduszki w konwalie tak
żyję w nieładzie myśli

moja babcia moczając nogi
w misce pije miętę i poprawia kwiaty
na jednym z okien co wdychają lato

z wywieszonym językiem czystych koszul

II Nagroda

JAROSŁAW TRZEŚNIEWSKI-KWIECIEŃ,
nazwać po imieniu (wariacja na temat
niedokończonej X symfonii Ludwiga van
Beethovena)

spacerując późnym wieczorem po Heiligenstadt
perypatetycy i amatorzy tutejszego wina
głośno dyskutują z miejscowym oberżystą
o jakości aparatów słuchowych

Starkey zdaje się lepszy i wyrazistszy
niż firmy *Oticon* większość woli *Phonaka*
którą firmę wybrałby dzisiaj Ludwig nie w pełni
ogłuchły czy dokończyłby dziesiątą

a może zdążyłby z jedenastą symfonią czy
Oda do smutku byłaby bardziej adekwatna
(bo z czego się cieszyć bogów nie ma
a wszystko da się racjonalnie wyjaśnić)

co sądzić o implantach i co by było gdyby
miał wszczepione *nucleus freedom*
czy jego muzyka stałaby się metaliczna
i czy słyszałby lepiej wysokie dźwięki

niż niskie szmery gdy trzymał w ustach
drewnianą pałeczkę by odczuć zębami

jak kość o kości uderza i wibruje pudło
fortepianu czy nosiłby w małżowinie

uszej muszelkę czy gumową wkładkę
zbyt miękką i czy nie uszkodziłaby odlewu
maski pośmiertnej a z wysokiego czoła
nie kapłaby pot niweczający kolejny

zapis *eroiki* bądź *sonaty kreutzerowskiej*
rozmażąc nuty pieszcząc niedoszlą
symfonię ciężkim metalem gdy brzęka talerzy
tłucze się w czaszce a bębienki pękają

jak baloniki nadmuchiwane na specjalne
okazje festyny degustacje win i festiwale
jarmarki wyprzedaże przeceny płyt
granitowych i dvd z zapisem czystszy

od prawykonania śpiewem zagłuszonym
w stygnącym powietrzu by odejść od
zmysłów od zapachu od barw słuch
umiera na końcu a w życiu jest martwo

co wezmą pod uwagę producenci aparatów
słuchowych i implantów żeby zbędna ciszę
ożywić bateriami alkalicznymi wymienianymi
co chwila w lombardzie i nazwać po imieniu

zbeethovenić zludwigować

Wyróżnienie, EWA MIŁEK, ***

Intelektualne uzależnienie od ciepła
Wymyśliłam sobie, że będzie mi przykro i jest
Dziś to ja Ciebie przelecę dla sprawiedliwości
Rozchylone i miękkie wystarczy
Wsuń miłość przekręć a się nie otworzy
Jak nie miłość to chociaż to co jest...

A rano rozpadnę się na drobne
Już nie będzie żadnej konieczności
I będę taka po ranna...

Wyróżnienie

ALEKSANDRA ZUZANNA POLKOWSKA,
Madonno z dzieciątkiem

Madonno z dzieciątkiem
Polecam ci wszystkich bezczynnych
Polecam ci wszystkich trwale bezrobotnych
Polecam ci wszystkich trwale bezrobotnych bez prawa do zasiłku
Polecam ci wszystkich niezdolnych do pracy
Polecam ci wszystkie kaleki świata które nie mają siły nosić worków
na plecach
Polecam ci wszystkie zwolnione z pracy ciężarne kobiety
Polecam ci wszystkie wyrodne matki karierowiczki
Polecam ci wszystkich żyjących na kredyt
Polecam ci wszystkich kupujących miłość
Polecam ci wszystkich szczęśliwych
kosztem innych

Polecam ci polską walutę
Gdybyś zechciała zejść z obrazka

Przemysław Gulda

GRA SIĘ W GDYNI

Dzisiejsza gdyńska scena muzyczna to kilka grup grających zupełnie różną muzykę, imprezy muzyczne na międzynarodową skalę, a także kluby przyciągające wielkie zespoły i publiczność z całego Trójmiasta, a nawet z innych miejsc.

Kiedy spojrzysz się na to, co dziś dzieje się w Gdyni pod względem muzycznym, nie trudno dojść do dwóch, nie do końca spójnych ze sobą wniosków. Po pierwsze: w tym mieście pod względem muzycznym jest naprawdę głośno, ale po drugie: muzycy, którzy w nim mieszkają, nie tworzą żadnej spójnej sceny, żadnego środowiska, żadnej wspólnoty. To raczej zestaw indywidualności, które pracują na własny rachunek i na własną rękę, odwiedzając te same miejsca i spotykając się czasem, ale raczej na gruncie towarzyskim niż artystycznym.

CENTRUM (MUZYCZNEGO) ŚWIATA

W przeszłości było trochę inaczej – to przecież właśnie w Gdyni w latach osiemdziesiątych funkcjonowało jedno z najbardziej twórczych i oryginalnych środowisk muzycznych w Polsce, to właśnie tu najżywiej pulsowało tętno zjawiska zwanego Trójmiejską Sceną Alternatywną. Zespoły, które wówczas budowały fundamenty polskiej muzyki alternatywnej, żyły i działały w tamtym czasie dużo bliżej siebie niż dzisiejsi muzycy, ich członkowie współpracowali ze sobą, wspólnie organizowali koncerty, chętnie występowali razem, a wielu z nich z powodzeniem grało – na stałe czy tylko gościnnie – w kilku zespołach naraz.

Pod względem organizacyjnym i promocyjnym kluczową postacią dla tego środowiska był wówczas Waldemar Radziecki, który piastował stanowisko szefa Młodzieżowego Centrum Kultury w Gdyni. To miejsce bardzo szybko okazało się nieformalnym centrum gdyńskiego środowiska muzycznego. To właśnie Młodzieżowe Centrum Kultury stało się przestrzenią prób, koncertów, imprez oraz niekończących się dyskusji o muzyce i nie tylko. To właśnie tam organizowany był doroczny, odbywający się na prestiżowej scenie w sopockiej Operze Leśnej, festiwal Nowa Scena, w ramach którego do

Trójmiasta przyjeżdżała prawdziwa śmietanka ówczesnego środowiska muzycznego z całego kraju. Jedne ze swoich pierwszych dużych koncertów grały na tej imprezie takie zespoły, jak Kult czy T. Love, w programie zawsze było też sporo miejsca dla przedstawicieli lokalnej sceny muzycznej.

Znakomitym dokumentem tamtych czasów była wydana w 1988 roku w pierwszym obiegu – nakładem jednej z nielicznych w późnokomunistycznej rzeczywistości oficjalnych wytwórni muzycznych, Tonpressu – kompilacyjna płyta, zatytułowana po prostu „Gdynia”, która szybko obrosła legendą, a dziś jest wydawnictwem w pełnym tego słowa znaczeniu kultowym. W kopercie z bardzo charakterystyczną okładką – nieco rozmażanym zdjęciem gdyńskiego trolejbusu, widzianego z góry – krył się winylowy album z nową, świeżą i bardzo oryginalną muzyką z Gdyni. Właściwie dla wszystkich zespołów, których nagrania pojawiły się na tym składankowym albumie, była to pierwsza okazja, żeby zaistnieć w szerszym obiegu wydawniczym – do tej pory ich nagrania ukazywały się tylko na nieoficjalnie publikowanych kasetach, wydawanych w trzecim obiegu, kopiowanych domowym sposobem i rozdawanych albo rozsyłanych pocztą do znajomych i nieznajomych. Co prawda, nie wszystkie zespoły, których nagrania pojawiły się na płycie, były czysto gdyńskie, jeśli chodzi o miejsce zamieszkania ich członków (wokaliści zespołów Po Prostu czy Bielizna, Szymon Szprada i Jarek Janiszewski, mieszkali przecież od zawsze w gdańskim Wrzeszczu), ale każdy z nich pozostawał związany z gdyńskim środowiskiem muzycznym.

Płyta nie jest zbyt spójna pod względem stylistycznym, udowadniając, jak bogata była w tej kwestii ówczesna gdyńska scena. Obok czysto punkowego zespołu Po Prostu, swoje nagrania zamieściła tam korzenno reggae’owa formacja Rocka’s Delight czy – jak na ówczesne warunki – dość popowe, mimo swych alternatywnych źródeł, grupy Call System i Unrra. Nie mogło oczywiście zabraknąć miejsca dla grających ciężką, gitarową muzykę zespołów Pancerne Rowery i Apteka czy nieco lżejszej i bardziej melodyjnej Bielizny. Te dwa ostatnie zespoły zamieściły tu zresztą nagrania, które na wiele lat stały się ich wizytówkami i prawdziwymi znakami rozpoznawczymi. Apteka zaprezentowała sztandarowy i niemal manifestacyjny utwór „Synteza” – prawdziwą syntezę mocnych gitar i psychodelicznego klimatu, okraszoną nieco zagadkowym i wieloznacznym tekstem, który mógł równie dobrze dotyczyć narkotyków, jak i mocnych uczuć. Wkładem Bielizny do płyty „Gdynia” była „Miłość w Jugosławii”, dużo mroczniejszy od późniejszych nagrań grupy, nowo- czy może wręcz zim-

nofalowy utwór z niecodziennie brzmiącą linią gitary i ponurym tekstem o sytuacji, w której uczucia zwyciężają ze zwykłą, nęcącą fizycznością.

Na płycie swoje nagrania zamieściły zarówno formacje, które okazały się trwałymi fundamentami gdyńskiej sceny muzycznej: Apteka, Bielizna czy Po Prostu, jak i zespoły zupełnie efemeryczne, które jednak odcisnęły bardzo wyraźne piętno na tym zjawisku. Dotyczy to przede wszystkim grupy Pancerne Rowery, która przez moment, do swojego rozpadu, była właściwie najważniejszą i najbardziej wpływową formacją tego środowiska.

Płyta znakomicie dokumentowała ten fenomen, ale jednocześnie stanowiła zamknięcie pewnego etapu w jego historii. Zaraz potem przyszedł rok 1989, zmieniła się sytuacja polityczna, społeczna i ekonomiczna, zmieniły się zasady funkcjonowania rynku muzycznego i promowania swojej twórczości. Większość z zespołów, których nagrania znalazły się na składance, nie przetrwało tej cichej rewolucji, rozpadło się też właściwie całe środowisko. Jedni (np. Waldek Rudziecki) przechodzili do pracy w firmach niezwiązanych bezpośrednio z muzyką, inni (np. Jędrzej Kodymowski – lider grupy Apteka) – wyjeżdżali na dłużej za granicę, tracąc osobisty kontakt z tym, co działo się w Gdyni. Gdyńska scena przestała być spójnym zjawiskiem, w którym zespoły, nawet jeśli grają zupełnie inną muzykę, pozostają bardzo blisko siebie. I tak już zostało w zasadzie do dziś. Ktoś próbował jeszcze nawiązać do klimatu tamtych lat, przygotowując składankę „Gdynia 2”, ale to już zdecydowanie nie było to samo.

OJCIEC CHRZESTNY

Jak wygląda dziś gdyńska scena, jeśli chodzi o zespoły? Takich, które w pełni świadomie deklarują swój związek z tym miastem i określają się jako grupy gdyńskie, nie jest zbyt wiele, a te, co są, funkcjonują w zupełnie odmiennych światach, stylistycznych, organizacyjnych, a nawet generacyjnych.

Jedną z centralnych postaci dzisiejszej gdyńskiej sceny muzycznej jest z pewnością Przemek Dyakowski, ważna, choć wciąż jeszcze niedostatecznie doceniona, zwłaszcza poza Trójmiastem, postać polskiego jazzu. To prawdziwy nestor i weteran gdyńskiego środowiska muzyki synkopowanej. Ten znakomity saksofonista, kompozytor i aranżer od kilku dekad występuje w różnych zespołach, za-



Jedną z centralnych postaci dzisiejszej gdyńskiej sceny muzycznej jest z pewnością Przemek Dyakowski, fot. Maria Jaskólska

równy w charakterze lidera, jak i szeregowego instrumentalisty. Choć zaczynał swą karierę w Krakowie, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, szybko trafił do Trójmiasta, gdzie związał się z niezwykle aktywnym wówczas Klubem Studentów Wybrzeża Żak. Najważniejszym zespołem, w którym wówczas występował, była Rama 111, ale niezwykle chętnie grał także z innymi muzykami, zarówno polskimi, jak i zagranicznymi. Kariera Dyakowskiego nabrała rozpędu w ostatnich latach. Jego najważniejszy projekt to firmowany własnym nazwiskiem ansambl, z którym w 2007 roku wydał pierwszą autorską płytę w swym ogromnym dorobku. W nagraniu albumu, zatytułowanego „Melisa”, wzięło udział doborowe grono trój-

miejskich muzyków, których sława znacznie przekracza lokalne granice: Leszek Możdżer, Sławek Jaskulke czy Dominik Bukowski. Płyta zebrała znakomite recenzje w fachowej, jazzowej prasie i świetnie się sprzedawała – zapewniło to jej zresztą miano „złotej płyty”. Drugim ważnym projektem Dyakowskiego jest formacja Take It Easy, grająca klasyczny, świadomie archaizujący swing. Ale dzisiejsze muzyczne doświadczenia artysty nie ograniczają się tylko do klasycznego jazzu. Dyakowski z powodzeniem radzi sobie także w wielu innych gatunkach, chętnie wspierając muzyków, którzy z przyjemnością zapraszają go do współpracy przy swoich projektach. Dzięki temu Dyakowskiego można zobaczyć na scenie w składzie takich grup, jak np. eksperymentalny Chlupot Mózgu czy etniczna formacja Ikenga Drummers.

Dyakowski poza tym, że jest muzykiem, pozostaje też centralną postacią lokalnej sceny jazzowej. Od lat prowadzi w Radiu Gdańsk audycje promujące ten gatunek, wspiera także pod względem pro-

gramowym działalność gdyńskiego Sax Clubu, czyli cyklu odbywających się kiedyś w Teatrze Miejskim, a dziś w klubie Ucho koncertów wielkich jazzowych gwiazd.

MUZYCZNY FIGHT CLUB

Spośród starszych, ale wciąż aktywnych na scenie gdyńskich zespołów z całą pewnością na pierwszym miejscu wymienić trzeba grupę Apteka. Zespół od czasu wydania płyty „Gdynia” przeszedł bardzo wiele: niezliczone zmiany składu, spektakularne wzloty i bolesne upadki, a nawet prawdziwe tragedie – w postaci choćby śmierci w wypadku samochodowym jednego z członków-założycieli. I tylko trzy elementy pozostają w zasadzie niezmiennie: lider zespołu, Jędrzej Kodymowski, jego niezwykła muzyka: dynamiczna, mocna, ale jednocześnie psychodelizująca i zdecydowanie nietuzinkowa, a wreszcie – jego rozpoznawalne od pierwszej chwili teksty. Roi się w nich co prawda od niewybrednych wulgaryzmów, ale jednocześnie nie sposób nie zachwycić się mocnymi, dosadnymi neologizmami Kodymowskiego i jego specyficznym sposobem opisywania rzeczywistości.

Swoje wielkie dni Apteka przeżywała mniej więcej w połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy wydane rok po roku albumy „Menda” i „Spirala” wywindowały zespół na szczyty popularności. Ale wkrótce potem Apteka przestała regularnie koncertować, po czym – nie pierwszy już zresztą raz w swej historii – zawiesiła działalność. Na powrót zespołu trzeba było czekać prawie dekadę. Ale był to powrót mocno spektakularny – nowy skład nagrał bardzo dobrze przyjętą płytę, a organizatorzy koncertów w różnych miastach w Polsce ścigali się z propozycjami występów. Niestety, fatum nadal prześladowało muzyków – nowy skład szybko się rozpadł, a Kodymowski znów stanął przed niełatwym zadaniem zbudowania kolejnego. Ale tym razem wybrnął zeń nader skutecznie: zaprosił do współpracy sekcję rytmiczną, złożoną z basisty Jana Witaszka i perkusisty Marcina Słowińskiego. Taka konfigura-



Kiev Office – premiera płyty „Jest taka opcja”, fot. Michał Jaskólski



Michał Miegoń w czasie premiery „Jest taka opcja”, fot. Michał Jaskólski

cja okazała się – zwłaszcza w kontekście wcześniejszych losów Apteki – bardzo trwała. Istnieje już ponad dwa lata, podczas których zespół zagrał mnóstwo bardzo dobrze przyjmowanych koncertów. Najważniejszym z nich był występ podczas – nota bene gdyńskiego – festiwalu Open'er, gdy grupę oklaskiwały tysiące widzów.

Dziś Apteka pozostaje niezwykle ważnym, ale w zasadzie bardzo samotnym punktem na rockowej mapie Gdyni. Zespół przez długie lata nie mógł się doczekać żadnych godnych siebie następców w rodzinnym mieście – lokalna scena rockowa przez prawie dwie dekady nie wydała w zasadzie na świat żadnej grupy, której udałoby się wyjść poza poziom lokalny i garażowy. Dopiero niedawno coś w tym względzie jakby drgnęło. Pierwszym od bardzo długiego czasu zespołem, który – deklarując na każdym kroku swą „gdyńskość” – ma szansę na nieco szerszą popularność, jest grupa Kiev Office. To ewoluujący przez kilka lat projekt, którego założycielem i główną postacią jest Michał Miegoń. Dziś grupa, po wielu poszukiwaniach w kwestii repertuaru, składu i brzmienia, osiągnęła najdoskonalszą jak dotąd postać. Trójka muzyków weszła niedawno do studia, żeby zarejestrować swój debiutancki, pełnowymiarowy materiał. Płyta zatytułowana „Jest taka opcja” ukazała się na rynku 28 sierpnia, a zaraz potem zespół wyruszył na sporą trasę koncertową po Polsce. Muzyka zawarta

na tym krążku to alternatywny rock, dla którego jedną z bardzo wyraźnie słyszalnych inspiracji jest to, co w polskiej muzyce działo się w latach osiemdziesiątych.

Ale Kiev Office to nie tylko Miegoń – u jego boku wykluła się właśnie nowa, bardzo ciekawa postać gdyńskiej sceny muzycznej. Basistka zespołu, Joanna Kucharska, zainicjowała właśnie zupełnie nowy etap swojej muzycznej kariery, prezentując światu materiał swego autorskiego projektu, zespołu Marla Cinger (nazwa została zaczerpnięta ze słynnej książki i filmu *Fight Club* – to nieco zniekształcone nazwisko głównej postaci kobiecej). Początkowo tworzyła go zupełnie sama, niedawno dokooptowała do współpracy kilku innych muzyków, w tym całą resztę składu swej macierzystej grupy, i wykonuje wraz z nimi własne piosenki. Piosenki nader ciekawe i oryginalne – było nie było bardzo mocny w Stanach Zjednoczonych nurt kobiecego singer/songwritingu w Polsce ostatnio właściwie zupełnie zanikł, bardzo dobrze stało się więc, że Kucharska zdecydowała się przemówić własnym głosem. Co najważniejsze – ten głos nie został niezauważony: zespół zwyciężył w lipcu ubiegłego roku w drugiej edycji Uchodromu, konkursu dla młodych formacji, organizowanego przez klub Ucho. W ramach nagrody klub wydał właśnie zespołowi debiutancką płytę. Album „Congs”, który ujrzał światło dzienne w pierw-



Marla Cinger w gdyńskiej Cyganerii, fot. Michał Jaskólski



Joanna Kucharska w czasie promocji albumu „Congs” w klubie Ucho, styczeń 2010 roku, fot. Maria Jaskólska

szych dniach stycznia 2010 roku, zawiera zestaw autor-skich kompozycji Kucharskiej, opatrzonych bardzo adekwatnym do tej, łagodnej i akustycznej, muzyki brzmieniem. Nie ma wątpliwości, zarówno Marla Cinger, jak i Kiev Office to dziś zdecydowanie największe nadzieje gdyńskiej sceny rockowej.

Ale nie samym rockiem i jazzem żyje dziś Gdynia. Działa tam przecież jeszcze co najmniej kilka zespołów, o których wypada choćby wspomnieć. Jednym z najważniejszych jest bez wątpienia formacja No Limits. To zespół, którego korzenie sięgają jeszcze lat osiemdziesiątych. To właśnie wtedy zawiązał się pierwszy – wówczas jeszcze dwunastoosobowy – skład grupy. Na jej brzmienie bardzo ważny wpływ miała spora sekcja dęta, a muzyka

No Limits oscylowała wokół wyrafinowanego pod względem kompozycyjnym i aranżacyjnym popu. W pierwszych latach swej działalności zespołowi udało się zyskać sporą popularność, ale potem zniknął ze sceny. Powrócił dopiero niedawno w zupełnie odświeżonym składzie (jego najbardziej zwracającym uwagę elementem była wokalistka, Agnieszka Rassalska) i z zupełnie nową muzyką. Tym razem grupa penetruje terytorium muzyki znacznie łatwiejszej i bardziej przystępnej, zbliżając się raczej do stylistyki dansingowej. Można jej było posłuchać na wydanej w 2007 roku płycie „Angela”, która zdobyła pewną popularność. Daleko jej jednak do pozycji, którą na rodzimym rynku muzycznym No Limits miało dekadę wcześniej.

TAM, GDZIE GRA MUZYKA

Pisząc o gdyńskiej scenie muzycznej, trzeba oczywiście przyjrzeć się działającym w tym mieście zespołom, ale nie sposób nie zwrócić uwagi na kluby – miejsca ich występów, a zarazem spotkań wielbicieli najróżniejszych gatunków muzycznych. Tego typu miejsc w Gdyni zdecydowanie nie brakuje, a kilka z nich zdołało już sobie wyrobić bardzo mocną pozycję nie tylko w skali lokalnej, ale wręcz ogólnopolskiej.

Przede wszystkim wymienić trzeba w tym kontekście Ucho – zdecydowanie najważniejsze miejsce na koncertowej mapie całej właściwie Polski północnej. Wszystko zaczęło się w Cyganerii – miejscu kultowym, ale jednocześnie – niezwykle ciasnym. To właśnie tam swoje pierwsze koncertowe marzenia realizował Karol Hebanowski, ale szybko okazało się, że przestrzeń tego klubu jest zdecydowanie za mała dla jego zamierzeń. Nie było innego wyjścia, jak tylko szukać jakiegoś większego pomieszczenia. Wybór padł na jedną z postocznio-wych hal, gdzie po poważnym remoncie zostało otwarte Ucho. Jego współtwórcami byli Piotr Bulczak, odpowiedzialny za filmowy aspekt działalności nowego miejsca, i nieodzowny w takich przypadkach ekspert od sceny jazzowej – Przemek Dyakowski. Bardzo szybko okazało się, że Ucho to miejsce wyjątkowe. Odbývają się tam najróżniejsze koncerty: od etno, przez wszelkie odmiany rocka, do jazzu i muzyki eksperymentalnej. Na niektórych bawi się kilkaset osób, na innych – zaledwie mizerna garstka, ale tak czy owak – zabawa zawsze jest bardzo dobra. Bo w klubie panuje niezwykła atmosfera: bez zastępów ochroniarzy, bez wysokich barier oddzielających scenę od publiczności (pojawiają się tylko w naprawdę wyjątkowych przypadkach), organizatorom zawsze udaje się zachować spokój i pełne bezpieczeństwo wszystkich uczestników imprezy.

Oprócz koncertów i niezwykle popularnych imprez tanecznych (tu na pierwszy plan wysuwa się przede wszystkim odbywające się już od kilku lat co sobotę rockowe party, przygotowywane przez Adama Czajkowskiego), w klubie or-



W jednej z postocznio-wych hal po poważnym remoncie zostało otwarte Ucho, fot. Michał Jaskólski

ganizowany jest także cały szereg różnych wydarzeń specjalnych. Jeden z najważniejszych to konkurs dla młodych lokalnych zespołów, Uchodrom. Do tej pory odbyły się już dwie jego edycje, w których w sumie wystartowało kilkanaście debiutujących projektów, grających najróżniejszą muzykę. Konkurs przeznaczony jest dla grup, które nie mają jeszcze na koncie debiutanckiej płyty, a występ podczas jednego z konkursowych koncertów stanowi dla większości uczestników pierwszą szansą stanięcia na tak dużej, a na dodatek – tak prestiżowej – scenie.

To właśnie między innymi za sprawą Uchodromu klub Ucho staje się ostatnio także... wytwórnią płytową. Nagrodą w konkursie jest wszak wydanie płyty, więc pracownicy klubu musieli rozszerzyć swą działalność właśnie w tym kierunku. A kiedy powiedziało się „a”, znacznie łatwiej jest powiedzieć „b”: już po pierwszej wydanej pod tym szyldem płycie – debiutanckiej epce grupy Kciuk And The Fingers, laureata pierwszej edycji Uchodromu – do klubu zaczęli zgłaszać się artyści zainteresowani publikacją swego materiału właśnie z logiem Ucha na okładce.

Na dodatek ostatnio Karol Hebanowski zainaugurował jeszcze jedno, rozwijające się coraz szybciej, przedsięwzięcie. To kolektyw dj-ski Forest City, poruszający się przede wszystkim w granicach takich gatunków, jak alt-country, New Weird America czy anti-folk. Jedną z pierwszych dużych imprez zorganizowanych przez niezwykłą grupę dj-ów, ale przede wszystkim – miłośników tej wciąż niezbyt popularnej w Polsce muzyki – odbyła się w połowie sierpnia w sielskiej, idealnie pasującej do prezentowanej przez kolektyw muzyki, scenerii parku w Kolibkach.

Drugą ważną nazwą na klubowej mapie Gdyni jest Pokład. To miejsce nie jest może na pierwszy rzut oka zbyt przytulne i wygodne



Drugą ważną nazwą na klubowej mapie Gdyni jest Pokład, fot. Michał Jaskólski

do organizowania koncertów – to przecież w gruncie rzeczy po prostu wielki namiot, rozbity przy Skwerze Kościuszki. A jednak wie o nim każdy szanujący się fan jazzu. I to nie tylko w Trójmieście. Bo do Pokładu od kilku lat konsekwentnie zapraszane są największe światowe gwiazdy tego gatunku. I nagle okazuje się, że ten z pozoru dość toporny namiot zamienia

się w prawdziwy żaglowiec, pędzący po falach w synkopowany rytm, generowany przez prawdziwych mistrzów.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym, niestety, nieistniejącym już od jakiegoś czasu, miejscu. To maleńki, mieszczący się we wnętrzu jednej z gdyńskich kamienic, klub Anawa, który przez kilkanaście miesięcy swej najaktywniejszej działalności stał się prawdziwą Mekką lokalnej sceny niezależnej. To właśnie tam wystąpiło kilka zespołów z różnych stron świata (między innymi ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Niemiec), grających najbardziej ekstremalne gatunki muzyczne: punk, hard core, crust czy grind. Na tej samej scenie coraz częściej zaczęły też pojawiać się młode zespoły, grające coraz modniejszą w Polsce muzykę indie rockową. Chętnie występowali tam zarówno lokalni specjaliści od takiego grania (np. grupy Folder czy Gentleman!), jak i goście z innych miast (choćby warszawska formacja Organizm). Niestety, od kilku miesięcy klub zmienił właściciela, nazwę oraz charakter i jak na razie nie może dla siebie odnaleźć miejsca na gdyńskiej scenie klubowej.

Oprócz klubów, które działają na co dzień, na kształt tego, co pod względem muzycznym dzieje się w Gdyni, wpływają także okazjonalne, regularne lub nie, imprezy, które odbywają się w tym mieście. Oprócz największych, międzynarodowych festiwali jak Open'er i Globaltica nie sposób nie wspomnieć w tym kontekście choćby o odbywającym się od kilku lat nietypowym przedsięwzięciu Ladies Jazz, podczas którego, zgodnie z nazwą, prezentują się największe damskie gwiazdy światowego jazzu.

Czy Gdynia żyje dziś muzyką? Czy gdyńska scena muzyczna jest dziś mocna, ciekawa i różnorodna? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Z jednej strony – dzieje się w tym mieście sporo, na dodatek – sporo ciekawego, z drugiej – żałować można, że brakuje ducha wzajemnej współpracy między muzykami, organizatorami imprez czy fanami poszczególnych gatunków, ducha, który był w tym mieście obecny, gdy do księgarń w całym kraju trafiała płyta z rozmażanym trolejbusem na okładce. Czy dziś można by nagrać współczesną odsłonę takiego albumu? Może warto spróbować.

Anna Janko

MOJA PECHOWA GDYNIA

Gdynia – boska przyroda, gorzka przygoda. Rok nieszczęśliwego życia. Bo tylko rok tu wytrzymałam. A plany były romantyczne! Ach, uciec z Warszawy, wyjechać do – Gdyni! Szybko, zaraz. Nie od razu Kraków zbudowano, ale Gdynię – tak! Pasuję tam z moim temperamentem. Bo co to dla mnie, silnej kobiety, sprzedać, co się da (mieszkanie), zwinąć resztę, złapać swego mężczyznę za rękę i zacząć wszystko od nowa. Gdy się czegoś bardzo chce, to się to zdobywa. Mieszkanie na wzgórzu morenowym na końcu uliczki wpadającej wprost w stary bukowy las, za oknami tylko drzewa, w karmniku na parapecie sikorki, rudziki, sójki, grubodzioby... A jak na zakupy, to z plecakiem, bo busik raz na godzinę i tylko do siedemnastej. No i powrót z bagażem na plecach pod górę, miarowym, turystycznym krokiem, by rozkładać siły, bo trzeba jeszcze potem wspiąć się na czwarte piętro. Toż to jak symulacja tamtych pionierskich klimatów młodej Gdyni! Będzie dobrze, lubię wyzwania, lubię, gdy rzeczywistość stawia opór, bo wtedy wiem, że żyję.

Gdynię znałam ze studenckiej młodości. Studiowałam w Gdańsku, mieszkalam w Sopocie. W latach siedemdziesiątych do Gdyni się jeździło na zakupy, bo w Sopocie trzy sklepy na krzyż, a poza sezonem nastrój zupełnego międzyczasu. Gdynia natomiast zawsze była pełna życia, i to z lekka egzotycznego – to przez ten narkotyczny słony wiatr, przez te trolejbusy, w Polsce jakoś niezwykle, przez te towary zamorskie od marynarzy, kawa, pomarańcze, czekolada toblerone... I orłowski klif: przepaść pod nogami, bezbrzeż przed oczami. I Skwer Kościuszki: szeroka „autostrada” biegnąca prosto w morze, „podręczna” marina po prawej, portowe wrota na świat po lewej. Ze skraju tego betonowego półwyspu dawało się tęsknić najdalej, poza Bałtyk, poza własny los, do czegoś gdzieś, do kogoś kiedyś... Gdybym była chłopcem – miałabym dom na wodzie! Tymczasem teraz okazało się, że kupiłam mieszkanie, choć blisko centrum, to jednak w podupadłej dzielnicy, w bločku o akustyce tekturowego pudła, bowiem robotnicy zatrudnieni tu przy budowie, jeszcze w czasach Gomułki, ukradli wełnę mineralną i nic nie wytłumiało blokowego zgiełku. Basy popkulturowej muzyki zewsząd, akty erotyczne i klótnie spod podłogi, a nade wszystko wycie psa zza cienkiej ściany zmieniły nasze życie w koszmar. Od szóstej rano

przez wiele godzin dzień w dzień, miesiąc za miesiącem, słuchaliśmy szczekania i skowytu dużego owczarka, który miotał się pomiędzy drzwiami i balkonem pozostawiony sam. Bez względu na to, o której udało mi się zasnąć wieczorem, o świcie zrywałam się gwałtownie, z walącym sercem, gdy sąsiadka od owczarka zatrzaskiwała swoje drzwi, które z naszymi były na styk, i uciekała schodami. W tej samej chwili pies wpadał w panikę i zaczynał akustyczny, apokaliptyczny utwór dedykowany wszystkim śpiącym. Wyskakiwałam wprost ze snu, z łóżka; o, chciałam wyskoczyć ze swego losu, jak z płonącej koszuli! Nie pomagało nic: ani obłaskawianie zwierzęcia i jego właścicielki, ani próby przyjaznego rozwiązania problemu w ramach społeczności mieszkańców, ani pisma do administracji, ani telefony do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. (Myśli o otruciu psa też nie pomagały.) Mur obojętności, niemożności, absolutny brak empatii. Wyjaśniano nam, jak jakimś głupkom, że „szczekanie jest mową psów”. Sytuacja kafkowska. Kupiliśmy wielkie „antysłuchawki” dla operatorów młotów pneumatycznych i z zaparzonymi uszami siedzieliśmy przy swych komputerach. Sytuacja groteskowa. Rudziki i grubodzioby patrzyły na nas zza okien jak na nieznany gatunek zwierząt w niewoli. My nie patrzyliśmy już na rudziki i grubodzioby... *Et in Arcadia ego.*

Gdynia stawiała opór większy, niż mogłam wytrzymać. W domu pracować się nie dawało, na mieście też nic nie zwojowałam – wysoki urzędnik od kultury, któremu przedstawiłam swoje pomysły, dorobek i entuzjazm, konsekwentnie nie reagował. Stopniowo dekonstruowała się w moim umyśle tak mi bliska idea Gdyni jako miasta-marzenia. Miasta wymyślonego przez grupę wspaniałych ludzi, bo było ono historycznie konieczne i musiało zaistnieć. Jego budowa trwała w czasie „urbanistycznym” tyle, co jedna chwila, jak cud. Bezskutecznie usiłowałam do tego dodać mój indywidualny czas, moją krótką chwilę. Tymczasem ogarniała mnie czarna rozpacz. A potem irracjonalne przeświadczenie, że przyjechałam tu po swoją śmierć. Że zdechnę na tych przeklętych peryferiach na długo przed psem sąsiadów. Bo jestem obca, bo nie mam pracy, nie mam pieniędzy i nie mam już sił do walki. Mój mężczyzna powtarzał codziennie, jak mantrę, że Gdynia to nazwa choroby. Jeszcze chodziliśmy po lasach, po klifach, po nabrzeżu, po ślicznych uliczkach Kamiennej Góry, spoglądaliśmy na ulubione domy z lat dwudziestych, słuchaliśmy dramatyczno-rzewnego krzyku mew nad fosforyzującymi w kontrastach dachami Starowiejskiej, ale to było już umieranie osobistej legendy, czas przed końcem przygody. Okazało się, że wcale nie trafiliśmy do

Gdyni; pech chciał, że przyjechaliśmy gdzie indziej, choć wysiadało się na tym samym peronie.

Sprzedalam mieszkanie za niezłe pieniądze, nie litując się nad losem nowych lokatorów, wykorzystując hipoteczny boom. Ale wiem, że oddałabym je i za drewniane dwa złote. Takich tandetnych bocz-ków popeerelowska, „ludowa” Gdynia jest pełna: na Obłężu, w Chyloni, na Oksywiu, Grabówku, Witominie. Wszystkie polskie miasta obrosły takim architektonicznym strupem. Słyszę od niedawna, że Gdynia się regeneruje, wybłyszcza, ambicjonuje i aspiruje do miana miasta kultury. Cóż, może teraz byłaby i praca, i mieszkanie po właściwej stronie torów. Lecz mnie już tam nie ma. A we mnie goi się bliźna po Gdyni. Podobno mieć szczęście w życiu to znaczy znaleźć się we właściwym miejscu o właściwym czasie. Nie miałam szczęścia.

Paweł Baranowski – ur. w 1972 roku w Gdyni. Absolwent Wyższej Szkoły Morskiej. Związany z Inicjatywą Poetycką „Almanach” (Trójmiasto, 1994–1997), z Klubem Pisarzy i Przyjaciół Książki (Sopot, 2004), z Grupą Literacką „Polaris” (Londyn, 2007). Inicjator i organizator spotkań Przystani Poetyckiej „Strych”, współorganizator Przeglądów „Połowy Poetyckie” w Gdyni (2001–2005). Zdobywca Honorowej Nagrody Prezydenta Miasta Gdyni za animację kultury (2005). Publikował w licznych magazynach i antologiach literackich. Nagradzany w konkursach poetyckich i turniejach wiersza. Wydał tomiki wierszy: *Przeświły* (2005) i *Ziemia Obiecana* (2007).

Wojciech Boros – ur. 10 kwietnia 1973 roku w Gdańsku. W latach 1993–1997 współtworzył Inicjatywę Poetycką „Almanach”. Zdobywca „Czerwonej Róży” (1996). Stypendysta (poezja) Samorządu Województwa Pomorskiego (2003, 2007) oraz Prezydenta Miasta Gdańska (2008). Publikował w licznych czasopismach artystycznych oraz antologiach, między innymi: *Poza słowa. Antologia wierszy 1976–2006* (2006). Wydał tomy wierszy: *Nierelalit górski* (1997), *Jasne i Pełne* (2003), *Złe zamiary* (2008).

Joanna Cieplińska – autorka książki *Montaż i rytuał, czyli o autokreacjach pisarskich*, cyklu reportaży poświęconych Ukrainie, w przygotowaniu książka *Borderland* (eseje o Ukrainie). Współautorka filmów dokumentalnych i inicjatorka licznych międzynarodowych projektów kulturalnych. Mieszka w Sopocie.

Ludwik Filip Czech – ur. w 1959 roku w Sopocie. Od 1982 roku związany z Gdańskim Towarzystwem Przyjaciół Sztuki. W 1997 roku został głównym laureatem 38. Konkursu „Czerwonej Róży”. Wydał cztery tomy wierszy: *Wyrąb* (2000), *Mimikra* (2003), *Gorzkie wakacje* (2005) oraz *Ślimak i Panna* (2007). *Gorzkie wakacje* otrzymały pierwszą nagrodę w Konkursie Literackim Miasta Gdańska im. Bolesława Faca.

Jure Detela (1951–1992) – poeta, krytyk sztuki, działacz społeczny. Wydał opowieść autobiograficzną *Pod strasnymi oczami pontonskich mostów* (1988) oraz dwa zbiory wierszy: *Zemljevidi* (1978) i *Mah in srebro* (1983); trzeci zbiór, *Tisoči krotih oči*, przygotowany za życia autora, ukazał się po jego śmierci w tomie *Pesmi* (1992).

Dariusz Dobrzański – ur. w 1958 roku w Wałbrzychu. Pracuje w Instytucie Filozofii UAM. Mieszka w Poznaniu.

Zbigniew Gach – ur. w 1952 roku. Reporter, pisarz, scenarzysta telewizyjnych programów satyrycznych. Z wykształcenia polonista – absolwent UG (1977). Autor książek: *Jeden z Wiele* (1991), *Antybohater* (1991), *Leszek Balcerowicz: wytrwać* (1993), *Poczet kanonizowanych świętych polskich* (1997), *Kwaśna bomboniera* (2006), *Dziesięć wieków piwa w Gdańsku* (2007), *Leon rybak* (2008), *Drugie podejście. Niezależne Zrzeszenie Studentów w Uniwersytecie Gdańskim 1985–1989 na tle swoich czasów* (2009). Współautor głośnej *Konspiracy* (Paryż 1984). Mieszka w Gdańsku.

Marek Gajdziński – ur. w 1962 roku w Poznaniu. Pisarz, tłumacz, wykładowca języka angielskiego (ASP, Gdańsk). Autor powieści i zbiorów opowiadań: *Spacer do kresu dnia* (1989), *Głowa konia* (1996), *Droga do Indii* (2000) oraz dramatów radiowych (*Matka jest jedna?* 2004), a także adaptacji *Podróżny* (2004) i *Próba generalna* (2005). W czerwcu 2004 roku otrzymał nagrodę IV Krajowego Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry” za najlepszy scenariusz. Mieszka w Sopocie, skąd często wędruje brzegiem morza do Gdyni.

Przemysław Gulda – prowadzi podwójne życie. Albo potrójne. Uczy studentów (historii prawa, historii filozofii politycznej, dziennikarstwa), jeździ gdzie się da, żeby oglądać festiwale i koncerty, ale przede wszystkim – pisze. Jego teksty można przeczytać między innymi w „Gazecie Wyborczej”, „Nowym Dzienniku” (polonijna gazeta ukazująca się w Nowym Jorku), „Pulpie”, a także na wielu, głównie muzycznych, portalach internetowych (przede wszystkim screenagers.pl). Opublikował także, nakładem wydawnictwa Lampa i Iskra Boża, powieść *Siedemnaście sekund*.

Maša Guštin – absolwentka komparatystyki i slawistyki (filologii rosyjskiej) na Uniwersytecie w Innsbrucku. Pracuje jako asystent w Zakładzie Komparatystyki Slawistycznej w Katedrze Slawistyki UG. Aktywnie promuje kulturę słoweńską, inicjując i organizując wiele wydarzeń kulturalnych. Pod jej opieką ukazało się w Polsce kilka tytułów z literaturą słoweńską, między innymi: *Made in Slovenia* Aleša Čara (2008), *Noc w Lublanie. Antologia współczesnej krótkiej prozy słoweńskiej* (2009) i *Czefurzy raus!* Gorana Vojnovicia (2010).

Paweł Huelle – ur. w 1957 roku. Prozaik, poeta, eseista.

Arkadiusz Jadczyk – ur. w 1973 roku w Żyrardowie. W latach 1993–1996 drukował reportaże z Turcji, Iranu, Pakistanu, Indii i Izraela w „Gazecie Wyborczej”, a od 1996 roku utwory prozatorskie, eseje i recenzje filmowe w: „Kresach”, „Tyglu Kultury”, „Tygodniku Kulturalnym „Verte”, Magazynie Akademickim „Wolny Sektor”, „Nowych Atebach” i „Le Journal”. Laureat kilku nagród w dziedzinie prozy i poezji. Autor wydanego w 1997 roku zbioru opowiadań *Wina, wódki, kwiaty* (Oficyna Wydawnicza „Obrzeża”) oraz sztuki *Historia pewnego garnituru* zrealizowanej jako słuchowisko radiowe przez Polskie Radio.

Anna Janko – ur. w 1957 roku na Górnym Śląsku. Poetka, pisarka, publicystka. Autorka tomików wierszy; wydany w 2000 roku *Świetlisty cudzoziemiec* został nominowany był do Nagrody Literackiej Nike. Stypendystka między innymi prestiżowej Akademii Schloss Solitude w Stuttgartu. Współautorka wielu antologii wydawanych w Polsce i za granicą. W 2000 roku w Niemczech ukazał się wybór jej wierszy zatytułowany *Du bist Der*. W 2007 roku wydała powieść *Dziewczyna z zapalkami*, za którą otrzymała między innymi wyróżnienie Warszawskiej Premiery Literackiej i Nagrodę Reymonta za najlepszą książkę roku oraz nominacje do Nagrody Mediów Cogito oraz Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. W 2010 roku ukazał się nowy tomik *Wiersze z cieniem*. Członkini SPP i PEN-Clubu. Mieszka w Warszawie.

Miklavž Komelj – ur. w 1973 roku. Poeta, malarz, historyk sztuki. Wydał zbiory wierszy: *Luč delfina* (1991), *Jantar časa* (1995), *Rosa* (2002, edycja polska 2003), *Hipodrom* (2006) i *Nenaslovljiva imena* (2008). Laureat Nagrody im. Simona Jenki za najlepszą słoweńską książkę poetycką wydaną w 2002 roku. Tłumaczy z wielu języków, między innymi Gerarda de Nerval, Fernando Pessoa i Pierpaolo Pasoliniego. Edytor tomu szkiców Jure Deteli *Zapisi o uetnosti* (2005). Mieszka w Lublanie.

Krzysztof Komacki – pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego, historyk kina.

Włodzimierz Kowalewski – ur. w 1956 roku. Olsztyński pisarz i publicysta radiowy. Autor między innymi powieści (*Bóg zapłać!*, *Excentrycy*, nad ekranizacją tej ostatniej pracuje obecnie Lech Majewski) oraz tomów opowiadań (*Cztery opowiadania o śmierci*, *Powrót do Breitenheide*, *Światło i lek*). Jego książki wydawano na Węgrzech i w Austrii, tłumaczenia prozy publikowano w węgierskich, litewskich, niemieckich i rosyjskich pismach literackich. Laureat między innymi polsko-niemieckiej nagrody im. S. B. Lindego oraz Literackiego Wawrzynu Warmii i Mazur, dwukrotnie nominowany do Paszportu „Polityki”, trzykrotnie do Literackiej Nagrody Nike.

Grzegorz Kwiatkowski – ur. w 1984 roku. Poeta, muzyk. Wydał tom wierszy *Przeprawa* (2008) oraz *Eine Kleine Todesmusik* (2009). Publikował w wielu ogólnopolskich czasopiśmie (między innymi w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, „Dzienniku”, „Odrze”, „Toposie”, „Portrecie” i „Studium”). W przeszłości muzyk na ulicach Liverpoolu. Obecnie członek zespołu TrupaTrupa. Stypendysta Fundacji Grazella (2009). Laureat Nagrody Miasta Gdańska dla Młodych Twórców (2009) oraz ogólnopolskich nagród poetyckich (między innymi im. Władysława Broniewskiego, im. Witolda Gombrowicza, Złoty Środek Poezji). Dwukrotnie nominowany przez „Gazetę Wyborczą” do nagrody Sztorm Roku (2008, 2009). Mieszka w Gdańsku.

Krzysztof Lipowski – ur. w 1961 roku w Pucku. Doktorant na UG i nauczyciel w Gimnazjum w Krokowej. W latach 1988–1990 mieszkał w Berlinie Zachodnim, gdzie był między innymi stypendystą fundacji Otto Beneckiego. W latach 1991–1994 współredagował gdańskie pismo literacko-artystyczne „Przedproża”. Nakładem gdańskiego wydawnictwa słowo/obraz terytoria ukazał się jego zbiór opowiadań *Miód i воск* (2008).

Tomasz Matłęgiewicz – ur. w 1978 roku w Skwierzynie. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji oraz Wydziału Historycznego (wschodoznawstwo) UAM. Od jesieni 2004 roku pracuje jako lektor języka polskiego na Uniwersytecie w Archangielsku.

Piotr Millati – ur. w 1967 roku w Gdańsku. Pracuje na filologii polskiej UG. Mieszka w Sopocie.

Kazimierz Nowosielski – ur. w 1948 r. w Rybnie. Poeta, historyk literatury, krytyk sztuki. Absolwent filologii polskiej na UG. Wydał zbiory wierszy: *Miejsce na brzegu* (1975), *Stan skupienia* (1977), *Dotkliwa obecność* (1981), *Najbliższa dal* (1989), *Wiersze wybrane* (1990), *Ziarno i wiatr* (2003) i inne. Laureat wielu nagród, między innymi Polcul Foundation, Nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka, Nagrody Artusa.

Wojciech Owczarski – ur. w 1970 roku, dr hab., prof. UG. Pracuje w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego (w Zakładzie Antropologii Literatury i Krytyki Artystycznej). Zajmuje się historią literatury (XIX i XX wieku) oraz teatrologią i krytyką teatralną. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Zasiada w Radzie Programowej Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego.

Paweł Próchniak – historyk literatury, krytyk literacki. Współpracownik „Tygodnika Powszechnego” i programu telewizyjnego „Czytelnia”. Pomysłodawca i organizator festiwalu literackiego Miasto Poezji. Juror Nagrody Poetyckiej Kamień. Autor monografii: *Sen nożownika. O twórczości Ludwika Stanisława Licińskiego* (2001) i *Pęknięty płomień. O piśarstwie Tadeusza Micińskiego* (2006) oraz książki o literaturze ostatnich lat: *Wiersze na wietrze (szkice, notatki)* (2008). Redaktor naukowy tomów zbiorowych poświęconych analizie i interpretacji wierszy Tetmajera, Micińskiego, Staffa, Lechonia i Czechowicza. Kierował Katedrą Literatury Modernizmu KUL, obecnie profesor Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN w Krakowie.

Renate Schmidgall – ur. w 1955 roku w Heilbronn. Ukończyła slawistykę i germanistykę na Uniwersytecie w Heidelbergu. W latach 1984–1996 pracowała w Deutsches Polen-Institut (Niemiecki Instytut Kultury Polskiej) w Darmstadt, a od 1996 roku poświęciła się tłumaczeniom literackim z języka polskiego. Za przekłady prozy i poezji polskiej otrzymała trzy nagrody, ostatnio (2009) Nagrodę im. Karla Dedeciusa. Mieszka w Darmstadt.

Dominic Sheridan – ur. w 1965 roku w Sydney. Odebrał edukację w szkole prowadzonej przez Braci Chrystusowych. Ukończył filozofię, a obecnie naucza angielskiego. Służył w australijskiej armii jako dowódca oddziału, pracował na wsi jako jackaroo (pracownik na farmie) i strzygł owce. Zakres jego pisarskich zainteresowań jest szeroki, ale ulubionym tematem pozostaje historia Australii.

Piotr Sobierski – redaktor portalu www.trojmiasto.gazeta.pl. Absolwent dyplomacji międzynarodowej na WSMGIP w Gdyni oraz marketingu na UG. Zajmuje się polskim teatrem muzycznym.

Janusz Szuber – ur. w 1947 roku w Sanoku, poeta. Studiował filologię polską na UW. Przez ponad dwadzieścia lat pisał wyłącznie do szuflady, zmagając się z chorobą. Zadebiutował w 1994 roku, od tamtej pory ogłosił kilkanaście książek poetyckich. Ostatnio ukazały się: *Pianie kogutów. Wiersze wybrane* (Znak 2008), *Wpis do ksiąg wieczystych* (WL 2009), *They Carry a Promise* (tłum. E. Hryniewicz-Yarbrough; Alfred A. Knopf 2009) i wybór wierszy w języku serbskim *O chłopcu mieszkającym podwórkiem* (tłum. Biserka Rajčić).

Natalka Śniadanko – ur. w 1973 roku. Mieszka i pracuje we Lwowie. Tłumaczka z polskiego (Z. Herberta, J. Iwaszkiewicza, Cz. Miłosza, J. Brzechwy, J. Wiszniewskiego, O. To-

karczuk) oraz niemieckiego (F. Kafki, F. Dürrenmatta, G. Grassa, S. Zweiga, J. Hermana i innych). Dziennikarka i prozaiczka, autorka książek *Kolekcja namiętności*, *Sezonowa wyprzedaż blondynek*, *Ahatanhel*, *Czqber w mleku*, *Kraj popsutych zabawek* oraz *inni podróże*, *Komaszyna hustawka*. Jej proza jest tłumaczona w Rosji, Niemczech, Czechach, Hiszpanii oraz na Białorusi. Po polsku nakładem Wydawnictwa Czarne ukazały się powieści *Kolekcja namiętności* (2004) i *Ahatangel* (2008).

Adam Wiedemann – ur. w 1967 roku. Poeta, prozaik, eseista. Wydał sześć tomów wierszy: *Samczyk* (1996), *Rozrusznik* (1998), *Konwalia* (2001), *Kalipso* (2004), *Pensum* (2007) i *Filtry* (2008), dwie książki prozatorskie: *Wszędobylstwo porządku* (1997) i *Sęk Pies Brew* (1998; edycja niemiecka – 2001, rosyjska – 2003), oraz zbiór zapisów onirycznych *Sceny łózkowe* (2005; edycja słoweńska – 2007). W 2009 roku ukazał się tom jego wierszy zebranych *Czyste czyny*. Laureat nagród: PTWK (1998), Fundacji Kościelskich (1999), Nagrody Literackiej Gdynia (2008); nominowany do Cogito, Paszportu „Polityki”, dwukrotnie do Silesiusa i trzykrotnie do Nike. Mieszka w Warszawie.

Andrzej Tomasz Żak – ur. w 1962 roku w Garwolinie, od 20 lat mieszka w Gdyni-Orłowie. Z zawodu aktor-lalkarz (czasem też dramatyczny), z zamiłowania fotograf (kilka wystaw indywidualnych, kilka w duecie).

